

SIECI

**NIEMIECKI SZANTAŻ
EUROPY.
ARDANOWSKI
O MERCOSUR**

**PORODÓWKI
W LIKWIDACJI.
GDZIE SIĘ PODZIAŁY
CZARNE MARSZE?**



**MAFIJNE
STANDARDY
OBECNEJ
WŁADZY**



**"NIE ZOSTAŁAM
UWIEDZIONA"
MÓWI PAULINA
MATYSIAK,
POSŁANKA Z KUTNA**

SIECI

**NAJWIĘKSZY
KONSERWATYWNY
TYGODNIK OPINII
W POLSCE**

4 (686) 2026

19-25 stycznia 2026

CENA: 13,90 zł

(w tym 8% VAT)



TYLKO U NAS



AWANTURROMAT



**DONALD TUSK PROWOKUJE
AWANTURY Z KOLEJNYMI PREZYDENTAMI.
TAKŻE TERAZ TO PREMIER NAKRĘCA
NIENAWIŚĆ. CO WAŻNE: W STARCII
Z KAROLEM NAWROCKIM SZEF RZĄDU
WYRAŹNIE PRZEGRYWA**

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694



9 772544 269601

Numer w sprzedaży do 26 I 2026 r.

NOWOŚĆ! PRENUMERATA PRZEZ  **InPost**

Wybierz swój Paczkomat®
i czytaj **SIECI**
już w poniedziałek

Zyskujesz też możliwość
czytania **SIECI**
na telefonie



- **dostawa już w poniedziałek** przez Paczkomat®
- dodatkowo **dostęp do e-prenumeraty** **SIECI** i e-booków Sieci Extra niedostępnych dla innych czytelników
- **cena niższa niż w kiosku** – tylko 9,39 zł za egzemplarz (w kiosku to 13,90 zł)
- opcja zmiany na inny Paczkomat® (np. na czas urlopu)
- darmowa dostawa

Zamów już dziś prenumeratę przez Paczkomat!

prenumerata.sieciprawdy.pl/oferta/inpost



ZESKANUJ KOD
I DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ

Czarzasty zdetronizował Tuska w umizgach do Niemiec

Wydawało się, że w czolobitności wobec Niemiec nikt nie zdoła przegonić Donalda Tuska. A jednak! Na czoło peletonu wysunął się Włodzimierz Czarzasty. Człowiek, na którego głosowało nieco ponad 20 tys. osób i który psim swędem wdrapał się na pozycję drugiej osoby w państwie, raz za razem podejmuje kompromitujące dla Polski decyzje. Jednak słowa, które padły podczas jego wizyty w Berlinie, powinny zakończyć jego aktywność w roli marszałka Sejmu.

Drugi rotacyjny marszałek Sejmu koalicji 13 grudnia, który objął urząd w drugiej połowie listopada 2025 r., odbył swoją pierwszą podróż zagraniczną. Dlaczego wybrał jako cel tej prestiżowej wizyty Niemcy? Czy chciał przeprowadzić ważne dla polskiej racji stanu konsultacje? Czy próbował podjąć istotne rozmowy na temat bezpieczeństwa lub polityki historycznej? Owszem, podjął te zagadnienia, ale w sposób sprzeczny z polskim interesem narodowym.

Lider Lewicy nie zdołał wzbicić się ponad narrację własnej partii. Wydaje się nawet, że wkraczając w atmosferę dobrze osadzonego berlińskiego neomarksizmu, jeszcze szerzej rozwinął swe komunistyczne inklinacje. Seria spotkań została solidnie naszpikowana umizgami, pochwałami i wielkim hymnem zapomnienia przeszłości. Czarzasty oświadczył, że Niemcy są dla Polski najważniejszym partnerem, dlatego nasz kraj nie może ciągle wypominać win i rozdrapywać trudnej przeszłości. Stwierdził też, że należy zakończyć „zawody w opluwaniu Niemca”.

„Nie możemy pozwolić, aby w debacie o historii dominowali cyniczni politycy, nadal żerujący na cierpieniach i grobach ofiar sprzed 80 lat. Trzeba się z tego wyzwolić. Dlatego właśnie moja pierwsza wizyta jest w Niemczech” – stwierdził podczas wystąpienia w Niemieckim Towarzystwie Polityki Zagranicznej (DGAP). Dodał, że nie powinno być zgody na sposób uprawiania polityki polegający na tym, że „kto bardziej opluwa Niemca, ten dostanie więcej głosów”.

Niemiecka prasa podała, że marszałek przybył z pomysłem dotyczącym rozwiązania kwestii reparacji wojennych dla Polski. Co zatem padło? Wprawdzie przyznał, że istnieje konieczność „uczciwej rozmowy” i zaapelował do Niemców, aby zajęli się grupą ok. 55 tys. wciąż żyjących polskich ofiar Rzeszy z czasów II wojny światowej, ale w interpretacji przebił nawet Tuska.

Dla obecnego rządu sprawa reparacji nie istnieje. Przypomnijmy, że zespół powołany za rządów PiS w specjalnym raporcie wycenił straty wojenne na ponad 6,2 bln zł. Tusk unieważnił tę sprawę natychmiast po przejściu władzy. Aby zachować pozory, podejmowany jest jedynie temat odszkodowań dla żyjących ofiar. Jednak sposób, w jaki zwrócił się z nim do Niemców Czarzasty, szokuje: „Czy jeżeli dacie miliardy na zbrojenia, to nie możecie tym ludziom zadośćuczynić? Ja nie mówię o bilionach (złotych), ja mówię o zadośćuczynieniu, o dotknięciu, o uśmiechu, o przytuleniu, o powiedzeniu: pamiętamy o was, szanujemy was”.

I co na to ofiary niemieckich zbrodniarzy? Czy przytulenie i uśmiech Niemca nie wystarczy? Trzeba dodać, że już nawet Tusk przyznał, że niemieckim ofiarom należy się finansowe zadośćuczynienie, choć w poczuciu porażki wobec stanowczości kanclerza Merza, zaproponował, że zostanie wypłacone przez Polskę. Gdyby ktoś czuł jakiś niedosyt, marszałek Sejmu zaapelował o podjęcie działań w sferze symbolicznej, np. budowę w Berlinie trwałego pomnika dla polskich ofiar wojny. Na razie Czarzasty złożył kwiaty przy „kamieniu pamięci”.

Marszałek zaapelował także o nowe otwarcie w relacjach Polski z Niemcami, twierdząc, że „nie ma bezpiecznej Polski bez bezpiecznych Niemiec” i że „ma w nosie, co mówią na ten temat ortodoksyjne prawicowe środowiska”. Ujawnił, że rozważane jest podpisanie polsko-niemieckiego zobowiązania o wzajemnej obronie, podobnego do zapisów art. 5 traktatu o NATO. Czy naprawdę gwarantem polskiego bezpieczeństwa mają być Niemcy, które zbudowały swoją potęgę na zbrodni wojennej? Przecież gdyby nie wymordowali ponad 5,2 mln Polaków, nie zrujnowali i nie ograbili naszego kraju, mielibyśmy dziś na świecie zupełnie inną pozycję.

W czym imieniu Włodzimierz Czarzasty występował w Berlinie? Dlaczego występując w roli marszałka Sejmu, nie reprezentował polskiej racji stanu? Dlaczego rząd nie reaguje na coś, co należałoby określić mianem dyplomatycznego skandalu? Czyżby premier upoważnił marszałka do snucia tak absurdalnych deklaracji, do składania Niemcom holdu i wpiśwywanie się w niemiecką narrację? Pewne jest jedno – ilekroć Donald Tusk wraca do władzy, największymi beneficjentami tego układu politycznego są Berlin i Bruksela.

Marzena Nykiel





42

**Wolnościowa
insurekcja w Iranie**
Jan Rokita



51

Jedź, pij i wesel się!
Aleksandra Rybińska



57

Bomba w górę
Jolanta Gajda-Zadworna

NA POCZĄTEK

- 5 TUSK BEZPAŃSKI**
Bronisław Wildstein
- 6 SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia
- 8 CYFROWA FARSA W POLSCE 2050**
Dorota Łosiewicz
- 9 KORZENIE GLOBALNEGO POŁUDNIA?**
Marta Kaczyńska-Zielińska
- 10 ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski
- 12 JAK EUROKRACI PODAJĄ
CHIŃCYKOM EUROPEJSKĄ
MOTORYZACJĘ NA SREBRNEJ TACY**
Daniel Obajtek
- 13 RZĄDOWA MOWA NIENAWIŚCI**
Jan Pietrzak
- 13 NIE UDAŁO SIĘ ZASZACHOWAĆ
PREZYDENTA**
Samuel Pereira
- 14 WALIZKA AGNIESZKI EJSYMONT**
Michał Korsun
- 16 CENZURA IM. UE**
Ryszard Makowski
- 17 BRUKSELSKA AMNEZJA:
KONTROLOWANE ZAPOMNIENIE**
Arkadiusz Mularczyk

TEMAT TYGODNIA

- 18 WOJNA TUSKA Z PREZYDENTAMI**
Piotr Gursztyn

KRAJ

- 21 GDZIE SĄ CZARNE MARSZE?**
Konrad Kołodziejski
- 25 MAFIJNE STANDARDY WŁADZY**
Marek Pyza
- 29 W NIEMIECKIM INTERESIE**
Z Janem Krzysztofem Ardanowskim
rozmawia Jerzy Szmít
- 32 CIĘŻAR BRAUNA**
Stanisław Janecki
- 36 NIE ZOSTAŁAM UWIEDZIONA**
Z Pauliną Matysiak
rozmawia Marcin Wikło

ŚWIAT

- 39 STRATEGICZNA
„NIETRZEŻWOŚĆ” EUROPY**
Marek Budzisz
- 42 WOLNOŚCIOWA
INSUREKCJA W IRANIE**
Jan Rokita

45 JAK CYBORG, CZYLI KULISY
UJĘCIA MADURO

Dariusz Matuszak

48 NOWE OTWARCIE LEONA XIV

Grzegorz Górny

51 JEDZ, PIJ I WESEL SIĘ!

Aleksandra Rybińska

HISTORIA

54 NOWA CZY STARA KONSPIRACJA?
KULISY ROZWIĄZANIA AK

Stanisław Płuzański

SIECI KULTURY

57 BOMBA W GÓRĘ

Jolanta Gajda-Zadworna

60 ZŁOTE GŁOBY I POLSKA ZUPA

Jolanta Gajda-Zadworna

62 HITY I KITY

Piotr Zaremba

64 DĄNIKEN – PROROK UWODZICIEL

Maciej Walaszczyk

PODRÓŻE

66 MOJE SZLAKI: STEFAN PAWŁOWSKI

Jolanta Gajda-Zadworna

KUCHNIA

67 SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM

Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

68 BOANERGES, SYNOWIE GROMU

Robert Tekieli

70 HIENA ROKU 2025

Wojciech Reszczyński

71 OGNIEM NA WPROST

Andrzej Rafał Potocki

72 KIEDY MY ŻYJEMY

Aleksander Nalaskowski

73 WIELKI BOHDAN, MĄDRA MARIA

Ryszard Czarnecki

74 NA CELOWNIKU TECHNOLOGII

Andrzej Zybortowicz

BRONISŁAW WILDSTEIN

Tusk bezpański

UE wkroczyła w kolejną, poważną fazę turbulencji. Wydaje się, że niemiecko-francuski alians, który stanowił silnik wspólnoty, definitywnie się popsuł. Wprawdzie i wcześniej zdarzały się napięcia między tymi państwami, ale zyski z porozumienia pozwalały je przezwyciężać. Ten etap wraz z pogłębiającym się kryzysem gospodarczym, który w dużej mierze na własne życzenie zafundowali sobie europejscy liderzy, odchodzi w przeszłość. Doraźna i beznadziejna walka o utrzymanie swojego materialnego statusu spycha na dalszy plan strategiczne projekty.

Niemcy uznali, że szansą dla eksportu ich samochodów i przemysłu chemicznego jest rynek Ameryki Łacińskiej. Otworzy go dla nich układ handlowy Mercosur, który skazuje spętanych unijnymi regulacjami europejskich rolników na porażkę w konkurencji z producentami Ameryki Łacińskiej, wolnymi od tego typu ograniczeń. Ta krótkowzroczna polityka, która niszczy jeden z filarów wspólnoty, czyli samowystarczalność żywnościową kontynentu, nie gwarantuje nawet interesu Niemiec. Walkę o ten sam rynek w tych samych dziedzinach podejmują z nimi Chiny, a to niezwykle trudny rywal.

Nową postawę Berlina, którą deklaruje Friedrich Merz, obserwować możemy w stosunku do przemysłu militarnego. Jego rozbudowę, pierwotnie nazywaną autonomią strategiczną Europy, stanowić miał głównie francusko-niemiecki projekt. Stawiając jednak na doraźny interes własnego państwa, Merz zarzucił wspólne plany na rzecz radykalnego wzmocnienia wyłącznie armii niemieckiej. To kolejny konflikt, który czyni coraz trudniejszą współpracę Berlina i Paryża.

Dodatkowym czynnikiem komplikującym sytuację w UE jest wzmocnianie się i uniezależnianie biurokracji brukselskiej. Jej siłę demonstruje opór przeciw odejściu od „neutralności klimatycznej”, która pcha gospodarkę europejską do katastrofy i w niczym nie zmniejsza globalnej emisji CO₂. Przeciw temu szaleństwu występuje już zdecydowana większość krajów unijnych na czele z Niemcami. I wprawdzie te ostatnie uzyskały likwidację zakazu produkcji samochodów spalinowych po 2035 r., ale pozostałe, zabójcze dla unijnego przemysłu regulacje, pozostają w mocy. To efekt działania niewielkich, ale wpływowych w Brukseli lobby, a także interesu biurokracji brukselskiej, która z handlu ETS – systemem opłat za emisję CO₂ – uzyskuje wielkie środki.

Czynnikiem, który prowadzi do dezintegracji UE, jest także nacisk nowego prezydenta USA, który stawia sprawę jasno. Dla czego Ameryka miałaby bronić Europy, która nie chce się do tego dokładać, a co więcej, zaprzecza ideom, które zbudowały jej – a więc i całego Zachodu – kulturę? Nie chcąc wycofać się

z Europy, Donald Trump woli porozumieć się z państwami, które podtrzymują jej cywilizacyjną ciągłość i rozumieją potrzebę obrony tożsamości własnego społeczeństwa, a nie odwoływać się do Unii, której dominujące siły reprezentują postawę odwrotną.

Ten złożony stan rzeczy otwiera przed Polską możliwości. A raczej otwierałby, gdyby kto inny stał na czele polskiego rządu. Gdyż w nowej sytuacji Donald Tusk demonstruje absolutną bezradność. Jego wcześniejsza polityka polegała na podczepieniu się pod Berlin, który wspierał go jako lidera pro-niemieckiej partii w Polsce. W relacjach międzynarodowych Tusk funkcjonował wyłącznie w roli klienta Angeli Merkel, która zapewniała mu osobistą karierę w UE. Obecny premier niczego innego nie umie i – wydaje się – nie jest w stanie sobie nawet wyobrazić. Zresztą odejście od polityki uległości wymagałoby odrzucenia oficjalnej doktryny III RP, ufundowanej na micie jednolitego interesu UE, który prezentować ma Bruksela.

Kiedy stery w Niemczech przejął ostro z Merkel skonfliktowany jej partyjny rywal, Tusk wyraźnie nie wie, co ma robić. Funkcjonując wyłącznie w roli namiestnika Berlina, przestał znaczyć w polityce europejskiej. Lekceważy go także nowy kanclerz. Prawdziwy polityk mógłby zmienić orientację, ale Tusk tego nie potrafi. Robi to, co zawsze: odwołuje się do sztuczek marketingowców, a międzynarodową niemoc kompensuje agresywnością wewnętrzną.

Niby głosował przeciw Mercosur, ale nie prowadził w tej sprawie żadnej aktywnej polityki, a w Polsce tłumaczył, że traktat ten po wprowadzeniu kosmetycznych zmian nie jest już taki zły. W przeciwieństwie do Włoch nie negocjował dla Polski żadnych korzystnych klauzul.

Inicjatywa premiera Czech Andrieja Babiša zablokowania ETS 2 i paktu migracyjnego jednoznacznie leży w naszym interesie, ale Tusk nie ma odwagi jej poprzeć. Polska powinna włączyć się w militarne przedsięwzięcia krajów skandynawskich, które czują się zagrożone przez Rosję i intensywnie przygotowują się na odparcie ewentualnej agresji, ale premier boi się narazić europejskim możliwemu, którzy na samodzielne działania Skandynawów patrzą niechętnie. Identyczną postawę demonstruje jego minister spraw zagranicznych i wicepremier Radosław Sikorski.

A Polska traci kolejne szanse.



Sygnalista nadaaje

„Albo wareszcie, albo w Budapeszcie” – tak brzmi nowa, wreszcie praworządna wersja starego powiedzenia „Polak, Węgier – dwa bratanki”. I do azyłu, i do aresztu. Zbigniew Ziobro i jego żona uciekli przed karzącą ręką sprawiedliwości uśmiechniętej do kraju, gdzie tokaj dojrzewa. Właściwie trzeba napisać, że schroniła się tam Patrycja „Pati” Kotecka ze swoim mężem, bo wiadomo, kto w tym związku nosi spodnie. W każdym razie demokracja walcząca trochę się wściekła z tego powodu i nawet nagrała dużo filmików internetowych, aby rozładować gnębiące ją emocje. A przy okazji odwrócić uwagę od przejściowych trudności, o których wiadomo, że wprawdzie są przejściowe, ale jednak są prawdziwymi trudnościami. Za to Mateusz Morawiecki jest dziwnie radosny. W tym kontekście przypominamy oficjalne oświadczenie rzecznika prasowego Prawa i Sprawiedliwości, że wszyscy pisowcy to jedna rodzina. Harcerz czy maślarz, chłopak czy dziewczyna.

Nie tylko wybitny umysł, lecz także piękne ciało. *Kalos kagathos* – jak mawiali starożytni Grecy. Kto taki? **Tomek Treła**, poseł z Łodzi (formalnie Lewica, ale gada jak Silni Razem, więc naprawdę swój). Sztuczna inteligencja to wprawdzie wynalazek amerykańskich imperialistów, ale pozwoliła opinii publicznej zobaczyć zdjęcie Tomka w bikini. Jego idealne kształty, współgrające z jego intelektem i wysoką kulturą osobistą, zachwyciły każdego prawdziwego demokratę. Tomek niewątpliwie ma dzisiaj największe szanse na zdobycie tytułu Miss Polski albo przynajmniej miss mokrego podkoszulka. A jak nie, to przynajmniej

stanowisko wiceministra w resorcie nauki lub innej branży, którą premier Tusk przeznaczył dla przystawek.

Jeśli chodzi o internety, to stała się rzecz niedobra. Demokracja nasza znalazła się nad przepaścią. Ten Nawrocki, który jest domniemanym prezydentem (przeliczanie głosów trwa), swoim wetem uniemożliwił odebranie internetów tym, którzy do nich nie dorośli. I nigdy nie dorosną. Mowa oczywiście o populistach, faszystach, kaczych i wszystkich, których za niedużo, ale godne publiczne pieniądze mogliby ścigać zaufani sygnaliści. Np. pani Suchanow, Tomek Piątek i Jaś Kapela. Tę trudną sytuację w trafny sposób skomentował kolega Tomka Treli z miasta Łódź – **Darek Joński** (kiedyś Lewica, a teraz już całkowicie po właściwej stronie). Powiedział, że przez weto tego Nawrockiego politycy PiS będą mogli wrzucać do sieci fejkniusy i w ten sposób wygrywać wybory. A projekt zakładał co innego – prawo do wrzucania fejkniusów mieli mieć tylko prawdziwi demokraci. I to oni mieli wygrywać wybory.

Walka o prawo do dezinformacji jednak nie ustaje. Szykuje się pasjonujące starcie gigantów. Z jednej strony **Krzysiek Gawkowski** z Wołomina, a z drugiej – niejaki Elon Musk z jakiejś dziury o nazwie Boca Chica. Z jednej strony absolwent prestiżowego wydziału politologii na równie prestiżowym uniwersytecie warszawskim, a z drugiej... nawet nie wiadomo kto, jakiś facet rodem z Afryki. Krzysiek to spokojny gość, ale Musk go sprowokował. Na wieść o wecie tego Nawrockiego napisał: „Brawo”. Sam zaczął, więc niech się nie skarży, gdy Krzysiek się za niego weźmie.

Skandali ciąg dalszy. Zbuntowała się Służba Ochrony Państwa. A zdawałoby się, że to demokratyczna i praworządna formacja – od czasu, gdy wpuściła policję do pałacu prezydenckiego. Jednak dominuje tam pisowski deep-state. Rebelianci z SOP zażądali od ministra Marcina Pogłosa-Kierwińskiego, aby przywrócił na stanowisko jakiegoś generała, który został ukarany za to, że złodziej ukradł samochód premiera Tuska. To zresztą niejedyna hańba, która ciąży na tym człowieku. Bo właściwie to jest neogenerał, gdyż został awansowany w mrocznych czasach pisowskiej okupacji. Kacyzm podnosi głowy. Bunt musi być stłumiony. Ogniem i mieczem. Uchwałą i kontrasygnatą. A auto premiera to świętość. Tak samo jak fura Małgosi, szafiarki Kasi, Michała vel Józefa Bąka. I samochód Fulka też. PS Wiedzieliście, że wózek premiera Tuska to Lexus? To nie jest niemiecka marka. Po prostu szok!!!

Ludzie, czego nie rozumiecie? Wyrzucić obornik przed domem ministra rolnictwa Krajewskiego – źle, wyrzucić obornik przed domem posła PiS – dobrze. Powtórzcie to sobie 100 razy, to może wreszcie pojmiecie, że nie wolno tego porównywać.

To pierwsze stanowi obrazę organu konstytucyjnego i naruszenie miru domowego, to drugie – akt obywatelskiego nieposłuszeństwa i wyraz demokracji walczącej. Pierwsze jest zagrożone surowymi sankcjami, drugie to niewielka szkodliwość czynu. Jeśli nadal nie rozumiecie, zapytajcie o to prokurator Ewę Wrzosek. Ona się na tym dobrze zna.

„Młody, dobrze zapowiadający się polityk” – tak o Krzysku Bosaku powiedział przywódca ruchu kacystowskiego Jarosław Kaczyński. Trzeba przyznać, że to prawda. Krzysiek dobrze się zapowiada już od wielu lat. Gdzieś od końca XX w., gdy zaczynał swoją karierę polityczną. Krzysiek jednak się obruszył, że to pochlebstwa, na które jest odporny. Ciekawe za to, co powie za kilka lat, gdy Kaczor nazwie go politykiem średnio-starszego pokolenia? Przecież taki moment kiedyś nadejdzie.

Jeśli chodzi o ekscesy kacyzmu, to należy odnotować nowy pomysł na kolejną pisowską gigantomanię. Port Haller! Czyli kolejny przejaw antyniemieckiej obsesji kacyzmu – po co to budować, skoro jest port w Rostocku? Poza tym Polski na to nie stać i nikt z tego nie będzie korzystał. Ponadto są tam ptaki, fładry, foki, beczenne piaski i w ogóle ekologia. No i będzie kolidował z zaplanowaną tam farmą wiatrową oraz fotowolta-

iczną. Wreszcie – czy PiS nie przeszkadza niemieckie nazwisko Haller?

Niezwykle groźny cyberatak na Polskę! To znaczy Polskę 20 na 50. Nieprzyjaciele demokracji walczącej, praworządności tak jak ją rozumiemy, uderzyli w jeden z najważniejszych filarów rządu premiera Donalda Franciszka Tuska. A konkretnie w osobę ministerską Paulinę Henning-Kłoskę i tę drugą, czyli Kaśkę Pełczyńską-Nałęcz. Jeśli chodzi o Kaśkę, w sumie dobrze się stało – to straszna baba, która pyskuje do samego premiera. Skandal z internetowym głosowaniem w Polsce 20 na 50 pokazuje, jak ważnym wyzwaniem jest wprowadzenie takich wyborów także na poziomie ogólnokrajowym. Nie zgadzamy się z głosami, według których głosowanie internetowe się skompromitowało, gdyż jest łatwe do zmanipulowania. Jedni widzą w tym wadę, my widzimy zaletę. Dzięki odpowiednim zabiegom będzie można zablokować wygraną wszystkich, którzy nie dorośli do demokracji.

A teraz o tym, co chcielibyście wiedzieć o seksie, ale boicie się zapytać. Oddajmy głos **Marianowi Banasiowi**. „Wyznaję zasadę Durex” – obwieścił Marian, zwany – już wiemy, dlaczego – Żelaznym. Osoby zainteresowane informujemy, że Marian (dla przyjaciółek „Durex”) kończy w tym roku 71 lat i jak widać, wiek nie przeszkadza mu w wyznawaniu tej zasady. Gratulujemy, Marianie!

Lord Mentzen z planety Nowa Nadzieja wysłał swojego droida o nazwie Wojtek Machulski na ważną misję. Jego zadaniem jest sparaliżowanie działań rebeliantów z sojuszu Konfederacja Korony Polskiej. W tym celu droid Wojtek zarejestrował w sądzie nową partię o nazwie Imperium Kontratakuje. Wprawdzie droid Wojtek nie jest zbyt mądry, ale za to nie jest też inteligentny. To ten, co wychwalał Leszka Millera, a zewnątrznie wygląda jak młodociany Chewbacca the Wookiee.

Mimo wszystko Lord Mentzen ma nadzieję, że nie pochłonie go Mroczne Widmo. Zagrożają mu nie tylko rebelianci Jednookiego Grigorija, lecz także groźba zdelegalizowania całej planety, bo Nowa Nadzieja zapomniała złożyć sprawozdanie finansowe. Trudno przewidzieć, kto zwycięży w tym międzygalaktycznym konflikcie, zwłaszcza że imperium lorda Mentzena skurczyło się w ostatnim czasie. Z radarów zniknął nawet gadatliwy padawan Przemek Wipler, a on zawsze szybko wyczuwał, skąd wieje gwiazdny wiatr. Chyba już nie liczy na przebudzenie mocy.



WIEŻA BAB

Miało być odbicie od sondażowego dna i demonstracja sprawczości, a wyszła kompromitacja, którą trudno będzie przykryć kolejnym hasłem o „nowej jakości w polityce”. W Polsce 2050, ugrupowaniu balansującym dziś na granicy błędu statystycznego, druga tura wyborów na lidera partii zamiast nowego impulsu dała pokaz organizacyjnej degrengolady. Chaos, brak przejrzystości i wzajemne oskarżenia stały się jedynym wyraźnym rezultatem całej operacji. W efekcie partia, która współrządzi Polską i od której zależy koalicja rządowa, nie była w stanie przeprowadzić głosowania wśród 800 osób.

Co się właściwie stało? W chwili, w której oddaję ten tekst, wciąż nie jest to jasne. Działacze partii mówią o zewnętrznej ingerencji w wybory, zawiadamiają prokuraturę i ABW. Firma, która obsługiwała głosowanie, wydała oświadczenie, z którego wynika, że po jej stronie nie było żadnych błędów ani awarii. Dodała też, że nie doszło do żadnego ataku ani wpływu osób trzecich oraz że w systemie nie odnotowano faktycznego dodania głosów nadmiarowych. System miał zareagować automatycznie i zablokować konto partii ze względów bezpieczeństwa, ale nie z powodu ataku, tylko z powodu gwałtownego wzrostu ruchu. Firma sugeruje, że źródłem problemów nie byli hakerzy, lecz sposób wykorzystania narzędzia przez samą partię i niektórych polityków. Głównie tych, którzy chcieli się chwalić swoim udziałem w wyborach. A takich było kilku.

Wszystko wygląda jak kiepski żart, ale wcale nim nie jest. W efekcie wewnętrzny pojedynek pomiędzy Pauliną Henning-Kłoską a Katarzyną Pelczyńską-Nałęcz nie został rozstrzygnięty, bo nikt nie jest w stanie z całą pewnością powiedzieć, kto, kiedy i na jakich zasadach w ogóle głosował. Zamiast demokratycznej procedury – cyfrowa mgła i nerwowe tłumaczenia.

Całości dopełnia ironia losu: mówimy o partii, która opowiadała się za e-votingiem w wyborach i z której wywodzi się wiceminister

Cyfrowa farsa w Polsce 2050

To nie było odbicie od dna. To był głośny plusk, który tylko potwierdził, jak płytka jest dziś woda w tej formacji

wykluczył obecny lider Szymon Hołownia. Gdyby do tego doszło, byłoby to nowe otwarcie z nowym-starym liderem.

Na razie zamiast nowego otwarcia mamy cyrk – zdeзорientowanych działaczy, niewyjaśnione liczby i leadershipowy pat. Jeśli Polska 2050 liczyła na to, że ten ruch pokaże, iż partia żyje i ma plan, efekt jest dokładnie odwrotny. To nie było odbicie od dna. To był głośny plusk, który tylko potwierdził, jak płytka jest dziś woda w tej formacji.

Dodatkowym akcentem humorystycznym w tym wyborach jest wynik Ryszarda Petru. On znów to zrobił. Choć właściwie należałoby powiedzieć: znów nie zrobił. W pierwszej turze wewnątrzpartyjnych wyborów zdobył imponujące 95 głosów, co dało mu drugie miejsce od końca. Sam Petru, wierny swojej życiowej filozofii alternatywnej rzeczywistości, przekonuje, że gdyby wybory były powszechne, to by je wygrał. To piękna myśl. Prawie tak piękna, jak ta z 2016 r., gdy zapowiadał, że będzie premierem. Historia potoczyła się jednak inaczej: premierem nie został, za to stracił partię, którą sam założył – Nowoczesną. Rzadki talent: stworzyć partię i skutecznie dać ją sobie odebrać.

A przecież to nie pierwszy raz, gdy Ryszard Petru zapisuje się w annałach politycznej ironii. Przypomnijmy wybory do Rady Krajowej Nowoczesnej, gdzie do obsadzenia było 50 miejsc. Petru zajął 51. miejsce i jako jedyny nie wszedł do Rady. Trudno o bardziej elegancką pointę kariery politycznej. Teraz mamy kolejną. Czegokolwiek się tknie – przegrywa. Partie, wybory, ambicje. Wieczny przegryw, który za każdym razem jest przekonany, że następnym razem na pewno zwycięży. Gdyby polityka była sportem, Petru byłby mistrzem świata... w tłumaczeniu porażek.

Dorota Łosiewicz



Korzenie Globalnego Południa?

Większość bojowników zabitych w Wenezueli przez siły amerykańskie, które aresztowały Maduro, to kubańscy żołnierze, którzy należeli do jego osobistej ochrony. Sam dyktator w latach 80. miał być szkolony na Kubie. Ciekawy raport autorstwa Mike'a Gonzaleza na temat niebagatelnej roli reżimu Fidela Castro i jego następców został niedawno opublikowany na stronach amerykańskiej The Heritage Foundation. Z opracowania wynika jednoznacznie, że Kuba nie jest tonącym reliktem komunizmu i dawną ekspozyturą ZSRR u wybrzeży USA, lecz wciąż ważnym ogniwem w wojnie z zachodnią cywilizacją.

W styczniu 1959 r. Castro udał się w swoją pierwszą podróż zagraniczną do Wenezueli, gdzie spotkał się z nowym prezydentem kraju. W kwietniu 1959 r. kubańskie i panamskie oddziały partyzanckie podjęły próbę inwazji na Panamę, mając na celu powtórzenie rewolucji, która odniosła zwycięstwo na Kubie. Kolejnym celem rewolucjonistów stała się Republika Dominikany, gdzie grupa Dominikańczyków wspierana przez kubański rząd przeprowadziła nieudaną inwazję. Następnie spróbowano bezskutecznie przejąć Haiti. Castro i Che Guevara próbowali przeprowadzić inwazję na Nikaraguę, ale również ponieśli porażkę. Kuba postrzegała Portoryko jako łatwy sposób uderzenia w USA i popierała ruch niepodległościowy wyspy. Kluczową postacią był Filiberto Ojeda Ríos, zwerbowany przez kubański wywiad w 1961 r., który następnie stał się liderem kilku zbrojnych organizacji niepodległościowych. Ojeda i powiązane z nim grupy przeprowadziły setki zamachów bombowych w Portoryko i USA, w tym krwawy atak w nowojorskiej restauracji Fraunces Tavern w 1975 r. Kubańscy dyplomaci i służby specjalne pomagali terrorystom w ucieczkach i zapewniali im dokumenty.

Według cytowanych źródeł do czasu ataków Al-Kaidy portorykański terrorizm wspierany przez Kubę pociągnął za sobą więcej ofiar i dokonał więcej zniszczeń w USA niż jakiegokolwiek inna forma międzynarodowego terrorizmu. W 1962 r. Kuba planowała zamachy terrorystyczne w Nowym Jorku, obejmujące detonację ponad 500 kg materiałów wybuchowych w centrach handlowych i na Grand Central Station. Spisek został udaremniony przez FBI, które aresztowało pięciu Kubańczyków. Dwóch z nich okazało się kubańskimi agentami działającymi jako dyplomaci przy ONZ.

Konferencja Trójkontynentalna w Hawanie w 1966 r. była kluczowym wydarzeniem, w trakcie którego Castro ogłosił globalną krucjatę rewolucyjną i nadał spójność nowemu antyzachodniemu sojuszowi. Zdaniem autora raportu to właśnie tam ukształtowały się ideologiczne podstawy Trzeciego Świata i dzisiejszego pojęcia Globalnego Południa. W konferencji wzięły udział marksistowsko-leninowskie organizacje i grupy zbrojne z Ameryki Łacińskiej, Afryki



**Marta
Kaczyńska-
Zielińska**

i Azji. Castro wykorzystał konferencję do utworzenia Organizacji Solidarności Narodów Afryki, Azji i Ameryki Łacińskiej (OSPAAAL) – struktury umożliwiającej współpracę rewolucjonistów i terrorystów z trzech kontynentów w walce przeciwko USA. Dokumenty końcowe jednoznacznie uznały przemoc rewolucyjną za jedyną drogę do zmiany, definiując „imperializm” jako domenę USA.

Po upadku komunizmu i utracie wsparcia ZSRR Castro zmienił strategię: zamiast walki zbrojnej postawił na zdobywanie władzy drogą wyborczą, a hasła łączone z ideologią marksistowską przesunął w cień. Narzędziem tej strategii stało się Foro de São Paulo (1990), które koordynowało lewicowe partie i ruchy, infiltrację instytucji i zmiany konstytucyjne. Najważniejszym sukcesem były rządy w Wenezueli Hugo Cháveza, a potem Nicolása Maduro. Od 2019 r. Kuba i Wenezuela we współpracy z Foro i grupami terrorystyczno-narkotykowymi miały wspierać destabilizację państw regionu i USA poprzez protesty, przemoc uliczną i operacje przestępcze, w szczególności związane z narkobiznesem.

REKLAMA



"Księga"

ks. Łukasz Turek i Paweł Kęska
sobota godz. 20.10 i niedziela godz. 9.00

Radio 106.2
Warszawa
dobrze słuchać

29/12/25/F

Turcja chce przystąpić do sojuszu zawartego w zeszłym roku przez Arabię Saudyjską i Pakistan – informuje agencja Bloomberg. Może to znacząco zmienić układ sił na Bliskim Wschodzie i poza nim.

We wrześniu 2025 r. Arabia Saudyjska i Pakistan podpisały porozumienie obronne. Zawiera ono punkt analogiczny do art. 5 Traktatu Północnoatlantyckiego, zgodnie z którym atak na jednego sojusznika jest traktowany jak agresja na wszystkich. W tej chwili regionalny pakt opiera się na dwóch filarach: pakistańskiej broni jądrowej oraz arabskim potencjale finansowym. Turcja mogłaby wnieść do tego sojuszu wiano w postaci najsilniejszej armii w regionie, rozbudowanego przemysłu zbrojeniowego oraz członkostwa w NATO. W ten sposób na Bliskim Wschodzie uformowałby się potężny blok wojskowy całkowicie zmieniający równowagę sił w regionie.

Cytowany przez agencję Bloomberg ekspert z Ankary tłumaczy potencjalny akces Turcji polityką Stanów Zjednoczonych, które skupiły się na „priorytetowym traktowaniu własnych interesów oraz interesów Izraela w regionie”.



Turcja

Norwy blok wojskowy

Zauważa też dyplomatycznie, że „zmieniająca się dynamika i skutki konfliktów regionalnych skłaniają do opracowania nowych mechanizmów identyfikacji przyjaciół i wrogów”.

Turcja już od pewnego czasu buduje bliskie relacje z Arabią Saudyjską i Pakistanem. Choć Saudyjczycy są postrzegani

przez Turków jako rywale w walce o przywództwo sunnickiego świata muzułmańskiego, to oba kraje wiele łączy. Wspólnie opowiadają się za utworzeniem państwa palestyńskiego oraz stabilnego, sunnickiego rządu w Syrii. Wyrażają też obawy przed polityką Iranu, sprzeciwiając się jednak użyciu siły wobec Teheranu. Od pewnego czasu rozwija się ich współpraca gospodarcza i militarna. Podobnie jest w przypadku relacji turecko-pakistańskich. Turcja jest ważnym dostawcą broni do Pakistanu i ostatnio mediowała – wspólnie z Katar – w negocjacjach między Pakistańczykami i talibami.

Nawiązanie kontaktów w formacie trójstronnym nabrało tempa po zakończeniu konfliktu między Pakistanem i Indiami, do którego doszło w maju 2025 r. Większość obserwatorów spodziewa się, że finałem rozmów będzie akces Turcji do sojuszu z Arabią Saudyjską i Pakistanem. Na razie zainteresowane państwa odmawiają komentarza w tej sprawie, co jedynie podgrzewa spekulacje na temat nowego bloku wojskowego, który wkrótce ma się pojawić na Bliskim Wschodzie.

Konrad Kolodziejcki

Euro nie przyniosło stabilizacji



Bulgaria

Bulgaria rozpoczęła nowy rok bez budżetu i bez rządu, za to z nową walutą, bo 1 stycznia ten bałkański kraj dołączył do strefy euro. To nie uspokoiło jednak nastrojów zrewoltowanej części społeczeństwa.

W minionym tygodniu prezydent Rumen Radew, uznawany przez wielu komentatorów za polityka prorosyjskiego, nie zgodził się powierzyć misji sformowania nowego rządu przedstawicielom partii GERB-SDS, mającej największy klub w liczącym 240 deputowanych parlamencie. To oznacza, że w kwietniu w Bułgarii odbędą się przyspieszone wybory. Wprawdzie od 2021 r. Bułgarzy głosowali już siedem razy, ale tym razem ich sympatie są dużą niewiadomą. Młode pokolenie, mobilizacja którego doprowadziła do największych w hi-

storii demonstracji antyrządowych i dymisji gabinetu Rosena Żelazkowa, domaga się zmian, bo uważa, że krajem rządzą ludzie skorumpowani i powiązani ze światem przestępczym.

Nie przeszkadza to jednak w rozwoju gospodarczym, bo mimo problemów z wyludnianiem się kraju Bułgaria ma się całkiem nieźle na tle pozostałych krajów Unii Europejskiej, zwłaszcza tych ze strefy euro. W 2024 r. jej PKB wzrósł o 3,4 proc., a w 2025 r. było to – jak się szacuje – 3,2 proc. Bułgaria ma także zdrowe finanse publiczne – relacja długu publicznego do PKB nie przekroczyła 25 proc. To m.in. dlatego takie oburzenie wywołały plany rządu, który zapowiedział podniesienie podatków. Młodzi Bułgarzy uznali to za manifestację „aroganckiej kleptokracji” i masowo wylegli na ulice miast.

Demonstracje były nie tylko świadectwem aktywności pokolenia Z, lecz są także zapowiedzią rewolucyjnych zmian na tamtejszej mocno spolaryzowanej scenie politycznej. Dotychczas podziały w bułgarskiej polityce wyznaczały przede wszystkim różnice narodowościowe, bo osobne przedstawicielstwa w parlamencie miały partie reprezentujące Bułgarów, a osobne – mniejszości narodowe, przede wszystkim Turków i Romów. Teraz te różnice ulegają zatarciu, bo jak zauważyli obserwatorzy, w antyrządowych demonstracjach uczestniczyli przedstawiciele wszystkich grup i odłamów bułgarskiego społeczeństwa. W związku z tym przedterminowe wybory mogą przynieść różne niespodzianki.

Marek Budzisz



Szejkowie boją się brytyjskich kampusów

Brytyjskie uczelnie są nie-
zwykle atrakcyjnym kie-
runkiem studiów dla studentów
ze Zjednoczonych Emiratów
Arabskich. Jednak ostatnio
szejkowie ograniczyli finanso-
wanie stypendiów swoim pod-
danym chcącym studiować na
tamtejszych uniwersytetach.
Powodem takiej decyzji jest
obawa przed radykalizacją
arabskich studentów przez
działające w Wielkiej Brytanii
Bractwo Muzułmańskie.

Decyzja Abu Zabi o wyklucze-
niu brytyjskich instytucji z listy
uniwersytetów uprawnionych
do państwowych stypendiów zo-
stała podjęta w momencie, w któ-
rym relacje między tymi dwoma
historycznymi sojusznikami
uległy pogorszeniu. W czerwcu
ub.r. tamtejsze ministerstwo
szkolnictwa wyższego opubli-
kowało listę światowych uni-
wersytetów objętych rządowymi
stypendiami i oficjalnie certyfi-
kowanymi kwalifikacjami. Zna-
lazły się na niej uczelnie z USA,
Australii, Izraela i Francji, ale
nie z Wielkiej Brytanii, która
jest siedzibą większości najlep-
szych instytucji akademickich
na świecie. Wykluczenie bry-
tyjskich uniwersytetów wiąże
się z obawami władz Emiratów
związanymi z coraz większym
ryzykiem indoktrynacji stu-
dentów przez grupy islamskich
radykałów, infiltrujących – ich
zdaniem – brytyjskie kampusy.

Niektórzy zamożniejsi Emi-
raccy nadal wysyłają swoje
dzieci na studia do Wielkiej
Brytanii, jednak oficjalnie wła-
dze ZEA nie chcą, aby ich dzieci

były narażone na działania rady-
kałów. Co ciekawe, tą postawą są
zdziwieni brytyjscy urzędnicy,
którzy obecność Bractwa Mu-
zułmańskiego na uczelniach tłum-
czą wolnością akademicką.

Od czasu tzw. arabskiej
wiosny szejkowie postanowili
ograniczyć rolę politycznego
islam, zwalczając go na te-
renie swojego państwa i poza
jego granicami. Prezydent Mo-
hammed bin Zayed Al Nahyan
od dawna krytykuje Wielką
Brytanię za to, że jej władze nie
zdelegalizowały Bractwa Mu-
zułmańskiego. Administracja
premiera Keira Starmera za-
pewnia zaś, że pozostaje ono
pod „ścisłą kontrolą”, a od dzie-
sięciu lat grupy nie łączono
z działalnością terrorystyczną.

Nikt nie ma jednak wątpliwo-
ści, że wybuch wojny w Gazie
ma destabilizujący wpływ na
brytyjskie kampusy studenckie.
W roku akademickim 2023/2024
70 studentów zostało zidenty-
fikowanych jako wykazujące
znaki „radykalizacji islamistycz-
nej” i jako tacy zostali skierowani
do rządowego programu „dera-
dykalizacji” Prevent. Co ciekawe,
większość jego podopiecznych
stanowi młodzież oskarżana
o sympatie dla „skrajnej prawicy”.

Islamscy ekstremiści próbują
przedstawić się jako ofiary po-
litycznej dyskryminacji. Nigel
Farage, którego partia Reform
UK prowadzi w sondażach, za-
powiedział, że po przejęciu wła-
dzy zakaze działalności Bractwa
Muzułmańskiego w Wielkiej
Brytanii.

Maciej Walaszczyk



Czy jesteś martwy?

Czy jesteś martwy?” – tak nazywa się najchę-
tniej pobierana ostatnio aplikacja w Chinach.
Jej użytkownikami są głównie osoby starsze i żyjące
samotnie w dużych miastach. Program kompute-
rowy pozwala jednym kliknięciem potwierdzić, że
właściciel telefonu komórkowego żyje. Jeżeli w ciągu
48 godzin nie skorzysta on z aplikacji, pod wskazany
wcześniej kontakt jest wysyłany sygnał alarmowy.

W krótkim czasie usługa stała się popularna także
poza Państwem Środka. Głównie dzięki Chińczykom
mieszkającym za granicą znalazła się ona w pierwszej
dwójce najczęściej pobieranych aplikacji w Singa-
purze, Hongkongu i USA oraz w pierwszej czwórce
w Australii i Hiszpanii. Jej twórcy podkreślają, że może
być ona przydatna nie tylko dla osób starszych, lecz
także wielu młodych dorosłych, którzy mieszkają sami
i mogą być narażeni na różne zagrożenia.

Sukces aplikacji wynika z tego, że odpowiada ona na
konkretną potrzebę społeczną, która z kolei wskazuje
na poważny problem, jakim jest samotność coraz więk-
szej liczby mieszkańców kraju. Według danych cytowa-
nych przez „Global Times” w 2030 r. w Chinach będzie
aż 200 mln jednoosobowych gospodarstw domowych,
a odsetek osób mieszkających samotnie przekroczy
30 proc. Największym niebezpieczeństwem dla ludzi
żyjących w takiej izolacji jest to, że mogą ulec wypad-
kowi lub ciężko zachorować i nikt tego nie zauważy. Nie
są to bynajmniej obawy bezpodstawne. Chińskie media
są pełne doniesień o emerytach, którzy zmarli w swoich
mieszkaniach, a ich ciała odkryte zostały dopiero po
tygodniach, a nawet miesiącach. Dzięki nowej aplikacji
liczbę tego typu przypadków można będzie ograniczyć,
a nawet zapobiec niektórym zgonom.

Chińscy dziennikarze opisujący powyższy problem
przemilczają zazwyczaj jego źródło, jakim jest poli-
tyka demograficzna państwa. Przez kilkadziesiąt lat
władze w Pekinie prowadziły przymusową politykę
depopulacyjną, stając się światowym liderem w doko-
nywaniu aborcji. Skutki tych działań mszczą się dziś
na Chińczykach.

Grzegorz Górny

Jak eurokraci podają Chińczykom europejską motoryzację na srebrnej tacy



*Apeluję po raz kolejny
– wykreślcie ten
nieracjonalny zakaz
rejestracji spalinówek
po 2035 r.!*

W grudniu 2025 r. Komisja Europejska, ta zgraja aroganckich biurokratów w brukselskich wieżach z kości słoniowej, łaskawie „złagodziła” zakaz sprzedaży samochodów spalinowych od 2035 r. Zamiast 100-proc. zielonego dyktatu elektrycznego wystarczy 90 proc. Resztę emisji producenci mają „skompensować” mityczną niskoemisijną stalą lub paliwami niemal z Księżyca.

Brzmi jak akt miłosierdzia? To skandaliczna farsa! To bezczelna drwina z sektora motoryzacyjnego, który generuje 7 proc. unijnego PKB i utrzymuje 13 mln Europejczyków. Zielona stal? Istnieje w żałośnie małych ilościach tylko w szwedzkich laboratoriach. Zielony wodór? Jego produkcja to kompletna kłapa ekonomiczna. W 2026 r. nadal królują emisyjne piece, a definicja „niskoemisyjnej” stali to mętna brednia szefowej Komisji Europejskiej Ursuli von der Leyen i jej klakierów. Komisja ciska zatruty ochłap – narzuca kretyńskie wymogi, komplikuje produkcję do absurdu i dusi branżę, która i bez tego

dogorywa pod butem ich ekologicznego fanatyzmu.

Ten 90-proc. „kompromis” to apogeum unijnej buty – żenujący plaster na gangrenę, który niczego nie leczy, tylko ukrywa katastrofę. Po co w ogóle ten idiotyczny zakaz? Trzeba go wykreślić całkowicie, natychmiast, zanim ci eurozdrajcy dobiją europejski przemysł! Sektor motoryzacyjny nie zasługuje na brukselskie łańcuchy, lecz na wolność innowacji bez tych ideologicznych bzdur. Raport Maria Draghiego mówi bez ogródek: Unia Europejska wciska klimatyczną histerię ponad realną gospodarkę, olewa neutralność technologiczną i wypycha fabryki prosto w łapy Azji.

A chińskie elektryki? Wjeżdżają do Europy jak po swoje. W 2025 r. ich udział w rynku EV skoczył do 12 proc., podwaja się co rok. Subsydiowane bestie z BYD czy MG, tańsze o tysiące euro, rozgniatają Volkswagena czy Renault. Pekin oszukuje bez skrupulów, a Bruksela knebluje własnych gigantów.

Infrastruktura? Żenująca kpina – stacje ładowania samochodów elektrycznych co 60 km to bajka dla średnio rozgarniętych, dziury w sieci czynią EV gadżetem dla korporacyjnych bubków, a nie normalnego człowieka. Kowalski wybiera spalinówkę, bo w polskim klimacie elektryk to tortura zafundowana przez eurokratyczne pasożyty.

Na dokładkę umowa Mercosur kasuje cła na auta z Brazylii. Chińczycy, sprytni jak diabli, stawiają tam fabryki – BYD wlewa miliardy, by obejść unijne taryfy antydumpingowe. Bezczłowe „brazylijskie” chińskie EV zaleją kontynent, a nasze zakłady zbankrutują. Gospodarka Unii Europejskiej, 30 proc. w tyle za USA od 2008 r., gnije w zielonym bagnie – biurokraci likwidują przemysł, sieją zniszczenie i zgarniają granty na kolejne „zrównoważone” kłamstwa.

Apeluję po raz kolejny – wykreślcie ten nieracjonalny zakaz rejestracji spalinówek po 2035 r.! Uwolnijcie przemysł z kajdan, inwestujcie w realne technologie, nie w te ideologiczne brednie. Inaczej motoryzacja Europy padnie łupem chińskich komuchów – z błogosławieństwem brukselskich zdrajców. Obudź się, ideologiczna Europo, zanim wszystko szlag trafi!

Daniel Obajtek

Fot. Archiwum autora

Rządowa mowa nienawiści



**Jan
Pietrzak**

Ministrula Kotula od równości zabrała się do zwalczania „mowy nienawiści”. Te dwa stany świadomości są ze sobą ściśle związane, czasami beznadziejnie splątane. Ktoś czujący się nierówno na ogół nienawidzi równiejszych. Przy gwałtownym skumulowaniu emocji prowadzi to do społecznych rewolt. Najbardziej spektakularnym narzędziem przywracania równości była gilotyna. Głowy spadały na paryski bruk, a lud się cieszył, tańczył karmaniole. W odwrotnej sytuacji nienawiść sfer rządowych rzadko jest manifestowana w tak żywiołowy sposób. Przejawia się w fałszywych deklaracjach, jest ukrywana w kamuflowanych decyzjach. Nasz przypadek z ostatniego roku: rząd – służący obcym interesom – wyraził zgodę na przyduszenie polskiego rolnictwa. Rolnicy nie po raz pierwszy zjechali do Warszawy traktorami, by protestować przeciwko gangsterskiej zмовie oligarchów Mercosur. Rząd, nienawidzący demonstrantów, zatrzymał ich na rogatkach. Czy istnieje tu równość wobec prawa, ministrulo Kotulo?

By tego rodzaju przypadki nie były ujawniane społeczeństwu, rząd próbuje przepchnąć ustawę zwaną cyfryzacyjną, która narzuca wprowadzenie cenzury w internecie. Fałszywi liberalowie to prawdziwi zamordcy. Nienawiść do prawdy ze strony władzy jest znaczącym elementem nienawiści do ludzi. Grupa trzymająca władzę wie o tym i stara się tych ludzi upokorzyć, zastraszyć, żeby ani przez chwilę nie zapominali, kto tu rządzi i jakie kuku może zrobić buntownikom.

Dlatego np. ZUS idzie po rekord. Wśród nowych stawek emerytur pojawiły się kwoty rekordowe: 2 gr, 5 gr, 9 gr. Po co oni tak beczelnie ekspozują różne denerwujące decyzje? Bo to jest gra despotów z poddanymi. Despotyzm nie zawsze objawia się jako tyrania w typie Hitlera lub Stalina. W naszej najnowszej historii despotą były ciała kolegialne: „Kumitet Cyntralny naszy partii” (wymowa oryginalna) i Wojskowa Rada Ocalenia Narodowego (!).

Niedawno Tomasz Sakiewicz – wiecznie zajęty redaktor – z powodu braku czasu ogłosił skróciową wersję wnikliwego eseju „Asad, Maduro... Tusk?”, wywołując nerwową reakcję sztucznych inteligentów, nierozumiejących pozytywnej wymowy przesłania. Przecież gdyby chciał wywołać negatywne emocje, przywołałby Saddama Husajna i Osamę bin Ladena. Też byli specjalistami od siania nienawiści.

Z tego punktu widzenia zdziwienie budzi projekt wprowadzenia do Polski niemieckich wojsk. Mają się pojawić na polskiej ziemi pod pretekstem braterskiej pomocy. Mamy z nimi straszne doświadczenia. Niemiecka armia na polskiej ziemi kojarzy się fatalnie. Co gorsza, obecnie jako współnicy w NATO i UE nie potrafią być partnerami. Już trzeci kanclerz ogłasza, że przejmie przywództwo Europy. To kiepski pomysł. Niemieckie przywództwo zawsze prowadzi Europę do zguby! Który to już raz!

Nie udało się zaszachować prezydenta

Plan był prosty: presja, przecieki, gra służbami i medialny ostrzał. Tak, by przyszedł prezydent jeszcze przed zaprzysiężeniem został zepchnięty do defensywy, osłabiony, zaleźny. Nie udało się. Karol Nawrocki okazał się twardszy, niż zakładali autorzy tego scenariusza. I nie chodzi tylko o pamięć – choć prezydent nie zapominał, jak traktowano go w kampanii, jak próbowano go delegitymizować, jeszcze zanim obywatele oddali głos. Chodzi o coś znacznie poważniejszego: o obronę zasad demokracji.

Bo działania wymierzone w jednego z faworytów wyborów prezydenckich nie były wyłącznie atakiem personalnym. Były uderzeniem w wyborców. Próbą stordowania ich prawa do uczciwego wyboru. Gdy pojawiają się podejrzenia o angażowanie służb w proces wyborczy, o selektywne „wycieki” do mediów, o możliwe nielegalne finansowanie kampanii kontrkandydata, stawka przestaje być polityczny pojedynek. Staje się nią zaufanie do państwa.

Dlatego znaczenie ostatniego spotkania prezydenta ze służbami specjalnymi jest większe, niż chcieliby to widzieć rządzący. Nawrocki postawił sprawę jasno: państwo ma działać dla

obywateli, a nie dla interesów koalicji 13 grudnia. Służby nie są od zabezpieczania politycznych planów Tuska i jego zaplecza, lecz od ochrony bezpieczeństwa Polski. Wielu funkcjonariuszy doskonale to rozumie – przyszli do służby państwu, a nie ekipie rządzącej. Dzisiejszy chaos uderza także w nich.

„Prezydent oczekuje pełnego wyjaśnienia wszystkich spraw, które budziły zainteresowanie opinii publicznej” – powiedział jego rzecznik Rafał Leśkiewicz po spotkaniu. To zdanie brzmi jak oczywistość, ale w obecnych realiach jest deklaracją politycznej odwagi. Bo wyjaśnienia mogą być niewygodne.

Koalicja chciała „swojego” prezydenta, który podpisem zalegalizuje dwa lata bezprawia. Nie udało się. To moment, z którego wnioski powinna wyciągnąć także władza – choć wciąż brakuje jej pokory. W demokracji nie da się wiecznie grać *va banque* przeciwko obywatelom. Nawet jeśli bardzo by się chciało.



**Samuel
Pereira**



Walizka

Agnieszki Ejsymont

artystki sztuk wizualnych, pianistki

Moje życie od początku wyznaczały podróże. Dorastałam nad morzem, studiowałam w Szczecinie, później w Poznaniu, przez pewien czas mieszkalam pod Wrocławiem. Gdy poznałam męża, zamieszkaliśmy w Warszawie – już od ponad 20 lat to właśnie ona jest naszym domem. Podczas wszystkich przeprowadzek od 35 lat towarzyszy mi jednak nie tylko walizka z ubraniami i farbami, lecz także 300-kilogramowe pianino. Jest jak stały punkt odniesienia – ciężki, wierny, nie do pominięcia. Jestem artystką wizualną, historykiem sztuki, malarką i projektantką ekspozycji komercyjnych. Myślę obrazami. Mój świat składa się z kolorów, faktur i emocji zapisanych na płótnie. Tworzę, ponieważ wierzę, że sztuka zaczyna mówić tam, gdzie słowa tracą moc. W moich pracach klasyczne malarstwo olejne spotyka się z nowoczesną wrażliwością na ludzkie historie i przeżycia. Od lat pomagam markom przedstawiać ich narracje językiem obrazu, równolegle rozwijam swój głos artystyczny. Niezależnie od tego, czy jest to duże płótno prezentowane w galerii, czy niewielki magnes na lodówce, każda moja praca niesie to samo przesłanie: piękno powinno być obecne w codzienności.



OBRAZ Z PORTEM

To w istocie portret mojego życia. Przedstawia okolice domu w Dziwnowie. W tle – zabudowania portowe, w centrum – galeon. Kapitan po prawej stronie wskazuje cel, młody mężczyzna z lunetą przygotowuje się do podróży. To opowieść o drodze.

FARBY

Używam farb polskich i włoskich. Maluję olejami o szlachetnej połyskliwości, ich wolne schnięcie pozwala na cierpliwą, pogłębioną pracę z obrazem. Najbliższe są mi pigmenty firm Oil Master i Astra. Niektóre tubki mają dziś ponad 40 lat i zachowują doskonałą jakość.





BIBLIA

To mój najważniejszy życiowy drogowskaz. Najwyższą wartością pozostaje dla mnie miłość. Wierzę, że gdyby żyć nią naprawdę, większość problemów świata przestałaby istnieć.

MAŁŻEŃSTWO

Samotność bywa awangardą naszych czasów, pozostaje jednak tradycjonalistką. Wybieram małżeństwo. Wartość wspólnego życia jest nie do przecenienia, a przyjaźń małżonków uważam za równie ważną co miłość. Mój mąż jest moim najlepszym przyjacielem.



ŚP. TATA

Nie zdążyłam go poznać – przyszedł na świat dwa tygodnie po jego śmierci na morzu, a jednak noszę w sobie jego charakter i podobieństwo. Zbudował dla mnie dom z widokiem na Bałtyk, w którym spędziłam dzieciństwo. Miłość do Ojca i morza powraca w moich obrazach marynistycznych.



MUZYKA

Gram na pianinie od ósmej klasy szkoły podstawowej. Daleko mi do poziomu laureatów konkursów chopinowskich, za to nie brakuje mi zapału – o czym doskonale wiedzą moi przyjaciele i sąsiedzi.



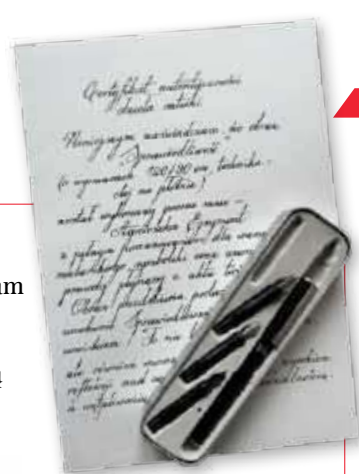
ŚLEDZIE PO KASZUBSKU

Gdybym miała wybrać jedną rzecz, którą wzięłabym na bezludną wyspę, byłyby to śledzie po kaszubsku. Ryby mogę jeść codziennie – na śniadanie, obiad i kolację.



KALIGRAFIA

Od trzeciego roku życia trzymam w dłoni pióro. Zapisalam nim setki kartek, zeszytów i dzienników. Piszę gotykiem, pisanką angielską i potrafię odtworzyć niemal każdy tradycyjny styl pisma.



ŻEGLARSTWO

Żegluję od piątego roku życia. Wychowywali mnie koledzy Taty – rybacy i marynarze. Mieszkalam w Dziwnowie, 150 m od morza, tuż przy kapitanacie portu.

Zabierano mnie na rejsy, karmiono opowieściami. Stąd moja pasja do kolekcjonowania modeli żaglowców i statków.

RADIO

Dzień zaczynam od kawy i audycji „Miłość i śpiew” oraz „Poranka Krzysztofa Skowrońskiego” w Radiu Wnet.



„TEMIDA”

Powstała na zamówienie kancelarii adwokackiej w Krakowie. Klasyczna symbolika w malarzkiej interpretacji.

OBRAZY MARYNISTYCZNE

Tworzę duże płótna z morskimi pejzażami, które wprowadzają odbiorców w przestrzeń spokoju i harmonii. Maluję je z radości i z miłości do morza. I to – jak słyszę – jest w nich odczuwalne.



Wysłuchał i zapisał **Michał Korsun**



TRENDY I OWĘDY

Cenzura im. UE

Zawetowanie przez prezydenta Nawrockiego nowelizacji ustawy, która dostosowywała polskie przepisy do unijnego Aktu o usługach cyfrowych – Digital Service Act – pochwalił sam Elon Musk. Podpis prezydenta otwierałby drogę do cenzury treści niewygodnych dla UE. O wecie napisał na opiniotwórczym portalu X amerykański dziennikarz, a Elon Musk, właściciel X, skomentował to: „Bravo!”. Takie „Bravo” od słynnego miliardera to nie jest zwykłe „Bravo”. Cały świat dowiedział się o podejmowanych przez nasz rząd – na życzenie UE – działaniach kneblujących w internecie.



Ryszard Makowski

Do dyskursu postanowił włączyć się nasz minister cyfryzacji, wicepremier z lewicy, i tak ripostował po angielsku: „Mr. @elonmusk, this veto isn't a victory, it's a disgrace” – „To weto to nie zwycięstwo, to hańba”. Powiało Szekspirem przez konta od Otwocka po Tokio. Podniosła sentencja nie zrobiła międzynarodowej kariery. Ot, na naszym wirtualnym poletku pokazała, jak zszarpane nerwy mają ludzie władzy. Trudno się im dziwić. Przyszła dyrektywa z Brukseli, a tu są trudności z jej wykonaniem. PRL była oparta na kłamstwie. Z tym że nawet ci, którzy odgrywali istotną rolę w umacnianiu władzy ludowej, mieli świadomość tego, że większość oficjalnych tez to bajki z mchu i paproci.

Kłamstwo unijne jest o tyle groźne, że ma wielu ortodoksyjnych wyznawców. Nawet Białe Ład za oknem nie jest w stanie dać im do myślenia, że coś jest nie tak z tym globalnym ociepleniem. Trzeba bronić wolności słowa, żeby hałd śniegu i temperatury -10 st. Celsjusza nie trzeba było – zgodnie z wymogami – nazywać upalnym latem.



Fot. Marcin Nowak/REPORTER

SIECI

ISSN 2544-2694

www.SIECIprawdy.pl

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 255 93 32, (22) 255 93 33; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSCZCZ, MAREK BUDZISZ, RYSZARD CZARNECKI, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNIA, GRZEGORZ GÓRNY, PIOTR GURSZTYN, STANISŁAW JANECKI, MARTA KĄCZYŃSKA-ZIELIŃSKA, KONRAD KOŁODZIEJSKI, JAROMIR KWIATKOWSKI, LECH MAKOWIECKI, RYSZARD MAKOWSKI, DARIUSZ

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARŃKOWSKI
ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.

PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA

REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL



DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCİKOWSKA,
MARIOLA.BARCİKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAŁ.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI,
KATARZYNA ŁASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTODYSCJA: ROBERT GOŁASZEWSKI,
ROBERT.GOŁASZEWSKI@FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 14.00 – 16.00)
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE
WWW.SIECI.PRAWDY.PL

WPLAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290

FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPLATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO
WYSŁYKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

Druk: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93

KOLPORTAŻ: KOLPORTAŻ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O.
WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE
(WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE).
REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH.
OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU
POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY.
BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH
PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST
ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNA.



FOT. REV FEATURES/EAST NEWS, GRZEGORZ WĄDŁA/REPORTER, ANITA WALCZEWSKA/EAST NEWS, MACIEJ NABRODAK/EAST NEWS, ANDRZEJ WIKTOR, MIPW, SHUTTERSTOCK/PJ-STOCK

Zamów prenumeratę Sieci! Od 2 stycznia 2025 r. według nowego cennika

CENNIK PRENUMERATY*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
Krajowa	118 zł	207 zł	375 zł
Zagraniczna	296 zł	566 zł	1099 zł

*Dane do przelewu w stopce redakcyjnej

Brukselska amnezja: kontrolowane zapomnianie

W ubiegłym tygodniu w Brukseli pod auspicjami Komisji Europejskiej odbyła się konferencja poświęcona pamięci o Holokauście. Piękne hasła, godne miejsce, wzniosłe deklaracje. Pamięć, odpowiedzialność, „nigdy więcej”. A jednak – jak to często bywa na unijnych salonach – diabeł tkwi w szczegółach. I w słowach.

Gospodarzem konferencji była koordynatorka Komisji Europejskiej ds. zwalczania antysemityzmu i wspierania życia żydowskiego. I proszę się nie dziwić: Niemka. Takie rzeczy od dawna mnie nie zaskakują. Zresztą w polityce europejskiej przypadki zdarzają się rzadko.

Podczas spotkania padały sformułowania, które powinny bić w oczy każdego Polaka: „Getto nazistowskie w Polsce”. Brzmi niewinnie, prawda? Ot, geografia. Tylko że ta „geografia” jest wygodnym mechanizmem. Znamy go przecież, teks-

tów o „polskich obozach” napisano już wiele. Krok po kroku przesuwa się odpowiedzialność – z narodu na ideologię, z państwa na abstrakcję, z Niemców na „nazistów”. A potem już tylko pół kroku do sugestii, że skoro „w Polsce”, to może i... „z udziałem Polaków”.

Padły nawet oskarżenia o „nazistowskich członkach Armii Krajowej”, którzy rzekomo mieli mordować Żydów. Oczywiście – zawsze znajdzie się miejsce na przypisanie Polakom winy zbiorowej, ale nigdy na jasne wskazanie sprawcy systemu Zagłady.

I tu dochodzimy do sedna: w Parlamencie Europejskim szybciej usłyszymy tysiąc frazesów o „europejskich wartościach”, niż doczekamy się oficjalnego pisma, w którym czarno na białym by napisano, że sprawcami II wojny światowej byli Niemcy. Nie „naziści”. Nie „totalitaryzmy”. Nie „reżimy”. Tylko Niemcy.

Niemcy od dekad „biją się w pierś”, ale robią to ostrożnie, tak by wybrzmiało słowo „nazizm”, a nie – „Niemcy”.

A Unia tę linię przejmując i utrwała. Dlatego w oficjalnej narracji coraz częściej słyszymy o „nazistach”, a nie o państwie niemieckim. Rozmywa się winę, rozmywa się odpowiedzialność, ukrywa sprawcę.

Jeśli koordynatorka ds. zwalczania antysemityzmu jest Niemką, jeśli szefowa Komisji Europejskiej jest Niemką, jeśli niemieckie wpływy dominują w kluczowych strukturach Unii, a szefem największej europejskiej partii również jest Niemiec, to nie jest przypadek, tylko system. To dowód, że UE działa dziś w rytmie niemieckich interesów i pod niemiecką kontrolą polityczną. I trzeba to powiedzieć wprost: Unia Europejska będzie istnieć tak długo, jak długo będzie służyć realizacji niemieckich interesów narodowych.

Arkadiusz Mularczyk



W rodzinie siła

Z aktorami filmu „Nie ma duchów w mieszkaniu na Dobrej” rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

„Nie ma duchów w mieszkaniu na Dobrej” to bardzo osobista opowieść reżyserki i zarazem scenarzystki Emi Buchwald. Jak się odnajdawaliście w tej historii?

Tymoteusz Rożynek (raper, autor tekstów): Każdy miał wolność w interpretowaniu własnej postaci.

Bartłomiej Deklewa: Ale też bieгло to równolegle, bo drugim torem szła Emilka [Buchwald – przyp. red.] i prowadziła nas przez tę historię, opowiadała o swoich doświadczeniach.

Od zdjęć minęło już trochę czasu. Czy czujecie się jeszcze „rodzeństwem”?

B.D.: Na planie zbudowała się między nami więź. Za każdym razem, gdy się widzimy, jest to – można powiedzieć – czułe spotkanie.

T.R.: Z Bartkiem znamy się od szkoły...

Karolina Rzepa:...my z Izą spotkałyśmy się na castingu, tam poznałyśmy Tymka i Bartka...

Izabella Dudziak:...ale nasze drogi się przecinają. Choć często przypadkowo, gdzieś w mieście.



Czy prywatnie macie rodzeństwo?

T.R.: Dwie siostry – jedną młodszą, drugą starszą.

I.D.: Dwóch braci. Jeden młodszy o 4 lata, drugi o 20.

K.R.: Jestem – jak w filmie – najstarsza. Mam dwójkę rodzeństwa.

B.D.: Dwie młodsze siostry (12 i 13 lat różnicy) i brat – 11 lat różnicy, więc dynamika w relacjach jest inna niż u naszych bohaterów, ale i w jednym, i drugim przypadku czuje się, że w rodzinie jest siła.



Wojna Tuska z prezydentami

Donaldowi Tuskowi przeszkadzał prezydent Lech Kaczyński – człowiek, z którym Tusk się dobrze znał. Przeszkadzał mu Andrzej Duda – liczył każdy dzień do końca jego kadencji. Teraz przeszkadza mu Karol Nawrocki, czyli już trzeci prezydent, z którym Tusk jako premier nie potrafi ułożyć relacji. Ilu jeszcze trzeba głów państwa, aby Tusk zaczął współpracować z którąś bez ciągłych awantur?



PIOTR GURSZTYN

Z jednej strony Donald Tusk i jego partia liczą każde weto Karola Nawrockiego, z drugiej – prezydent skrupulatnie podaje liczbę podpisanych ustaw. Statystyka wygląda następująco: 23 weta i 144 podpisane ustawy. Głowa państwa podkreśla przy tym swoją rolę jako strażnika konstytucji. Uzasadniając każdą odmowę podpisania ustawy, przywołuje konkretne zapisy ustawy zasadniczej oraz orzeczenia organów, takich jak Trybunał Konstytucyjny czy Sąd Najwyższy. „Rządzący muszą zrozumieć,

że nie jestem ich notariuszem” – mówił przy okazji ostatnich trzech wet.

Podane wyżej liczby rzeczywiście stanowią swoisty rekord w porównaniu z decyzjami poprzednich prezydentów. Szczególnie że Nawrocki urzęduje zaledwie pół roku. Ale jednocześnie każdy, kto zna realia polskiej polityki, ma świadomość, że na linii Tusk–Nawrocki stosunki i tak by były wrogie, niezależnie od tego, czy prezydent wetuje, czy też nie. Takie są doświadczenia z wątpliwych „kohabitacji” Tuska z poprzednimi prezydentami – z oczywistym wyjątkiem jego partyjnego kolegi, czyli Bronisława Komorowskiego.

Wracając do statystyki wet, to sprawa jest jasna – prawo do odmowy podpisania ustawy jest jedną z najważniejszych prerogatyw głowy państwa. Na jakiej podstawie ustala się zatem, jaka liczba wet jest dopuszczalna? Obóz liberalny ramię w ramię z mediami głównego nurtu przez długie lata przywykł do tego, że to on dyktuje interpretacje. To znaczy tylko on określa, co jest praworządne, demokratyczne, a co nie. Ale trzy dekady III RP nauczyły większą część opinii publicznej tego, że to hipokryzja. Udowodniły to wolty Tuska i jego partii w kluczowych tematach, takich jak migranci, 800+, zaporą na granicy czy WOT. Polacy wiedzą, że

w sprawie wetowania liberalowie i ich media jeszcze nieraz zmieniać zdanie. Tak jak mieli już pretensje do Dudy o to, że nie wetuje ustaw przygotowanych przez rządy PiS, czyli partii, z której się wywodzi (a i tak zawetował kilka ważnych projektów, czego nikt po stronie liberalnej nie docenił).

FAŁSZYWA NARRACJA

Jeszcze w czasie kampanii prezydenckiej Nawrocki zapowiadał, że zapędzi „leniwy rząd” do pracy. To oczywiście czysto kampanijna retoryka, ale łączyła się z konkretnym faktem. Kilkanaście pierwszych miesięcy urzędowania rządu Tuska to czas niezwykle mało aktywny pod względem prac legislacyjnych. Trwała jeszcze kadencja prezydencka Dudy i ekipa Tuska otwarcie mówiła, że nic nie robi, gdyż i tak zostanie to zawetowane. Zupełnie oficjalnie komunikowano, iż rząd czeka na wygraną Rafała Trzaskowskiego (który podpisując wszystko, nie byłby oczywiście „długopisem” według retoryki obozu liberalnego). Paradoks tych komunikatów polega na tym, że są jednocześnie prawdą i kłamstwem. Rzeczywiście Tusk czekał na to, żeby jego prezydent wszystko mu „klepnął”. Jednocześnie była to jednak propagandowa wymówka, bo rząd nie dysponował pakietem ustaw przygotowanych na ten nowy, wspaniały dla nich czas. Nawet prezydent Trzaskowski nie miałby czego podpisywać.

To kolejny znak, że nie jest prawdą, jakoby Nawrocki blokował jakieś reformy Tuska. Tych nie ma. Ostatnie trzy zawetowane akty prawne to dwie nowelizacje starych ustaw i implementacja prawa unijnego. Trudno to nazwać wynikiem wyteżonej pracy legislacyjnej, od której zależy rozwój Polski.

Bezczelnością była nowelizacja ustawy o NCBR i powiązanych z nim instytucjach (w tym Sieci Łukasiewicz). Według niej minister nauki i szkolnictwa wyższego miał uzyskać jednoosobowo dużo większe uprawnienia w obsadzaniu stanowisk dyrektorskich i wicedyrektorskich w tych instytucjach kosztem ograniczenia postępowań konkursowych. Szef resortu miał też obsadzać połowę Rady NCBR. A doświadczenia np. z Siecią Łukasiewicz

z czasów obecnej koalicji to seria skandali. Wchodzące w jej skład instytucje zostały obsadzone przez działaczy partyjnych KO, Lewicy i PSL, ludzi bez kwalifikacji naukowych ani menedżerskich. Najgłośniejszy był przypadek odejścia wybitnej naukowic, prof. Alicji Bachmatiuk (ściągniętej do Polski z prestiżowego stanowiska w Korei Południowej), gdy zmuszano ją, aby powołała na swojego zastępcę polityka Lewicy, wiceministra sprawiedliwości Bartłomieja Ciężyńskiego. Były minister nauki w rządzie Tuska, osławiony Dariusz Wiczorek, miał grozić szefowi Sieci Łukasiewicz dr. Andrzejowi Dybczyńskiemu, że tak „zniszczy jego wizerunek”, iż naukowiec nie znajdzie już nowej pracy.

W przypadku ustawy wdrażającej unijny akt o usługach cyfrowych (DSA) słyszymy rządowe argumenty, że weto blokuje ściganie pedofilii lub rosyjskiej dezinformacji. Tak jakby dotychczasowe przepisy na to nie pozwalały. A przecież gdy władza chce, to potrafi szybko zidentyfikować i ścigać autorów wpisów internetowych – np. emerytkę z Torunia, która miała narazić na stres Jerzego Owsiaka. W polskim internecie rosyjska propaganda hula w najlepsze od lat, co wie każdy użytkownik mediów społecznościowych. Jej głosicielami są polscy obywatele, którzy szerzą ją zupełnie jawnie. Władze zauważyły to dopiero teraz? Było jasne, iż rządowi chodzi o blokowanie krytyki swoich działań, a walka ze wspomnianymi patologiami to tylko propagandowa przykrywką.

„Po raz kolejny do dobrych rozwiązań doklejono przepisy, które są nie do obrony i po prostu szkodzą” – uzasadniał swoje weto prezydent. To oczywiście nawiązanie do ustawy sprzed kilku miesięcy, która miała dotyczyć zamrożenia cen energii elektrycznej, ale do której doklejono przepisy dotyczące budowy wiatraków. Cały dokument liczył 98 stron, z czego 96 dotyczyło ułatwień w budowie elektrowni wiatrowych, a tylko dwie odnosiły się do mrożenia cen.

I jeśli sprawę DSA można uznać za polityczną, to pozostałe weta w większości absolutnie takie nie są. Prezydent odrzucił ustawy, które stanowiły wynik tajemniczych działań lobbingskich na korzyść firm ubezpieczeniowych. „Wystarczy przeoczony SMS, e-mail czy ko-

munikat w aplikacji, by człowiek mógł stracić prawo do odszkodowania” – mówił Karol Nawrocki. To już druga próba przełamania rozwiązań uprzywilejowujących ubezpieczycieli kosztem ich klientów. Wcześniej rząd wysłał do prezydenta nowelizację znoszącą obowiązek karania przez KNF ubezpieczycieli za opóźnienia w wypłacaniu odszkodowań dla posiadaczy OC pojazdów mechanicznych, OC maszyn rolniczych i obowiązkowego ubezpieczenia budynków rolnych. Nawrocki to zawetował, ale – co ciekawe – strona rządowa nie protestowała, ani tym bardziej nie rozpoczęła kampanii ataków przeciw „wetomatowi”. Dlaczego? Prawdopodobnie dlatego, że sama uznała, iż ta wrzutka ją kompromituje.

Najwięcej szumu – wręcz hysterii – wywołało weto w sprawie trzymania psów na łańcuchach. Ale widać, że ta sprawa wbrew wielkim nadziejom Tuska nie pogrążyła Nawrockiego w oczach społeczeństwa. Owszem, w sondażach ludzie wypowiedzieli się, że są przeciwni łańcuchom, ale jednocześnie notowania prezydenta pozostają wysokie. Czym można to wytłumaczyć? Chyba tym, że do opinii publicznej dotarła niespójność rządowej propozycji. Czyli próba narzucenia wyśrubowanych norm wiejskim posiadaczom psów przy jednoczesnym zignorowaniu faktu, że w miastach zwierzęta nie są trzymane w lepszych warunkach.

NAJPIERW KRZYK, POTEM CISZA

Widać, że wbrew liberalnej narracji wetowanie nie szkodzi Nawrockiemu. Teza, jakoby tak było, to raczej wishful thinking niż opis rzeczywistości. Sondaże, w których ujmowany jest prezydent, nie pokazują załamania pozytywnego stosunku do niego. Oczywiście to sinusoida, były spadki, ale potem w innych sondażach krzywa z powrotem szła do góry.

Wetowanie może się nawet podobać, i to nie tylko prawicowej części opinii publicznej. Dość powszechne jest przekonanie o niskiej jakości pracy Sejmu i Senatu, czego dowód stanowi ciągle nowelizowanie całkiem świeżych ustaw. Oprócz legislacyjnego niechlujstwa widać też intencjonalne działania w kierunku obniżenia standardów demokratycznych i prawnych. Najdobitniejszym tego przykładem są projekty

ustaw wychodzące od ministra sprawiedliwości Waldemara Żurka, totalnie skrytykowane np. przez Helsińską Fundację Praw Człowieka.

Rząd jest bezradny wobec tej konstytucyjnej prerogatywy głowy państwa także w wymiarze praktycznym, bo koalicja nie dysponuje wystarczającą liczbą głosów, aby odrzucać prezydenckie weta. To buduje przekonanie o sprawczości młodego, energicznego prezydenta i umacnia wizerunek rządu jako nieskutecznych gaduł. „Będziemy świadkami tego przykrego spektaklu, jakim jest wetowanie ustaw. Nie pozwolę, byśmy byli jego ofiarami” – mówił we wrześniu ub.r. Tusk po wetach w sprawie ustawy wiatrakowej i świadczeniu 800+ dla obywateli Ukrainy. Po czterech miesiącach widać, że nie ma żadnego naprawiania „bałaganu”, więc było to tylko pustosłowie rozgniewanego premiera.

Szef rządu straszył prezydenta – a także PiS i Konfederację, które poparły weto w sprawie kryptowalut – że wkrótce pożałuje swych decyzji. Sugestia była taka, że zostaną ujawnione jakieś szczególnie kompromitujące fakty, prawdopodobnie o charakterze kryminalnym. „To, że posłowie opozycji obronili weto prezydenta Karola Nawrockiego w tej złej sprawie, nie oznacza, że ona się zakończyła. Będą bardzo żalowali tej decyzji” – zapowiadał Tusk na początku grudnia. Minał już miesiąc, a wszyscy zapomnieli o tym rzekomym skandalu, jakim miało być weto w sprawie kryptowalut.

Tu zresztą – podobnie jak w przypadku DSA – ze środowisk dalekich od polityki było słyhać głosy, iż rządowy projekt ustawy jest czymś absolutnie anachronicznym. A dodatkowo wbrew propagandzie rządu wcale nie pełniłby funkcji ochronnej. Wygląda na to, że obecna koalicja nie rozumie najnowszych zjawisk w gospodarce. O weto w tej sprawie apelowała branża kryptowalut, tłumacząc, że projekt zablokowałby rozwój sektora i uderzyłby w innowacyjne działy gospodarki. Do tej pory i tak wielka liczba polskich podmiotów gospodarczych zajmujących się kryptowalutami odpłynęła do Czech lub Estonii. Działanie ustawy jeszcze bardziej

by na to wpłynęło, m.in. przez horrendalne opłaty za nadzór, które wykluczały start-upy, co skutkowałoby całkowitą likwidacją rynku kryptoaktywów w Polsce. Jednocześnie jej zapisy wcale nie zapewniały ochrony przed oszustami, jak podkreślało wielu ekspertów.

KAMPANIE DYFAMACYJNE

Historia pokazuje, że to Donald Tusk, a nie Karol Nawrocki, stanowi problem. Lider KO tak samo nie potrafił współpracować z Lechem Kaczyńskim i Andrzejem Dudą. Można tu przytoczyć popularne powiedzonko o tym, że jeśli jedna osoba mówi, że ktoś jest pijany, można to zlekceważyć, ale gdy mówi to więcej ludzi, znaczy, że faktycznie tak jest.

Nie jest prawdą, jakoby prezydent Nawrocki blokował jakieś reformy rządu Tuska. Tych nie ma. Ostatnie trzy zawetowane akty prawne to dwie nowelizacje starych ustaw i implementacja prawa unijnego

Upływ czasu zaciera szczegóły, więc trzeba je przypomnieć. Relacje między premierem Tuskiem a prezydentem Kaczyńskim stanowiły szok dla opinii publicznej. Wprawdzie wcześniej były szorstkie kohabitacje między Aleksandrem Kwaśniewskim a rządem AWS czy nawet premierem Leszkiem Millerem, ale wszystko to przybierało cywilizowane formy. Mimo sporów nie dochodziło do odzierania przeciwnika z godności, jak czyniono wobec Lecha Kaczyńskiego.

To Tusk uruchomił ten mechanizm, a jego głównym wykonawcą stał się Janusz Palikot. Mówił on otwarcie, że ma takie zadanie. „Trwale uszkodziliśmy liderów PiS i całą formację, która jest już niezdolna do zwycięstwa. Nikogo już nie uwiodą, bo są

fundamentalnie ośmieszeni” – opowiadał w wywiadzie dla „Polska. The Times” w styczniu 2010 r. Wówczas zapadały decyzje o tym, aby rozdzielić wizyty prezydenta i premiera w Katyniu, co finalnie doprowadziło do niewyobrażalnej tragedii. Autorzy wspomnianego wywiadu, Anita Werner i Paweł Siennicki, zarzucili Palikotowi, że nie zajmował się niczym innym, jak tylko drwinami z prezydenta i polityków PiS. „Racja, moim celem było ich ośmieszyć, wyszydzić, skompromitować, sprowadzić do niskiego parteru, doprowadzić do sytuacji, że oni nie są wielkimi przywódcami i nie mogą uwieść narodu” – odpowiedział, potwierdzając to, że było to systemowe działanie. Nikt z PO nie odcinał się od jego słów i działań.

Zwolennicy Tuska szukają usprawiedliwień dla niego. Uważają, że wina leży po drugiej stronie, względnie niektórzy próbują ją podzielić po równo. Ale nie można tego uznać za prawdę, gdy widzimy, że kampanie nienawiści dotyczą już trzeciego prezydenta. Po Lechu Kaczyńskim był też Andrzej Duda, wobec którego Donald Tusk wygłaszał słowa z wiersza, które powszechnie zostały uznane za zawołane groźenie śmiercią: „Lepszy dla ciebie byłby świt zimowy. I sznur i gałąź pod ciężarem zgjęta”.

Dzisiaj oficjalne na partyjnych kontach KO nieustannie zamieszcza się agresywne grafiki atakujące prezydenta: „Karol Nawrocki, prezydent kiboli”, „Prezydent chaosu”, „Prezydent wetoman” (z sugestią, że Nawrocki jest narkomanem, bo używa tytoniu do żucia), „Wetomat”.

Jeśli ktoś chce powiedzieć, że taka jest cała polityka, to jednak skłamanie. Konta społecznościowe pałacu prezydenckiego nie zawierają porównywalnych treści. Nikt nie przyłapał Kancelarii Prezydenta RP ani PiS na zatrudnianiu i finansowaniu takich ponurych postaci, jak opłacani z publicznych pieniędzy internetowi hejterzy o nickach „Sok z Buraka”, „Pablo Morales”, jego brat „Caspar Van Der Hag” czy zdemaskowany ostatnio niejaki „Morgenstern”. Oni nie byli incydentalnymi przypadkami, ale uczestnikami tej samej polityki nienawiści, której celem jest dzisiaj także prezydent Karol Nawrocki. 



Gdzie są czarne marsze?

Dzisiaj nikt nie nawołuje do obalenia Tuska z powodu tragedii w dwóch szpitalach położniczych. Jednak kilka lat temu obecni rządzący nie mieli żadnych skrupułów, aby żerować na ludzkiej tragedii, ferować wyroki i instrumentalnie wykorzystywać kobiety do swoich celów politycznych. Właśnie dlatego ich hipokryzja oraz sekundujących im wówczas aktywistek budzi taką odrazę



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Każdy chyba pamięta tzw. strajk kobiet – falę protestów proaborcyjnych, która zalała polskie miasta podczas pandemii. To m.in. dzięki czarnym marszom odbywającym się pod hasłem walki o prawa kobiet Donald Tusk i jego kompania powrócili do władzy w 2023 r. Protesty były majstersztykiem manipulacji psychologicznej, zadziałały jak kula śniegowa, wyciągając na ulice tysiące kobiet w różnym wieku – do tej pory często w ogóle niezaangażowanych publicznie.

Impulsem do działania okazał się strach przed zaostrzeniem prawa aborcyjnego. Protestujące wierzyły, że nowe przepisy zagrożą bezpieczeństwu rodzących kobiet. I choć była to nieprawda, bo w przypadkach zagrożenia zdrowia i życia matki przerwanie ciąży było nadal dopuszczalne, utrwaliło się przekonanie, że lekarze w obawie przed odpowiedzialnością karną będą za wszelką cenę unikać aborcji, nie licząc się z życiem i zdrowiem matki.

HIPOKRYZJA BEZ GRANIC

Siła tych protestów polegała w dużej mierze na werbalnej agresji. Osoby sceptyczne wobec tzw. strajku kobiet nie miały prawa głosu, nawet jeśli odnosiły się z rezerwą do – jak się okazało – dość karkołomnego politycznie pomysłu naruszenia dotychczasowego kompromisu aborcyjnego. Milcząca większość została zagłuszona i sterroryzowana rytmicznym wrzaskiem „wyp...dalać”, który wznoszono podczas demonstracji.

Niektórzy zwracali uwagę, że protesty są sterowane i mają czysto polityczny charakter, a pod pozorem walki o prawa kobiet ich organizatorom chodzi tak naprawdę o destabilizację kraju i upadek rządu PiS. Wystraszone kobiety miały tu pełnić rolę ludzkiej masy, użytecz-

nego narzędzia przyspieszającego zmianę władzy. Ale głośnie wygłaszanie takich opinii groziło narażeniem się na ostracyzm i miało świadczyć o mizoginii ich autorów. Nie wychylano się więc za bardzo z takimi komentarzami.

Tymczasem dziś – po blisko pięciu latach od tamtych ponurych marszów – rzeczywistość wydaje się potwierdzać tamte oceny. Bo oto w ciągu zaledwie kilku dni pojawiło się kilka wstrząsających informacji. Dwie ciężarne kobiety zmarły podczas rutynowych zabiegów. 12-letniej dziewczynce w stanie zagrożenia życia odmówiono przyjęcia do specjalistycznego szpitala. A na dodatek w jednej z jednostek policji dowódca miał zgwałcić swoją podkomendną.

Gdyby ostatnie tragedie w szpitalach położniczych wydarzyły się podczas rządów PiS, to polskie ulice zostałyby dosłownie podpalone przez rozszalałe aktywistki. Teraz nic się jednak nie dzieje

Pomyślmy. Gdyby do takich wydarzeń doszło podczas rządów PiS, to polskie ulice zostałyby dosłownie podpalone przez rozszalałe aktywistki. Jednak nic się nie dzieje. Nikt się nie buntuje, nikt nie protestuje, nikt nie każe Tusкови „wyp...dalać”. Bohaterki „walki o prawa kobiet” milczą jak zakłète. Czy w tej sytuacji ktokolwiek, kto ma odrobinę rozumu w głowie, może jeszcze wierzyć w to, że pięć lat temu chodziło tylko o prawa kobiet?

NABRALI WODY W USTA

Strach po zaostrzeniu ustawy antyaborcyjnej – mocno podsycany przez liberalną propagandę – w dużej części miał związek z obawą wielu kobiet przed koniecznością urodzenia niepełnosprawnego dziecka. I choć była ona

etycznie trudna do przyjęcia, można ją było zrozumieć.

Dziś jednak sytuacja ciężarnych kobiet jest znacznie gorsza niż w czasach PiS. Rząd, tłumacząc się oszczędnościami („piniendzy ni ma i nie będzie”), doprowadził do likwidacji wielu powiatowych oddziałów położniczych. Są miejsca w Polsce, gdzie w promieniu kilkudziesięciu kilometrów nie ma żadnej działającej porodówki. Na terenie województwa warmińsko-mazurskiego dziura, w której nie da się urodzić dziecka w szpitalnych warunkach, ma już wielkość Cypru. Zamiast na oddział położniczy ciężarne kobiety mają się zgłaszać na SOR. Jednak zdaniem naszych proaborcyjnych aktywistek nie

jest to jeszcze prawdziwe piekło kobiet i nie są to warunki zagrażające życiu oraz zdrowiu matki oraz jej dziecka. Jedyne, co zrobiły w tej sprawie dawne bojowniczkki czarnych protestów, to wysmarowanie nieśmiałego listu protestacyjnego do rządu. Czerwone pioruny były groźne, ale tylko wobec pisowców.

Tymczasem problem jest naprawdę poważny, bo opieka medyczna – w tym nad ciężarnymi kobietami – stopniowo się załamuje. Nagłośnione niedawno przypadki śmiertelne raczej nie zmniejszają obaw przed rodzeniem dzieci, co – jak twierdziły uczestniczki czarnych protestów – leżało im szczególnie na sercu.

Oto na początku stycznia do szpitala w Grójcu na Mazowszu zgłosiła się 30-letnia Paula, druhna Ochotniczej Straży Pożarnej i matka 7-letniego dziecka. W trakcie badań zakwalifikowano ją do cesarskiego cięcia. Zabieg przeprowadzono 5 stycznia i – jak początkowo się zdawało – wszystko zakończyło się pomyślnie. Urodziło się zdrowe dziecko. Niestety kobieta poczuła się gorzej i mimo wysiłków personelu niespodziewanie zmarła.

Dramatyczny przebieg miał również planowy zabieg przeprowadzony dzień przed Wigilią Bożego Narodzenia w warszawskim Szpitalu Św. Rodziny. 31-letnia Kalina, matka 2-letniego chłopca, była umówiona na prostą operację, która miała zapobiec komplikacjom przy narodzinach drugiego

dziecka. „Gdy przyjeżdżaliśmy do Warszawy do szpitala, nie mieliśmy żadnych obaw, żadnego strachu” – relacjonował w rozmowie z TVN24 mąż zmarłej. „Parę minut po 8.00 napisała mi ostatnią wiadomość, że za chwilę ją biorą. To była ostatnia wiadomość. Potem po 10.00 zadzwoniła do mnie pani doktor, że ginekologicznie zabieg poszedł pomyślnie, ale były problemy po znieczuleniu”.

Problemy okazały się bardzo poważne, bo stan kobiety zaczął się dramatycznie pogarszać – zapadła w śpiączkę i została przewieziona do pobliskiego Szpitala MSWiA, gdzie po kilku dniach zmarła. Wraz z nią umarło także jej nienarodzone dziecko. Według nieoficjalnych informacji pacjentkę przywieziono do Szpitala MSWiA w stanie „bez realnych szans na uratowanie życia”. Później wyszło na jaw, że po zabiegu zamiast tlenu podano jej inny gaz – prawdopodobnie podtlenek azotu, nazywany potocznie gazem rozweselającym. W dużym stężeniu prowadzi on do niedotlenienia organizmu i śmierci.

Wstępne ustalenia mówią o niewłaściwym podłączeniu przewodów z gazem podczas niedawnego remontu sali zabiegowej. Po tej tragedii, która dotarła do opinii publicznej z dużym opóźnieniem, publicznie wystąpił prezydent Warszawy Rafał Trzaskowski. Jego oświadczenie było dość powściągliwe. „Wszyscy jesteśmy poruszeni tą tragedią” – poinformował krótko. „Olbryzmie poruszenie, kondolencje dla rodziny. Szpital reaguje. Zarządziłem natychmiast kontrolę wszystkich tych urządzeń, które dostarczają gaz medyczny we wszystkich warszawskich szpitalach”.

Rzecz jasna tragedie się zdarzają, także podczas rutynowych zabiegów. Tutaj jednak mieliśmy do czynienia z dwoma przypadkami śmierci z rządu i przynajmniej do jednego z nich doszło – wszystko na to wskazuje – z powodu błahego błędu technicznego wynikającego z ludzkiego zaniedbania. Nie chodzi więc o to, aby Trzaskowski czy ktośkolwiek z tuskowej koalicji miał teraz publicznie rwać sobie włosy z głowy, ale zupełnie o co innego. O to, że gdyby do

podobnej tragedii – czy wręcz do serii tragedii – doszło za poprzednich rządów, każdy z nich uprawiałby polityczną nekrofiliją i nawoływał do obalenia „nie-ludzkiej” i „antykobiecej” władzy pisowców. A w tej orkiestrze przygrywałyby mu liberalne media, zagrzewając kobiety do ulicznych protestów.

Teraz, dwa lata po zmianie rządów, ci sami ludzie i te same środowiska tonują nastroje i wyciszają emocje. A ta część opinii publicznej, która brała kiedyś

Likwidację oddziałów położniczych należałoby nazwać celowym niszczeniem państwa. Jak bowiem można zniechęcać kobiety do rodzenia w obliczu zapaści demograficznej kraju?

udział w czarnych protestach, straciła bojowy rezon. Każdy zajmuje się własnymi sprawami – również te kobiety, które kiedyś tak gwałtownie wyrażały swoje obawy. Najwyraźniej dziś nie czują się zagrożone. Warto zauważyć tę zmianę nastrojów.

GRA TRAGEDIA

W tym kontekście natychmiast przypomina się słynna sprawa Izabeli z Pszczyny. We wrześniu 2021 r. 30-letnia kobieta zgłosiła się do tamtejszego szpitala powiatowego. Była w zaawansowanej ciąży i odeszły jej wody płodowe. Wcześniej stwierdzono u jej dziecka wady rozwojowe. Mimo oznak wewnętrznego zakażenia personel szpitala nie zlecił dodatkowych badań i nie podjął decyzji o przerwaniu ciąży. W rezultacie u kobiety rozwinęła się sepsa, która doprowadziła do śmierci.

Tragedia w Pszczynie stała się pretekstem do kolejnych antyaborcyjnych protestów organizowanych pod hasłem: „Ani jednej więcej”. W ich trakcie suge-

rowano, że bierność lekarzy i będąca jej skutkiem śmierć Izabeli były rezultatem strachu przed dokonaniem aborcji. Że nie przerwano ciąży mimo widocznych oznak zakażenia, ponieważ bano się odpowiedzialności karnej. Przekaz tych demonstracji był prosty: podobny los może spotkać każdą kobietę w Polsce i jedynym ratunkiem jest zmiana władzy. Tamtą tragedię umiejętnie wykorzystano do celów politycznych, niemilościwie ją nagłaśniając i cynicznie grając na obawach wielu kobiet.

Dopiero po ponad trzech latach wyszło na jaw, że śmierć Izabeli nie miała związku z prawem antyaborcyjnym. Jak wynika z orzeczenia katowickiego sądu lekarskiego z marca 2025 r., tragedia była skutkiem błędów lekarzy, którzy dopuścili się serii zaniedbań. Nie stwierdzono, aby powodem ich zaniechań był strach przed dokonaniem aborcji. Tym bardziej że przepisy pozwalały im przecież na przerwanie ciąży z powodu zagrożenia życia matki.

Treść tych przepisów była jasna również wtedy – w 2021 r., ale nie pasowało to wówczas do politycznej narracji. Zamiast tego stworzono więc fikcyjną rzeczywistość, wedle której Izabelę zabiło prawo antyaborcyjne (czytaj: nieludzkie rządy PiS).

Dzisiaj nikt nie nawołuje do obalenia Tuska z powodu tragedii w dwóch szpitalach położniczych, choć działania jego rządu znacząco przyspieszyły degradację służby zdrowia. Wtedy jednak obecni rządzący nie mieli żadnych skrupułów, aby żerować na ludzkiej tragedii, ferować wyroki bez pokrycia w faktach i instrumentalnie wykorzystywać kobiety do swoich celów politycznych. Właśnie dlatego hipokryzja ich oraz sekundujących im wówczas aktywistek budzi teraz taką odrazę. Tym bardziej że Tusk, idąc po władzę, zapewniał przecież, że po objęciu przez niego rządów na każdą kobietę, która spodziewa się dziecka, będzie czekać w szpitalu „opieka, pomoc i lojalność państwa”. „W ciągu pierwszych 100 dni Polki odzyskają swoją godność, swoje szczęście” – zapewniał.

Jego kłamstwa w tej sprawie nie są niczym nadzwyczajnym, jest bowiem jasne, że Tusk nie dotrzymuje

złożonych obietnic. Wątpliwości budzi raczej postawa osób biorących udział w czarnych protestach. Czy naprawdę uważają, że wypychając Tuska do władzy, odzyskały swoją godność? Czy może wstyd im się przyznać, że zostały brutalnie wykorzystane?

AFERA, KTÓREJ NIE MA

Ciekawe też, co o godności może powiedzieć 22-letnia policyjna stażystka, którą miał zgwałcić jej przełożony. Do przestępstwa miało dojść w podwarszawskim Piasecznie, gdzie mieszczą się koszary stołecznych oddziałów prewencji. W jednostce panowała dość specyficzna atmosfera, bo – jak wynika z doniesień mediów – w kompanii, w której służyła młoda policjantka, zorganizowano libację alkoholową. To właśnie w jej trakcie dowódca miał wezwać dziewczynę do swojego pokoju, zamknąć drzwi od wewnątrz i dokonać gwałtu. Ofiara jakoby wzywała na pomoc swoich kolegów, wysyłając do nich wiadomości SMS, jednak na niewiele to się zdało. Dowódca, mocno zamroczony, spokojnie opuścił jednostkę i wrócił do domu. Dopiero rankiem następnego dnia policjantka złożyła zeznania i dowódca kompanii został zatrzymany.

Cała ta historia budzi wstręt i oburzenie. Przy okazji pokazuje też, jakiej jakości kadry trafiają dziś do policji. Ale choć ta służba powinna być instytucją szczególnego zaufania społecznego, to przecież takie przestępstwa mogą się zdarzyć również tam. Zboczeńcy i gwałciciele trafiają się przecież wszędzie. Problem, na który chcę zwrócić uwagę, leży gdzie indziej. Jestem przekonany, że gdyby do podobnej sytuacji doszło w czasie rządów PiS, to politycy od Tuska, liberalne media i „prokobiece” aktywistki zrobiłyby z tej historii aferę roku. Nasłuchalibyśmy się o reżimowej policji, w której służą sami degeneraci, o niszczeniu instytucji publicznych przez prawicę i o deptaniu godności kobiet. Manifestantki plułyby w twarz policjantom, a różne Frasyniuki opowiadałyby o zomowcach. Ludziom wbijano by do głowy, że rządy PiS i komuna to właściwie to samo.



Dziś bohaterki „walki o prawa kobiet” milczą jak zakłute. Czy ktokolwiek, kto ma odrobinę rozumu w głowie, może jeszcze wierzyć w to, że pięć lat temu chodziło tylko o prawa kobiet?

Fot. Andrzej Wiktor

Na szczęście za rządów Prawa i Sprawiedliwości nie doszło do takich patologii. Stało się to dopiero teraz. Dlatego liberalne media jedynie odnotowały tę historię, minister spraw wewnętrznych wyraził swoje oburzenie i zapowiedział surowe konsekwencje wobec winnych, a prokuratura wszczęła dochodzenie. Zawodowe „obrończynie praw kobiet” jak zwykle nabrały wody w usta.

KU ZAPĄŚCI

Konsekwencje tej obłudy mogą być dalekosiężne. Niestety trudno liczyć na to, że kobiety uczestniczące w czarnych marszach zrozumieją kiedyś, że zostały cynicznie wykorzystane i oszukane. Może będą jakieś pojedyncze przypadki otrzeźwienia, ale w szerokiej masie to mało prawdopodobne. Gdyby było inaczej, to już dziś pojawiłyby się liczne reakcje na hipokryzję ekipy Tuska.

Jak widać, nic takiego się nie dzieje, co skłania do oczywistej konkluzji, że tak naprawdę nigdy nie chodziło ani o godność, ani o prawa kobiet, lecz po prostu o nieskrępowaną aborcję, która miała być taranem prowadzącym Tuska do władzy.

Warto przy tym zauważyć, że prawa aborcyjnego wcale nie zmieniono, choć wprowadzono faktyczną dekryminalizację przerywania ciąży. To wystarczyło, aby znakomita większość aktywistek i protestujących w czarnych marszach uznała, że kobiety „odzyskały” podmiotowość. Być może, ale tylko pod warunkiem, że sprowadzimy ją wyłącznie do kwestii aborcji i nieograniczonego życia seksualnego. Najwyraźniej taka definicja podmiotowości w zupełności zaspokaja potrzeby

emancypacyjne kobiet, które niegdyś obnosiły się ze znacznikiem czerwonego pioruna. To zresztą tłumaczyłoby ich milczenie w opisanych wcześniej bulwersujących sprawach.

Gorzej mają te – z pewnością bardziej liczne – kobiety, których ambicje są znacznie większe. Tragedie, do których doszło ostatnio w szpitalach, podobnie jak likwidacja oddziałów położniczych w wielu powiatach, rodzą bowiem uzasadnione obawy o bezpieczeństwo pacjentek w trakcie ciąży i porodu. Rząd tłumaczy swoje posunięcia kryzysem demograficznym – rodzi się mniej dzieci, więc oddziały położnicze przestają być potrzebne i generują dodatkowe koszty. Jednak tym samym pogłębia ten kryzys, co w przyszłości może zagrozić fundamentom funkcjonowania państwa. Gdy dorzucimy do tego faktyczną promocję aborcji, mamy pełen obraz katastrofy, która czeka kolejne pokolenia Polaków.

Być może jest to głupota rządzących, a być może świadoma decyzja – jednak w tym ostatnim przypadku należałoby chyba mówić o celowym niszczeniu państwa. Jak bowiem można zniechęcać kobiety do rodzenia w obliczu zapędów demograficznej kraju?

Nikt myślący nie powinien mieć wątpliwości, iż rządy Tuska prowadzą Polskę do ruiny, z której będziemy się wygrzebywać przez całe dekady. Warto jednak widzieć to również w kontekście demograficznym i społecznym. Nieszczęście polega na tym, że prawie nikt o tym nie krzyczy. Niestety część polskiego społeczeństwa już się najwyraźniej wykrzyczała. Ale w zupełnie innej sprawie.



Roman Giertych podaje rękę Stanisławowi Gawłowskiemu

Mafijne standardy władzy

Skorumpowani parlamentarzyści, prokuratorzy wykonujący polityczne zlecenia, ręcznie ustawiani sędziowie i zawsze gotowe do wspierania ich wszystkich media. Tak skonstruowany system nie ma nic wspólnego z praworządnością i demokracją.

Naczelną zasadą spajającą obóz władzy jest omerta. A Polska osuwa się ku rzeczywistości z książek Maria Puzo



MAREK PYZA

Truizmem stało się już stwierdzenie, że od dwóch lat mamy w Polsce rządy politycznej bandyterki. Ekipy, dla której zdobycie i utrzymanie władzy jest warte wszelkich kosztów. Do łamania prawa nie potrzebuje parawanów, ostentacyjnie broni łapówkarzy, na każdym kroku sięga po przemoc, jakby jutro miało nie nadejść.

W takim układzie nie dziwi, że sędzia, wobec którego nie było zastrzeżeń, nagle staje się upolityczniony (bo

ośmielił się sprzeciwić szerzącemu się bezprawiu i w uzasadnieniu orzeczenia napisał, że w Polsce panuje kryptodyktatura) i jest ręcznie odsunięty od sprawy, która stanowi *clou* mściwej kampanii: próbę siłowego ściągnięcia zza granicy ministra, który uzyskał azyl polityczny w sojusznicznym państwie.

I tak dobrze, że tylko odsunięty. Giovanni Falcone i Paolo Borsellino nie mieli tyle szczęścia. Michał Falzmann też nie.

Co mamy sądzić o trójpodziale władzy w państwie, którego minister sprawiedliwości ogłasza: „Muszę mieć w sądach osoby, co do których mam zaufanie”. Czy Donald Tusk oraz Waldemar Żurek naprawdę chcą figurować w książkach o europejskich patologich politycznych obok takich ludzi jak Sil-

vio Berlusconi, Giulio Andreotti czy Salvatore Cuffaro?

Oczywiście warto zachować proporcje i pamiętać, że ci włoscy politycy byli na usługach mafii, które miały na sumieniu najcięższe przestępstwa. U nas na razie jest „na miękko” (przynajmniej tyle wiemy): korupcja, nadużywanie władzy, przekraczanie uprawnień, prześladowania opozycji. Ale mechanizmy są zbyt podobne, by spać spokojnie.

PAZERNY NR 2

Dlaczego piszemy o tym właśnie teraz? Bo przed kilkoma dniami została rozbita w pył bajka o tym, jakoby państwo PiS wzięło na celownik Stanisława Gawłowskiego i próbowało go zniszczyć za pomocą sfingowanej sprawy

korupcyjnej. Sąd Okręgowy w Szczecinie opublikował uzasadnienie wyroku, którym skazał senatora Koalicji Obywatelskiej na 5 lat bezwzględnego więzienia, 180 tys. zł grzywny i 10 lat zakazu zajmowania stanowisk publicznych.

Gawłowski to nie byle kto. W Platformie był od samego początku, w parlamencie – od dwóch dekad. W partii został nawet numerem dwa, gdy pod koniec 2017 r. objął stanowisko sekretarza generalnego (dziś jest nim Marcin Kierwiński), odpowiadającego m.in. za dyscyplinę w strukturach. W pierwszym i drugim rządzie Donalda Tuska był wiceministrem środowiska. I pełniąc tę funkcję, tak rozbudził swoją pazerność, że w konsekwencji trafił do aresztu i usłyszał wyrok skazujący.

Chodzi o tzw. aferę melioracyjną, czyli ustawianie przetargów na Pomorzu Zachodnim. Gawłowski był główną postacią skandalu. I choć przez lata przekonywał, że sprawa została spreparowana przez „pisowską prokuraturę”, a partia nigdy się od niego nie odcięła, znalazł się sędzia, który doprowadził ją do pierwszego wyroku. Uznał linię przyjętą przez senatora za „przekroczenie granic wolności słowa i naruszenie prawa do obrony” oraz stwierdził, że „nie licuje to z powagą sądu”.

Po pierwsze, większość materiału dowodowego została bowiem zgromadzona zanim PiS doszedł do władzy, więc śledztwo prowadziła prokuratura niezależna od ministra sprawiedliwości. Po drugie, materiał dowodowy nie pozwalał na inny wyrok. Każdy może się z nim zapoznać na stronach szcześcińskiego sądu. I przeczytać, że senator:

- przyjął od jednego z biznesmenów na parkingu łapówkę w wysokości 100 tys. zł,
- przyjął od pewnego przedsiębiorcy apartament w Chorwacji warty ponad 200 tys. zł (miała to być spłata pożyczki w wysokości 60 tys. zł, a „nadwyżkę” Gawłowski miał „odrobić”, pomagając w innych sprawach firmy biznesmena), w dodatku ukrywając siebie w tej transakcji i zapisując apartament na teściów,
- przyjął od kolejnego przedsiębiorcy blisko 200 tys. zł w gotówce na kam-

panię, co nazywano „kanapkami wyborczymi”,

- jego „wpisy w mediach społecznościowych muszą być uznane za kreowanie innej rzeczywistości przez oskarżonego w celu wywołania wrażenia w opinii publicznej o jego »prześladowaniu«”.

Przed kilkoma dniami została rozbita w pył bajka o tym, jakoby państwo PiS wzięło na celownik Stanisława Gawłowskiego i próbowało go zniszczyć za pomocą sfingowanej sprawy korupcyjnej. Sąd Okręgowy w Szczecinie opublikował uzasadnienie wyroku, którym skazał senatora KO na 5 lat bezwzględnego więzienia, 180 tys. zł grzywny i 10 lat zakazu zajmowania stanowisk publicznych

Partia nigdy nie odcięła się od Gawłowskiego. Choć w 2019 r. kandydował do Senatu z własnego komitetu (bo niewiele czasu upłynęło od postawienia mu zarzutów), nie wystawiła przeciwko niemu innego kandydata, a w 2023 r. – po powrocie Donalda Tuska – reprezentował już Koalicję Obywatelską w ramach „paktu senackiego”. Po wyroku nie został wyrzucony z partii, sam jedynie zawiesił członkostwo w PO oraz w klubie parlamentarnym. Niewiele jednak z tego wynika. Wciąż przewodniczy senackiej komisji klimatu i środowiska.

Nie sposób nie wspomnieć tu o „doktrynie Neumanna”, jak media ochrzczili ujawnioną przed kilkoma laty rozmowę szefa klubu PO z posłem Adamem Korolem.

Mowa o iście mafijnej zasadzie: dopóki jesteś z nami, możesz liczyć na naszą lojalność, niezależnie od twoich grzechów. Sławomir Neumann tak tłumaczył działaczom *clou* polityki swojej formacji: „Pamiętaj: jedna zasada jest dla mnie święta, k...a. Naucz się tego, jak będziesz o czymkolwiek rozmawiał. Jak będziesz w Platformie, będę cię bronił, k...a, jak niepodległości. Jak wyjdiesz z Platformy, to masz problem”. I dalej o kandydatach na samorządowców, za którymi ciągnie się smród korupcji: „Na wybory idą głosować ludzie, którzy g...o się interesują. Nie wiedzą, kto jest. I będę widzieli w Polsce atakowanych niepisowskich prezydentów z aktami oskarżenia. [...] Jak Pobłocki [były prezydent Tczewa, którym interesowało się CBA – przyp. red.] będzie członkiem Platformy i będzie naszym prezydentem, to będę się o niego bił, k...a, do końca życia. Jak jest poza, mam go w dupie”.

„Chodzi o to, żeby mieć wpływ na miasto”, „Mamy dwa miejsca do rady nadzorczej”, „Jak wygramy wybory samorządowe, to będzie dużo do dzielenia” – padło też w tej rozmowie, która odbyła się w Gdańsku, a brzmi, jakby miała miejsce w Palermo.

Gawłowski też dużo dzielił. Nie za darmo.

LORD, PROFESOR, ŻŁOTY CHŁOPAK

O tym, że skorumpowany senator jest dla Platformy ważną postacią, świadczy fakt, że jego pełnomocnikiem został Roman Giertych, reprezentujący w licznych sprawach sądowych rodzinę Tusków, Radosława Sikorskiego, Sławomira Nowaka czy eksministra finansów Jana Vincenta Rostowskiego.

Sam Giertych powinien co chwilę stawać się w sądzie na rozprawach w sprawie wyprowadzenia ponad 90 mln zł ze spółki Polnord Ryszarda Krauzego. Niezależny dziennikarz śledczy Leszek Kraskowski od miesięcy alarmuje o tej sprawie, nie bez przyczyny porównując ją do słynnego oscylatora i afery Art-B (chodzi wszak o wielokrotne zawyżanie wartości działek w celu m.in. wyłudzenia kredytów z państwowych banków oraz kradzież olbrzymich sum poprzez



Tomasz Grodzki



Wojciech Łączewski



Sławomir Nowak

łańcuch spółek-krzaków). Ukuł nawet i spopularyzował określenie Giertycha mianem Lorda Polnorda.

Jak bardzo przeszkadza Donaldowi Tuskiowi sprawa śmierdzących interesów Giertycha z Krauzem? Ani trochę. Po wyborach w 2023 r. został on wiceszefem klubu Koalicji Obywatelskiej. Rok później śledztwo dotyczące jego udziału w przekrętach wokół Polnordu zostało umorzone, a w 2025 r. dostał zielone światło na próbę wysadzenia w powietrze wyborów prezydenckich.

Ten patologiczny układ rozłożył parasol ochronny także nad prof. Tomaszem Grodzkim, do pewnego momentu szanowanym torakochirurgiem, który według co najmniej 20 świadków zeznających w prokuraturze pod odpowiedzialnością karną uzależniał leczenie pacjentów od wręczenia łapówek. Grodzki ani przez chwilę nie stracił zaufania partii i pozostawał marszałkiem Senatu, czyli – jak sam się lubił nazywać – trzecią osobą w państwie.

Włosz głowy nie spadł też Krzysztofowi i Ryszardowi Brejzom, choć prokuratura zgromadziła bogaty materiał dowodowy, z którego wynikało, że obaj stworzyli fikcyjny wydział w inowrocławskim ratuszu (Ryszard był prezydentem miasta), który *de facto* miał być fabryką hejtu na politycznych oponentów. Śledztwo umorzono po zmianie władzy w 2023 r. Również w sprawie tzw. afery fakturowej wątki dotyczące dwóch pokoleń Brejzów zostały umorzone. Młodszy jest dziś europoseł, starszy – senatorem.

Potrzeba kolejnych przykładów? Sławomir Nowak – „złoty chłopiec

Platformy”, kolega z boiska Donalda Tuska, szef jego kancelarii, który po utracie władzy przez PO odnalazł się na stanowisku szefa ukraińskiego urzędu nadzorującego drogi, co skończyło się skandalem korupcyjnym, a Nowak ostatecznie trafił do aresztu. Obecnie trwa jego proces w sprawie kierowania zorganizowaną grupą przestępczą oraz prania brudnych pieniędzy, ale kolejna sprawa łapówkarska została przez sąd umorzona (choć paradoksalnie w tej samej sprawie inny sąd skazał osoby współpracujące z Nowakiem i zeznające przeciwko niemu, uznając ich zeznania za wiarygodne).

Ewa Wrzosek, bodaj najbardziej zaangażowana politycznie prokurator, uniknęła zarzutów, bo jej koledzy uznali, że choć nadużyła uprawnień (biorąc udział w nielegalnym przejmowaniu mediów publicznych przez nową ekipę polityczną), to szkodliwość społeczna jej czynu była znikoma.

To wszystko postacie pierwszoplanowe na swoich odcinkach, kluczowe na politycznej krucjacie prowadzonej przez Donalda Tuska.

Nad przeprowadzaniem tych wszystkich patologii czuwa Waldemar Żurek, tak zaślepiony wojną z PiS, że premier uznał go za lepszego egzekutora swej woli od „rzeźnika praw obywatelskich” Adama Bodnara.

W parlamentarnych kuluarach panuje przekonanie, że jeśli Żurek też poleci, to jego miejsca na pewno nie zajmie Roman Giertych, którego wielokrotnie wymieniano jako kandydata na ministra sprawiedliwości. Możliwe,

że nienawiść Giertycha do Prawa i Sprawiedliwości wyprzedza tę Tuskową i to akurat cecha najbardziej predestynująca go do funkcji ministerialnej. Ale jest inna, która skutecznie blokuje taki awans – wiedza, jaką ma na temat obozu władzy i samego premiera. Jest ona po prostu zbyt szeroka, co w zestawieniu z bezwzględnością i nieobliczalnością Giertycha stanowi dla Tuska zbyt duże zagrożenie.

Mniejsi koalicjanci patrzą na to wszystko z przerażeniem. Łatwo można obronić hipotezę, że gdyby dziś próbowano przeprowadzić operację aresztowania (w pałacu prezydenckim!) posiadających mandaty posłów, Szymon Hołownia by się na to nie zgodził – inaczej niż zrobił przed dwoma laty.

W międzyczasie sam bowiem przekonał się, jak smakuje dyscyplinowanie partnerów przez Tuska. Najpierw musiał mierzyć się z sensacjami ze śledztwa w sprawie Collegium Humanum, a później urządzono mu istną „ścieżkę zdrowia”, gdy nie zgodził się na obsadzenie go w roli głównego wykonawcy zamachu stanu polegającego na próbie uniemożliwienia zaprzysiężenia prezydenta Karola Nawrockiego.

W styczniu 2024 r. przyłożył jednak rękę do umieszczenia za kratami Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika. Dlaczego w ogóle było to możliwe?

KONFABULANT W TODZE

Tu dochodzimy do sprawy Wojciecha Łączewskiego, byłego sędziego, a dziś adwokata, który w 2015 r. skazał byłych

ministrów na bezwzględne więzienie za rzekome nieprawidłowości podczas rozpracowywania tzw. afery gruntowej.

Był to jeden z najbardziej skandalicznych procesów politycznych, które obserwowaliśmy w ostatnich latach. W 2018 r. na łamach tygodnika „Sieci” ujawniliśmy, w jaki sposób przygotował ten wyrok. A korzystał wówczas z porad m.in. eksperta sejmowej spekomisji z rekomendacji Platformy Obywatelskiej. Tym samym miał złamać jedną z podstawowych zasad sędziowskich – samodzielności w orzekaniu.

Wcześniej pisaliśmy o tym, jak próbował umawiać się z Tomaszem Lisem na wspólne obalanie rządu PiS. Okazało się, iż żaden Lis się z nim nie kontaktował – była to prowokacja dziennikarska, w ramach której Łączewski dał się złapać za rękę. Później uznał, że to nie jego ręka i złożył doniesienie do prokuratury w sprawie podszywania się pod niego, przejęcia jego konta na Twitterze i próby skompromitowania. To był początek jego końca. Szybko się bowiem okazało, że było to fałszywe doniesienie, w dodatku sędzia wielokrotnie kłamał w zeznaniach przed prokuratorem. Usłyszał więc najpierw zarzuty dyscyplinarne (nie po raz pierwszy), następnie uchylono mu immunitet, w 2019 r. zrezygnował ze stanu sędziowskiego, a w 2020 r. do sądu trafił akt oskarżenia przeciwko niemu.

Co się wydarzyło w tym procesie? Nic, choć mija już szósty rok. Nie ma nawet wyznaczonych terminów rozpraw. Miało się rozjeść po kościach, bo Łączewski zyskał przecież w oczach obecnej władzy status bohatera. Był jednym z najważniejszych zasobów sędziowskiej kasty na politycznej wojnie. Dlatego w marcu 2025 r. minister sprawiedliwości Adam Bodnar publicznie przeproszał go za rzekome represje, jakich ten miał doznać ze strony poprzedniej ekipy rządzącej.

I oto nadchodzi styczeń 2026 r. Wojciech Łączewski już jako mecenas prowadzący własną kancelarię zasiada w studiu TVP Info w likwidacji, by z lubością odpowiadać na pytania jednej z naczelnych propagandystek koalicji 13 grudnia i wspólnie z nią walić w opozycję.

Mijają dwa dni i wybucha szambo za sprawą wpisu na platformie X Wojciecha Czuchnowskiego (świeżo upieczony laureat antynagrody SDP Hiena Roku za tekst o lekach przyjmowanych przez szefa BBN) z „Gazety Wyborczej”, który – jak sam przyznaje – w ostatnich latach wszedł z Łączewskim w „dość bliską relację”.

Dowiadujemy się, że Łączewski „może używać swoich wpływów w wymiarze sprawiedliwości, by uniknąć

Co mamy sądzić o trójpodziale władzy w państwie, którego minister sprawiedliwości ogłasza: „Muszę mieć w sądach osoby, co do których mam zaufanie”

odpowiedzialności za groźby karalne i znęcanie się nad rodziną”, uważa, że jest „ponad prawem i dzięki swoim kontaktom we władzach prokuratury i resortu sprawiedliwości może uciekać przed konsekwencjami własnych przestępczych i niegodnych prawnika oraz człowieka zachowań”. Czytamy też, iż dziennikarz „zgłaszał prokuratorowi, że wg jego informacji Łączewski ma pozwolenie na broń, którą policja odebrała mu w 2023 r. po pobycie w izbie wytrzeźwień”, a jego zdaniem „nie powinien mieć dostępu do broni, bo może stanowić zagrożenie”.

Czuchnowski mówił prokuratorowi o swoich podejrzeniach przed rokiem, gdy śledczy wszczęli postępowanie wobec Łączewskiego, który miał grozić śmiercią swojej żonie. Kobietę uprzedził o tym sam Czuchnowski, z którym Łączewski podzielił się swoimi zamiarami. Były sędzia miał też grozić policjantom i prokuratorom prowadzącym tę sprawę.

Pracownik gazety Michnika ostatecznie kompromituje prawnika celebrytę, choć rzuca mu koło ratunkowe

– wszak jego odbiorcy muszą jakoś żyć z tym, że ich autorytet okazał się prze-mocowcem i patologicznym kłamcą: „Gdy PiS przegrał wybory, Łączewski był postrzegany jako jeden z tych, który może objąć wysoką funkcję w wymiarze sprawiedliwości. Sam Łączewski sugerował, że może nawet zostać zastępcą Adama Bodnara. Niestety przeszkodą były problemy osobiste, które pojawiły się u b. sędziego już kilka lat wcześniej. Chodziło o skłonność do konfabulacji, manię prześladowczą i nadużywanie alkoholu. To załamanie było z pewnością związane z represjami, jakich Wojciech Łączewski doznał od PiS za to, że w 2015 r. wydał wyrok skazujący na więzienie Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika. [...] Jednym z przejawów tego stanu był konflikt b. sędziego z żoną. Mimo choroby onkologicznej, na którą zapadła, wyrzucił ją ze wspólnego mieszkania. Nękanie jej współpracowników i przełożonych próbował ją pozbawić pracy, nachodził, a w końcu zaczął grozić”.

Branża robi z Czuchnowskiego bohatera, który odważnie obnażył ważną dla lewicowo-liberalnej strony postać. Ale z bohaterstwem nie ma to wiele wspólnego. Byłoby nim przyznanie: „Łączewski to nieznównoważony i niebezpieczny osobnik, nadużywający władzy, łamiący prawo, niegodzien jakiegokolwiek zaufania dziś i lata temu, bardzo się w »Wyborczej« myliliśmy, przepraszamy”. To, co napisał zamiast tego, jest tylko minimalizowaniem strat z powodu postawienia w politycznym obłędzie na niewłaściwego konia.

Donald Tusk musi mieć niezdrową satysfakcję, że każdy taki skandal uchodzi mu jeszcze płazem. Dopóki jego zamordyzm widzą tylko w Waszyngtonie i Budapeszcie, a Berlin i Bruksela wciąż go chronią, można jechać dalej. Jednak skala tej gangsterki – zwłaszcza w połączeniu z kompletną degrengoladą w zarządzaniu państwem – może być nie do zniesienia dla idących do urn w 2027 r. Tyle że dla premiera nie mają już odwrotu z tej drogi. Trzeba się więc przygotować na to, że przed wyborami zechce pójść jeszcze dalej. Aż strach pomyśleć, czym może być owo „dalej”.

W niemieckim interesie

Kanclerz Merz powiedział na posiedzeniu Rady Europejskiej, że jeżeli dla niemieckiego eksportu nie zostaną otwarte rynki Ameryki Południowej, to stagnacja w Niemczech spowoduje, że kraj ten nie będzie wpłacał swojej składki do budżetu Unii. To oczywisty szantaż, bo interes Niemiec jest stawiany ponad interes UE i wszystkich innych krajów wspólnoty

Z posłem *Janem Krzysztofem Ardanowskim*, ministrem rolnictwa w latach 2018–2020 i wiceministrem w latach 2005–2007, przewodniczącym Rady Rolnictwa i Obszarów Wiejskich przy prezydencie Karolu Nawrockim, rolnikiem, rozmawia Jerzy Szmit

Dlaczego umowa z Mercosur jest taka groźna dla Europy?

Jan Krzysztof Ardanowski: Kraje Mercosur to ogromny obszar o warunkach przyjaznych rolnictwu. Są regiony, w których plony można zbierać nawet trzykrotnie w ciągu roku. Do tego dochodzi tania siła robocza. Tam nie obowiązują europejskie ograniczenia rolnictwa związane ze stosowaniem środków chemicznych, nawozów, odpowiednich technologii w hodowli zwierząt. Zużycie pestycydów jest znacznie większe, a za-

sady dobrostanu zwierząt nie istnieją – dostają one lekarstwa zabronione w Europie. Rolnictwo w Ameryce Południowej praktycznie nie jest w rękach rolników – to domena globalnych koncernów, tzw. ABCD (ADM, Bunge, Cargill, Dreyfus). Wycina się miliony hektarów lasów tropikalnych, o których mówi się, że są płucami świata, aby zwiększyć powierzchnie upraw. W Europie ekolodzy chronią każde drzewo, ale tamte działania im nie przeszkadzają, co jest zwykłą hipokryzją. Ta umowa to świadomy

zamach na europejskie rolnictwo, którego podstawą są gospodarstwa rodzinne. W Ameryce Południowej – podobnie jak na Ukrainie – ogromne farmy wytwarzają żywność gorszej jakości, ale tańszą. Czy dlatego Europa ma zniszczyć swoje bezpieczeństwo żywnościowe?

Brukselscy politycy tego nie widzą?

Dochodzę do przekonania, że unijni decydenci realizują interesy niezwiązane z rolnictwem, działając przeciwko europejskim konsumentom. Godzenie się na uzależnienie mieszkańców Unii od żywności zewnętrznej to świadome niszczenie suwerenności żywnościowej Starego Kontynentu. Europejskie rolnictwo jest poświęcane jako karta do ugrania innych celów.

Wimie czego?

W imię interesów niemieckiej gospodarki. Kanclerz Merz powiedział na posiedzeniu Rady Europejskiej, że jeżeli dla niemieckiego eksportu nie zostaną otwarte rynki Ameryki Południowej, to stagnacja w Niemczech spowoduje, że kraj ten nie będzie wpłacał swojej składki do budżetu Unii. To oczywisty szantaż, bo interes Niemiec jest stawiany ponad interes UE i wszystkich innych krajów wspólnoty.

Padają zapowiedzi utworzenia nowego funduszu wspierającego rolnictwo europejskie oraz zawarcia klauzul bezpieczeństwa w umowie z Mercosur.

Młodzież mówi na to: „ściema”. Zabezpieczenia to jedynie deklaracje UE, a nie fragmenty umowy. Ocena skutków rynkowych i ewentualna interwencja w postaci stosowania ceł mają się odbywać w okresach kwartalnych. Ale przecież jeżeli żywność wpłynie do Europy i będzie niszczyła rynek, to nie wiem, co musiałoby w niej być, by została odesłana z powrotem do Ameryki Południowej. Założenie, że firmy zajmujące się produkcją rolną w Mercosur będą się dostosowywać do wymogów Unii, jest absurdem, a tzw. klauzule lustrzane (mirror clauses) będą nie do wyegzekwowania – są tylko europejską naiwnością lub celowym mamieniem Europejczyków, by ich uspokoić.

Nie będą musieli się dostosować do europejskich wymogów?

Politycy i władze krajów Mercosur, uzależnione od globalnego kapitału, mówią jasno – mamy swoje sposoby wytwarzania żywności, a unijne prawa możemy stosować u siebie, a nie u nas. Kilka dni temu, tuż po decyzji UE o zgodzie na Mercosur, organizacje producentów soi w Ameryce Południowej, które przez kilka lat realizowały tzw. memorandum sojowe, polegające na tym, że produkty z upraw po wyciętych lasach Amazonii nie będą eksportowane do Europy, zerwały to ustalenie. Deforestacja, czyli wylesianie, postępuje na całego i „co nam zrobicie?”.

Europejskich konsumentów uspokaja się, że będą mechanizmy kontroli na granicy UE, czyli w portach i na lotniskach, ale przecież to mrzonka, bo kto skontroluje miliony ton różnych produktów?

Zresztą w laboratoriach instytucji kontrolnych można sprawdzić w żywności tylko pozostałości pestycydów używanych w UE, a w Mercosur stosuje się preparaty zabronione w Unii – notabene produkowane w Niemczech i eksportowane do Ameryki Południowej – których unijne laboratoria nie badają. Trzeba nie znać mechanizmów wchodzenia produktów ze świata na rynek unijny, by mówić o skutecznej kontroli. Jeśli towar nie wejdzie przez port w Gdańsku czy Świnoujściu, to zostanie wyładowany w Rotterdamie, Antwerpii czy Hamburgu i za chwilę – już jako „unijny” – trafi do różnych krajów. Ten proceder będzie niemożliwy do sprawdzenia. To, że w krajach Mercosur nie myślą o tym, że w Europie wielkimi nakładami i przez dziesiątki lat zbudowano system zapewniający bezpieczeństwo zdrowotne żywności, mnie nie dziwi, ale że politycy europejscy – pod niemieckim dyktandem – chcą zmarnować swoje rolnictwo, zakrawa na głupotę lub wręcz zdradę obywateli UE.

Co to konkretnie oznacza?

Gospodarstwa towarowe w Europie, które żyją ze sprzedaży na rynek, rozwijały się, inwestowały, powiększały areal, kupowały ziemię. Przechodziły długi i bolesny proces. Jeżeli nie sprzedadzą, bo rynek będzie zasypany żywnością z Ameryki czy Ukrainy, to upadną. Co więcej, często są to gospodarstwa bardzo zadłużone z powodu poczynionych inwestycji. Przecież unijne subwencje nigdy nie były 100-procentowe. Małe gospodarstwa, pracujące na własne potrzeby i zasilane z dochodów spoza rolnictwa, pozostaną, ale w uprawach podstawowych, czyli możliwych do uprawy w Europie gatunkach roślin, są tylko namiastką rolnictwa towarowego, bez wpływu na rynek. Rynek europejski powinien być nastawiony na żywność z Europy. Oczywiście są produkty, które trzeba importować z Ameryki Południowej, np. kawę, cytrusy czy yerbę, jednak podstawowa żywność powinna pochodzić od rolników europejskich.

Umowę negocjowano przez 20 lat, więc globaliści będą mogli ogłosić swoje zwycięstwo.

Umowę negocjowała Komisja Europejska, a kraje członkowskie nie były

informowane o szczegółach rozmów. Negocjacje prowadziła szefowa KE i komisarz odpowiedzialny za handel, a nie ten, który odpowiadał za rolnictwo. W 2019 r., kiedy zakończono ogólne negocjacje, Komisja uspokajała, że będą klauzule ochronne i nie ma zagrożeń. Ursula von der Leyen jednoznacznie twierdziła, że umowa będzie musiała zostać ratyfikowana przez parlamenty wszystkich krajów członkowskich. To wszystko okazało się kłamstwem: część handlowa umowy ma być przyjęta przez Radę Europejską, czyli przywódców państw. Co więcej, w ostatnich dniach dowiedzieliśmy się, że nawet Parlament Europejski ma być wyłączony z procesu decyzyjnego. W Polsce i w Unii wyraźnie mówiłem o zagrożeniach i wyrażałem sprzeciw już w 2019 r., jako ówczesny minister rolnictwa, i moje, a nie niemądre wypowiedzi ministra Czaputowicza, ówczesnego szefa MSZ, były stanowiskiem polskiego rządu. Wszystko, co wtedy mówiłem i przed czym przestrzegałem, niestety teraz się sprawdza.

Jak ta umowa wpłynie na polskie rolnictwo?

Podam kilka przykładów, bo to łatwiej pozwoli zrozumieć nasze zagrożenia. Przez wielką pracę i nakłady w ostatnich latach staliśmy się trzecim na świecie producentem drobiu. Liderem jest Brazylia, więc za chwilę się okaże, że mięso drobiowe z tego kraju zniszczy polskich producentów. Rolnictwo to naczynia połączone. Jeśli padną drobiarze, kto kupi polskie zboże – tym bardziej że obserwujemy właściwie agonię hodowli świń w naszym kraju? Polska jest w Europie liderem produkcji buraków. Mówimy nie tylko o surowcu do produkcji cukru, lecz także o roślinie ważnej w płodozmianie. Nie wytrzymamy konkurencji z trzcina cukrową z Brazylii. Na Warmii, Mazurach, Podkarpaciu i w Małopolsce ze względu na dobre warunki można rozwijać produkcję bydła mięsnego, owiec i kóz typu mięsnego. Przy otwartej konkurencji z mięsem argentyńskim to nie ma szans. Co więcej, wzrośnie uzależnienie od genetycznie modyfikowanej soi, którą jest eksportowana z Ameryki Południowej. Warto wspomnieć, że większość tamtejszego rolnictwa znajduje się w rękach niemieckiej diaspory – również tych,

kotrzy w 1945 i 1946 r. uciekli z wielkimi pieniędzmi zrabowanymi w podbitych krajach. Kupowali oni ziemię za oceanem i są jej właścicielami. Państwo niemieckie właśnie z nimi chce robić interesy.

Czy nasze rolnictwo w ogóle zostało zauważone?

Wśród europejskich chronionych oznaczeń geograficznych dotyczących produktów spożywczych i napojów, które będą miały pewną ochronę prawną na rynkach Mercosur, z Polski znalazły się tylko dwa produkty: Polska Wódka i Żubrówka. Właściwie to nie wiem, czy się śmiać, czy płakać. A przecież mamy rolnictwo, które, by istnieć, musi mieć duże możliwości eksportu. Aby utrzymać produkcję rolną w Polsce, musimy eksportować 35–40 proc. żywności. Ta z Mercosur będzie wypierała naszą z rynku wewnętrznego, a także z rynków, na które do tej pory eksportujemy, czyli przede wszystkim z Europy Zachodniej i Południowej. Już jesteśmy z nich wypychani przez żywność ukraińską. Jeżeli na dodatek będziemy sprowadzać żywność spoza Europy, to rolnictwo towarowe w Polsce trzeba zwinąć.

Europejskie rolnictwo przez dziesięciolecie było jednym z filarów UE. Czy umowa z Mercosur oznacza koniec tego priorytetu, a w konsekwencji wspólnej polityki rolnej?

W traktatach rzymskich, inicjujących Europejską Wspólnotę Gospodarczą, zawarto konkretne cele wspólnej polityki rolnej. Po pierwsze, Europa miała być samowystarczalna, co teraz określamy mianem bezpieczeństwa żywnościowego. Po drugie, producenci żywności mieli żyć godnie, a po trzecie, żywność na wspólnym rynku miała być dostępna po rozsądnych cenach. Wspólna polityka rolna była wielkim sukcesem okupionym ogromnymi pieniędzmi na inwestycje oraz podporządkowaniem rolnictwa w poszczególnych krajach dyktatowi najmocniejszych producentów żywności. W Polsce doszło do zniszczenia tysięcy małych zakładów produkujących żywność. To był nasz koszt. Wspólna po-

lityka rolna stanowiła najważniejszą politykę UE. Na początku przeznaczano na nią prawie 70 proc. budżetu, w tej chwili – 30–31 proc. Mówi się, że w kolejnym budżecie UE te środki mają być wrzucone do jednego worka z polityką spójności, a rolnicy mają walczyć z innymi grupami społecznymi i ich potrzebami. Tak więc umowa z Mercosur niszcząca europejskie rolnictwo właściwie kończy wspólną politykę rolną, czyli wspólną troskę o rolnictwo i obszary wiejskie.

Za rolnictwo w obecnym rządzie odpowiada PSL, które na potrzeby polityki wewnętrznej udaje, że ostro walczy

Umowa z Mercosur to świadomy zamach na europejskie rolnictwo, którego podstawą są gospodarstwa rodzinne. W Ameryce Południowej – podobnie jak na Ukrainie – ogromne farmy wytwarzają żywność gorszej jakości, ale tańszą. Czy dlatego Europa ma zniszczyć swoje bezpieczeństwo żywnościowe?

z umową z Mercosur, ale o ich działaniach na zewnątrz jest cicho. Co rząd mógł zrobić, by zablokować tę umowę?

Trzeba było wcześniej rozpocząć jakąś akcję dyplomatyczną, zaktywizować ambasadorów, pisać noty, wysyłać ministrów do wszystkich krajów UE. Premier powinien rozmawiać w stolicach europejskich. A była jedynie pusta propaganda. Rafał Trzaskowski mówił, że nie będzie umowy z Mercosur, nie będzie Zielonego Ładu. A PSL – cóż... Interesują ich tylko stolki, i Tusk doskonale o tym wie. Polskie Stronnictwo Ludowe rządzi w czterech ministerstwach. Tylko resortowi rolnictwa podlega 31 tys. etatów w administracji rolniczej. Znaczna

ich część została obsadzona przez „pseudochłopskich działaczy”. Jeśli zaczęną podskakiwać, to Tusk będzie im odbierał te frukty. Dlatego PSL zachowuje się nerwowo, atakuje Prawo i Sprawiedliwość. A przecież sprawa Mercosur rozgrywała się tu i teraz i trzeba było ostro walczyć, aby umowy nie było. A Tusk wraz z PSL prowadził tylko grę pozorów.

PSL ma rekordowe niskie notowania. Jaka jest przyszłość tej partii?

PSL od dawna nie reprezentuje polskiej wsi. Oczywiście chce przetrwać w polityce i będzie szukać „tratwy ratunkowej”, czyli jakiejś formacji, która pozwoli mu przekroczyć próg wyborczy w elekcji do Sejmu. Podczas ostatnich wyborów taką tratwą był Hołownia, teraz może się nią okazać nowe ugrupowanie związane z samorządowcami. Mam nadzieję, że społeczeństwo nie da się nabrać po raz kolejny.

Może w tych ostatnich chwilach karta się odwróci?

Rolnicy w całej Europie są przerażeni, ponieważ nie rozumieją, czym się to skończy. Otwieranie rynku zniszczy europejskie rolnictwo i osłabi Europę. Tylko głupcy mogą stawiać na import, ponieważ jedynie własna produkcja zapewnia bezpieczeństwo żywnościowe. Łańcuchy dostaw łatwo zerwać. Rolnicy są najbardziej świadomą grupą społeczną. Walczą, aby Europa była bezpieczna żywnościowo. Tylko wtedy będzie suwerenna. Firmy giganty, które – upraszczając – będą sprowadzały żywność z niemieckie samochody, uzyskują wielką władzę. To, co Niemcom nie wyszło z rosyjskim gazem – bo dystrybucja miała się odbywać za ich pośrednictwem i to Niemcy miały decydować, komu i za ile będą sprzedawać – chcą zrobić z żywnością. Kraje, które zredukują swoje rolnictwo, staną się całkowicie zależne od importerów. Żywność importowana będzie tańsza tak długo, jak długo alternatywą pozostanie własna produkcja. Gdy rodzime rolnictwo upadnie, skończy się tania żywność. Tak było z innymi, wykonczonymi przeciw sektorami gospodarki. Kto tego nie rozumie, nie nadaje się do zarządzania bezpieczeństwem żywnościowym Polski, nie nadaje się do zarządzania naszym krajem.

Cieżar Brauna

Ratując swoją przyszłość i wolność, Donald Tusk wpycha Grzegorza Brauna w ramiona Jarosława Kaczyńskiego. Bez skutku



STANISŁAW JANECKI

Premier Donald Tusk marzy o tym, żeby przed wyborami parlamentarnymi w 2027 r. zawiązała się koalicja Prawa i Sprawiedliwości z Konfederacją Korony Polskiej. W Koalicji Obywatelskiej nie jest to żadna wiedza tajemna. I chociaż szef rządu wie, że to utopijne, przez najbliższe ponad półtora roku ma zamiar wpychać Grzegorza Brauna w objęcia Jarosława Kaczyńskiego. I już przekonuje, że w innej konfiguracji PiS nie ma szans na przejęcie władzy.

Tusk się dopiero rozkręca, ale jego celem jest insynuowanie w Polsce i na arenie międzynarodowej, że trwają jakieś realne przygotowania do zawiązania koalicji, którą będzie można określić jako jednocześnie recydywę faszyzmu, antysemityzmu, antyukraińskości i prorosyjskości. I niech nikogo nie zmyli, że przecież w 2027 r. nie można używać aż tak prymitywnej propagandy. Można, gdyż w kontekście przyszłych wybo-



Fot. Zigmunt Karłowicz/East News

rów chodzi o polityczne życie Tuska, a wręcz o jego wolność, więc nic nie powstrzyma go przed głoszeniem nawet największych bredni. Premier wie, że zohydowanie Konfederacji Korony Polskiej może jej tylko przysporzyć głosów – było tak po przejściu władzy 13 grudnia 2023 r. – ale jest mu to na rękę. Wykalkulował, że im silniejsza jest partia Brauna, tym lepiej dla niego i tym gorzej dla Kaczyńskiego.

W o wiele brutalniejszej wersji Tusk powtarza tu strategię swoją i PO z 2005 r., gdy za wszelką cenę chciał doprowadzić do „skazania” PiS na współpracę z Samoobroną i Ligą Polskich Rodzin. I chociaż nie mógł twierdzić, że tamte partie są otwarcie faszystowskie i antysemickie (w 2005 r. prorosyjskość nie była dla Tuska żadną wadą, a antyukraińskość byłaby wtedy kompletnie niezrozumiała), wystarczyło, że potrafił je „ustawić” jako radykalne i niebezpieczne. Ważną częścią strategii Tuska w 2005 r. było udawanie, iż może rządzić z PiS w ramach wielkiej koalicji (takiej w niemieckim stylu), prowadził więc nawet fikcyjne rokowania w tej sprawie. Ale jego celem nigdy nie było współrządzenie z Prawem i Sprawiedliwością, tylko wepchnięcie tej partii w najgorszy układ koalicyjny, jeśli jego

PO nie była w stanie zdobyć większości pozwalającej na rządzenie.

Tak samo będzie przed i po wyborach w 2027 r. Tusk zakłada, iż nie uzyska poparcia wystarczającego do utrzymania władzy, więc musi to utrudnić, a wręcz uniemożliwić PiS. Obecnego premiera gubi jednak pycha, bowiem nikt tak dobrze nie „czyta” jego strategii jak Kaczyński. Prezes Prawa i Sprawiedliwości doskonale wie, że 2005 r. nie może się powtórzyć, choć wtedy udało się jednak zrobić sporo dobrych rzeczy dla Polski. Tym razem w wersji wymyślonej przez Tuska dla PiS niczego nie dałoby się osiągnąć, gdyż rozległoby się ekstatyczne wręcz wycie na cały świat i budowanie wokół Prawa i Sprawiedliwości oraz jego rządu potężnego kordonu sanitarnego. Ale Kaczyński nie zamierza spełnić marzeń Tuska.

OSTATNIA NADZIEJA TUSKA

Mimo że plany Tuska wobec PiS są nie tylko prymitywne, lecz także bardzo czytelne, nie zrezygnuje on z wpychania Brauna w objęcia Kaczyńskiego. W ten sposób chce zniechęcić część prawicowych wyborców do głosowania na Prawo i Sprawiedliwość. Chce wdrukować Polakom przekonanie, że bez Kon-

federacji Korony Polskiej nie ma szans na utworzenie żadnej rządzącej większości, a partia Brauna to twór jednocześnie szatana, Hitlera i Stalina. Tusk liczy na to, że jak Donaldowi Trumpowi nie zaszkodziły porównania do Hitlera, Stalina i Mussoliniego, tak nie zaszkodzą one Braunowi. A jest przekonany, że nie urośnie on aż tak, żeby rozdawać karty podczas tworzenia nowego rządu. Ma tylko maksymalnie utrudnić to zadanie kandydatowi na premiera z PiS. Tyle tylko, że dla Kaczyńskiego wielka strategia Tuska jest tylko infantylną zagrywką. A już liczenie przez premiera na to, że prezes Prawa i Sprawiedliwości będzie unikał krytycznych uwag o Braunie, żeby nie palić mostów, jest zwyczajnie naiwne.

9 stycznia 2026 r. Jarosław Kaczyński powiedział: „Jeżeli chodzi o Konfederację Korony Polskiej, czyli partię pana Brauna, to to już – jak to się mówi potocznie – szlaban. Dlaczego? Bo wchodząc w ten układ, odcinamy się od Zachodu, ale przede wszystkim od państwa, które gwarantuje nam teraz bezpieczeństwo”. Miał oczywiście na myśli Stany Zjednoczone, a tam establishment obu partii – z administracją Trumpa włącznie – nie akceptuje pewnych postaw i poglądów. Nawet bez spodziewanego wycia i hysterii inspirowanych przez Tuska, Sikorskiego czy Anne Applebaum. Jest to po prostu nieprzekraczalna granica i Kaczyński doskonale o tym wie. I wcale nie oznacza to ulegania obcym wpływom czy żądaniom, tylko jest wyrazem elementarnego instynktu samozachowawczego.

„Nigdy z nim [Grzegorzem Braunem] nie rozmawiałem i uważam go za polityka, który dalece przekroczył te granice, które są nieprzekraczalne dla polityków w naszej sferze cywilizacyjnej. On się w tym nie mieści” – mówił 9 stycznia prezes PiS. Zresztą „głosowanie na Brauna jest nieefektywne, ponieważ jeżeli Polska chce utrzymać choćby elementarne podstawy swojego bezpieczeństwa, to nowy rząd nie może być rządem z udziałem czy nawet z poparciem zwolenników pana Brauna”. I dodawał: „Nie jestem zwolennikiem represji, ale uważam, że ta formacja [Konfederacja Korony Polskiej] powinna zostać na marginesie. Poza tym

są te kwestie jego różnych obecności w Moskwie. Jest mnóstwo przesłanek, żeby powiedzieć: »Tu jest granica i my jej nie będziemy przekraczać«”.

STRATEGIA KACZYŃSKIEGO

Temat Grzegorza Brauna pojawił się podczas wyjazdowego posiedzenia klubu PiS w Sękocinie. Kaczyński kategorycznie wykluczył współpracę z tym politykiem po wyborach w 2027 r., ale wskazał, że nie powinno się zniechęcać

Kaczyński kategorycznie wykluczył współpracę z Braunem po wyborach w 2027 r., ale wskazał, że nie powinno się zniechęcać do siebie jego wyborców, nie wchodzić z nimi w zbędne dyskusje

do siebie jego wyborców, nie wchodzić z nimi w zbędne dyskusje. Od samego Brauna i koalicji z nim PiS powinno się dystansować. Jeśli chodzi o spodziewany poważny kryzys w relacjach Polski ze Stanami Zjednoczonymi, gdyby taka koalicja powstała, to Kaczyński miał się powołać na rozmowę z ważnym przedstawicielem administracji Trumpa, który przestrzegał go przed współpracą z Braunem. A optymalne wyjście dla Prawa i Sprawiedliwości to „robić wszystko, aby po wyborach w 2027 r. Braun nie był nam potrzebny do rządu”. Była to też poniekąd polemika z Jackiem Sasinem, który w TVN24 mówił, iż „jeśli wyborcy zdecydują, że partia Grzegorza Brauna znajdzie się w parlamencie i okaże się, że bez tej partii nie da się zrobić większości, to pewnie wtedy trzeba będzie poważnie się nad tym zastanowić”. I dodał, że „woli Grzegorza Brauna niż Donalda Tuska”.

Strategia PiS, opisana przez Kaczyńskiego 12 stycznia 2026 r. w Węgrowie, ma polegać na tym, że „pierwsza rzecz w tej chwili to jest zjednoczyć obóz patriotyczny”, bowiem „zjednoczony obóz patriotyczny powinien wygrać w Polsce wybory i to bez specjalnego trudu. Cały problem polega na tym, że on nie jest zjednoczony, a w jakiejś mierze podlega różnego rodzaju manipulacjom”. I dalej: „My jesteśmy dziś w takim stanie, że jest PiS, największa formacja, i są trzy konfederacje, a nie dwie, bo pamiętajcie, że ta Konfederacja zwana po prostu Konfederacją – to są dwie partie, one nie zwały się w jedną i mają bardzo odmienne programy. Najpierw jest Konfederacja, która się nazywa Nowa Nadzieja. To jest formacja, której program można opisać bardzo krótko – to jest darwinizm społeczny, skrajny liberalizm, który w ogóle nie liczy się z interesem zwykłych ludzi. [...] Mówię uczciwie, że tutaj nie bardzo widzę możliwości współpracy”.

Po tym, jak Jarosław Kaczyński ujawnił swoją strategię wobec Grzegorza Brauna i jego partii, do głosu wyrwał się Donald Tusk, nie chcąc pozostać w defensywie. 10 stycznia 2026 r. na platformie X napisał: „Deklaracja Kaczyńskiego, że »nigdy z Braunem«, brzmi obiecująco i racjonalnie. Szkoda, że nie ma nic wspólnego z rzeczywistością. Bez Brauna Kaczyński nie ma żadnych szans na zdobycie władzy, a dla władzy, jak wiadomo, jest gotów poświęcić wszystko”. Tusk udał nauczyciela i moralistę w jednym: ocenił Kaczyńskiego, tak jakby to on był moralną wyrocznią, choć jest ostatnią osobą nadającą się do tej roli. I choć jego paternalizm jest śmieszny, premier sądzi, że w ten sposób osiągnął przewagę.

Twierdzenie, że bez Brauna Kaczyński nie ma żadnych szans na zdobycie władzy, jest tylko zaklęciem, rzucaniem czarów. A jeśli chodzi o żądę władzy, to nie ma obecnie w Polsce osoby mogącej konkurować z Tuskiem. Dla niego to bowiem polityczne życie i wolność. Tak bardzo przekroczył wszelkie granice, że tylko sprawując władzę, jest bezpieczny. I uważa, że gierki wokół Brauna mu w tym pomogą.

Po południu przełącz na wPolsce24

Relacjonowane na żywo wydarzenia z całego kraju. Mocne, sięgające sedna komentarze. I autorzy, których charyzmą można by obdzielić kilka stacji telewizyjnych – tak jest po południu w telewizji wPolsce24



Popołudniowy blok programów w telewizji wPolsce24 otwiera „Bez Pardonu”. To królestwo Dariusza Matuszaka. Tutaj naprawdę nie ma pardonu. A że komentując najważniejsze wydarzenia dnia, nie gryzie się w język, jest brany na cel przez liberalno-lewicowy mainstream. Przykład? Kiedy żona Radosława Sikorskiego Anne Applebaum po raz kolejny zaatakowała w niemieckiej gazecie prezydenta USA Donalda Trumpa, imputując mu „związki z Rosją” i narrację, jakiej nie powstydziłby się Hitler, Dariusz Matuszak poprosił ministra spraw zagranicznych, żeby może zamknął swoją małżonkę w jakiejś komórcie pod schodami albo powiedział jej, tu cytat: „Cicho, babo, bo szkodziś Polsce”.

PRAWO DO OPINII

Prorządowe i branżowe media zawyły z oburzenia. „Skandaliczne słowa dziennikarza na antenie!” – krzyczały nagłówki.

A przecież Radosław Sikorski to polityk znany z lekkomyślnych i często po prostu chamskich wypowiedzi.

Jego żona, dziennikarka, także jest osobą jak najbardziej publiczną. Píše o Polsce, atakując obecną opozycję, choć z racji zajmowanego przez męża stanowiska po prostu nie wypada jej tego robić. Jej zafiksowanie na punkcie Trumpa, porównywanie go do Stalina i Hitlera, faktycznie może zaszkodzić naszemu krajowi. Amerykanie nie traktują jej przecież jak pierwszej lepszej publicystki – dla nich jest żoną polskiego ministra spraw zagranicznych.

Czy Matuszak przesadził? Nie, w żadnym wypadku. Czy mógł to ująć inaczej? Pewnie mógł, ale nie chciał. Konserwatywni publicyści też mają prawo do ostrych sądów i plastycznych porównań. Matuszak chętnie z nich korzysta i za to lubią go widzowie.

„Bez Pardonu” można obejrzeć w telewizji wPolsce24 od poniedziałku do piątku o 14.00.

SPRAWDZAJĄ PULS

Kolejne ponad półtorej godziny (start o 15.00) to czas na sprawdzenie Polsce pulsu. „Raport Wiadomości” jest nowoczesnym, bardzo dynamicznym pro-

gramem informacyjnym. Ekskluzywne newsy, połączenia na żywo i gorące komentarze tego, co się dzieje – a więc klasyczna, bardzo ceniona przez widzów formuła, dzięki której z informacyjnego szumu mogą oni wyłowić to, co naprawdę ważne. A przy okazji dowiedzieć się, jaki jest prawdziwy kontekst i kulisy wydarzeń. Dzisiaj to rzecz bezcenna.

„Tele-Ekspresu”, który można oglądać codziennie o 16.45, nikomu nie trzeba przedstawiać. Zespół pod wodzą Mirosława Rogalskiego prezentuje politykę „w wersji light”. W superszybkim tempie przejeżdżamy przez najważniejsze wydarzenia z kraju i ze świata. Drogę ułmają nam rozrywka, sport i „michałki”, czyli starannie wybierane ciekawostki, które nie tylko przykuwają uwagę, lecz także często po prostu bawią. Znakomita oprawa graficzna, ciepły humor prowadzących i częste zagłębienie za kulisy dziennikarskiej roboty sprawiają, że wszystko jest jeszcze bardziej smakowite. W minionym tygodniu program hucznie i z humorem świętował swoje pierwsze urodziny. Kolejne lata zapowiadają się jeszcze lepiej.

POGŁĘBIONE SPOJRZENIE

Głębsze, analityczne spojrzenie na bieżące sprawy zapewnia widzom w Polsce24 Jacek Łęski i jego „Bez Cenzury”. Znani, wielokrotnie nagradzani dziennikarze śledczy rozmawia o nich z publicystami i zaproszonymi gośćmi.

Co w programie? Spójrzmy na miniony wtorek. Najpierw Port Haller – nowy, niezwykle ambitny projekt Prawa i Sprawiedliwości, mający być jedną z programowych odpowiedzi tej partii na stagnację, w jaką wprowadza Polskę rząd Donalda Tuska.

– To sposób na ożywienie gospodarcze stosunkowo słabo zaludnionego i rozwiniętego Pomorza Środkowego – ocenia znany państwu doskonale z naszych łamów redaktor Piotr Gursztyn.

– Myślę, że ze względu na wzrost aspiracyjny polskiego społeczeństwa po tych ośmiu latach naszych rządów, czego dowodem jest choćby obrona przez Polaków CPK, ten pomysł też chwyci – to z kolei komentarz posła PiS z Gdańska Jarosława Sellina.

Co dalej? Berlińska wyprawa marszałka Sejmu Włodzimierza Czarzastego, który nawet w pociągu (to nie ekologia, Czarzasty boi się latać) nie mógł się powstrzymać przed atakowaniem prezydenta za weto do ustawy o cenzurze w internecie. „To ciekawe, że pojechał akurat do Berlina, bo Niemcy ustawę o cenzurowaniu treści w sieci już mają – komentowała specjalistka od zagranicy i autorka tygodnika „Sieci” Aleksandra

Rybińska. – Na tej podstawie tamtejsi politycy co chwila wytaczają obywatelom procesy. Ludzie dostają dotkliwe kary za to, że np. skrytykowali wygląd jakiegoś polityka. No więc może pan marszałek powinien się w Niemczech doinformować, jak wyglądają takie przepisy w praktyce” – dodawała publicystka.

Prorządowe i branżowe media zawyły z oburzenia.

„Skandaliczne słowa dziennikarza na antenie!”

– krzyczały nagłówki.

Czy Dariusz Matuszak przesadził? Nie, w żadnym wypadku

Na koniec Emilia Wierzbicki i Wojciech Biedroń mówią widzom w Polsce24, jak jest. Kolejne ataki na prezydenta Karola Nawrockiego? U Wierzbicki i Biedronia komentuje je szef BBN prof. Sławomir Cenckiewicz. „Taki hejt antyprezydencki może dać efekt kuli śniegowej, która może zaprowadzić do jakiejś tragedii” – przestrzega wybitny historyk, jeden z najbliższych współpracowników głowy państwa.

Starcia w Prawie i Sprawiedliwości? Otwarcie mówi o nich były szef kancelarii premiera Michał Dworczyk. „Trwa dyskusja, w jakim kierunku nasza partia powinna się zmieniać. I na pewno jeszcze trochę to potrwa” – przyznaje sojusznik Mateusza Morawieckiego.

Druga rocznica barbarzyńskiego przejęcia prokuratury przez bodnawców? Wierzbicki i Biedroń rozmawiają z legalnym prokuratorem krajowym – Dariuszem Barskim. Ten zaś punkt po punkcie opisuje antypaństwowy skandal, którego padł ofiarą.

„Jego nie trzeba namawiać, żeby coś powiedział, żeby na siebie zwrócił uwagę, żeby próbował zaistnieć. To plus uzależnienie od mediów społecznościowych za bardzo nam nie pomaga jako Polsce” – ocenia Łukasz Jasina, politolog i były rzecznik MSZ, odpowiadając na pytanie, czy Donald Tusk został wystawiony przez Niemców na pierwszy front walki z Ameryką.

„Wierzbicki i Biedroń mówią, jak jest» to świetny strzał programowy naszej stacji. Widzowie bardzo polubili tę parę i jej sposób komentowania rzeczywistości – mówił nam niedługo po starcie formatu Mariusz Pilis, dyrektor programowy telewizji wPolsce24. Sympatia nie tylko się utrzymuje, lecz także rośnie, o czym świadczą dane o oglądalności. „Wierzbicki i Biedroń mówią, jak jest” od poniedziałku do piątku o 18.30.

(AT)

NOWY PROGRAM

Wierzbicki

Biedroń

mówią jak jest

wPolsce 24

poniedziałek–piątek

18:30

GDZIE NAS
OGLĄDAĆ:

52
telewizja
naziemna

909
921, 196
polsat box

62
CANAL+

192
netia

32
orange

825
veetra

65
339, 121
PLAY

459
nasa

631
TOYA

43
evio

eprasa.pl 1d1bc19b20

Nie zostałam uwiedzioną

Jestem emocjonalna, nie ukrywam tego.
W ostatnim roku mocno przeżywałam wiele rzeczy.
I uрониłam łzę po wyrzuceniu mnie z partii

**Z Pauliną Matysiak, posłanką niezrzeszoną z Kutna,
rozmawia Marcin Wikło**

Znajomych prosi pani o to, by mówili na panią Pola. Co jest nie tak w imieniu Paulina?

Paulina Matysiak: Wszystko jest w porządku, ale Pola jest krótsze [śmiej]. Tak zaczęła na mnie mówić Asia, moja koleżanka z pracy w bibliotece uniwersyteckiej w Toruniu. I tak się przyjęło. A ja używałam tego skrótu, jak zakładałam różne konta społecznościowe, np. na Twitterze jestem Pola Matysiak.

Nie ma już Pauliny?

Jest to o tyle zabawne, że czasami nawet dziennikarze się mylą i nie raz już czytałam o sobie: „Posłanka Pola Matysiak”. Kiedyś nawet to wycinałam i wklejałam do dziennika. Mam dystans – można mówić Pola, można Paulina, można też „bestia z Kutna”... [śmiej].

To określenie krąży w internecie i rzeczywiście jest dość zabawne. Szczególnie gdy się pozna tę chodzącą łagodność... z Kutna.

Kutno się przebiło. I bardzo mnie to cieszy, że mnóstwo osób, które przejeżdżają przez nie pociągami, wrzuca do internetu zdjęcie i mnie oznacza. Zresztą bardzo dużo osób kojarzy Kutno, bo jest to węzłowa stacja i każdy przejeżdżał przez to miasto. Może niekoniecznie się przesiadał, niekoniecznie gdzieś tam czekał

i niekoniecznie kiedyś mu tam „pękały oczy”.

Kazik Staszewski – bo to cytat – swoją piosenką chyba zrobił wam krzywdę?

Tak. Ale odzegnał się już od tych słów. Kilkanaście lat temu, już po remoncie dworca, był na Święcie Róży i powiedział, że piosenka jest już nieaktualna, że to już inaczej wygląda.

Czas na cytat z innej piosenki. Mówi się, że chłopaki nie płaczą, a dziewczyny?

Dziewczyny płaczą. A ja jestem emocjonalna, nie ukrywam tego. W ostatnim roku mocno przeżywałam wiele rzeczy. I uрониłam łzę po wyrzuceniu mnie z partii.

Ale to była lezka? Łza? Czy szloch, moment załamania?

Chyba aż tak to nie, ale łzy były. Takie miałam emocje w tamtym momencie. Ale decyzja, by mnie usunąć, była przecież spodziewana. Ostatnie tygodnie to było nie tylko wypychanie mnie, lecz także sugerowanie wprost, żebym odešla z partii Razem.

Kto, kiedy i w jaki sposób to wyartykułował?

Po raz pierwszy na posiedzeniu Rady Krajowej, mówił wtedy o tym Bartosz

Grucela, skarbnik Razem. Podobna „prośba” padła też później, na spotkaniu z Adrianem Zandbergiem, Aleksandrą Owcą i Marceliną Zawiszą.

Jak się odpowiada na takie „prośby”?

Oczywiście odpowiadałam, że nie – nie widzę powodów, żeby opuszczać partię, nie zrobiłam niczego, co by się sprzeniewierzało programowi i wartościom tej formacji. Wtedy usłyszałam: „To w takim razie zastosujemy inne sposoby”. No i te sposoby faktycznie zostały znalezione.

Człowieka mieli, paragraf znaleźli...

Trochę tak. Można się pokusić o pewną złośliwość, że partia Razem uczy się od Nowej Lewicy załatwiania i pozbywania się niewygodnych osób. Myślę, że Włodzimierz Czarzasty pokiwałby głową z zadowoleniem.

W „Krytyce Politycznej” przeczytałem analizę, w której tak została naszkicowana pani droga polityczna: „Od samotności w klubie Razem przez polityczny romans z PiS aż po konflikt i odrzucenie przez własne środowisko”. Bardzo to poetyckie, ale czy prawdziwe?

Nie do końca. W ogóle „Krytyka Polityczna” jest ciekawa, bo jest tam co najmniej kilka różnych analiz mojej sytuacji i każda z nich jest inna. Nie ma jednej linii, zmieniają się w zależności od tego, kto pisze.

A czemu ma służyć pikantne stwierdzenie: „Romans z PiS”?

Bardzo nie lubię takich podtekstów, nawiązań i porównań, gdy jest mowa o mojej współpracy przede wszystkim z Marcinem Horałą przy Stowarzyszeniu „Tak dla Rozwoju”. Ani to nie jest romans, ani nie zostałam uwiedzioną. W ogóle to niesamowite, że takich słów bardzo często używają redakcje związane z liberałami czy lewicą. Według ich logiki kobiety zawsze mają mieć prawo głosu, chyba że współpracują z kimś, kogo nie lubimy. Taka tolerancja, jak oni ją rozumieją...



Fajny facet, fajna kobieta, słowo „romans” da pewnie kilka kliknięć więcej. Tak to widzę.

No tak, tylko że to nie jest jakiś Pudelek albo Plotek. To jest grono, które często sili się na jakąś analizę polityczną, a tutaj sprowadzają wszystko do „głupiej dziewczyny, która nic nie wie, w ogóle zmanipulowali ją i gdyby pomyślała, to by tak nie zrobiła”. Ich nadrzędną zasadą jest to, że polityków z innej opcji trzeba otoczyć kordonem sanitarnym, a nie próbować zrobić cokolwiek wspólnie.

A co było ostateczną przyczyną „prośby” o odejście? Zawiazanie stowarzyszenia z Marcinem Horałą? Pójście na posiedzenie Rady Gabinetowej u prezydenta wbrew zakazowi partii? A może współpraca z mecenasem Bartoszem Lewandowskim z Ordo Iuris?

Kropłą, która przelała czarę goryczy, było pewnie to, że skorzystałam z usług prawnych mecenasa Lewandowskiego. Ale nie mam wątpliwości, że to był pretekst, znaleźliby coś innego. Bo ta współpraca stała się głośna już po jej zakończeniu. Firma NEWAG złożyła przeciwko mnie pozew w grudniu 2024 r., a do października 2025 r. nikt z władz partii ani władz koła nie zapytał, jaka kancelaria mnie reprezentuje. Nikogo to nie interesowało.

Serio, nikt o to nie zapytał?

Dopiero na sam koniec, na spotkaniu z kierownictwem partii i koła padło, że to osoba kojarzona jednoznacznie politycznie, a sprawa jest na tyle medialna, że odbije się to na partii. Tak medialna, że przez rok nikt o to nie zapytał? Bez żartów. Nawet gdybym wzięła bardziej „akceptowalnego” dla nich prawnika, to pewnie pozbycie się mnie z partii przeciągnęłoby się o kilka miesięcy.

Cieężko było zaatakować Stowarzyszenie „Tak dla Rozwoju”, bo zrobiła się z tego duża sprawa, absolutnie ponadpartyjna. Ale już pójście do prezydenta stanowiło jawną niesubordynację.

Cała sprawa stowarzyszenia zakończyła się już dawno, mówił o tym Adrian Zandberg. Porozumienie przed sądem koleżeńskim zawiera stwierdzenie, że problemem nie była nawet współpraca z politykiem z innego ugrupowania, ale forma zakomunikowania tego. A jeśli chodzi o Radę Gabinetową, jest to rzeczywiście jedyna sytuacja, w której po prostu złamałam formalny zakaz udania się na to spotkanie. Uznałam natomiast, że jego tematyka, dotycząca Centralnego Portu Komunikacyjnego, jest po prostu ważniejsza, a ja zajmuję się tym od dawna i poszłam.

Po prostu weszła pani za kordon sanitarny?

Nie pierwszy raz. W sierpniu w Kaliszu odbył się wiec, na którym przemawiałam na zaproszenie prezydenta. Władze partii o tym wiedziały, wyraziły zgodę. Mało tego – wychodziły z założenia, że jest oczywiste, że tam będę. Usłyszałam wtedy: „Jesteś twarzą partii Razem, jeśli chodzi o tematy infrastrukturalne, dla nas to oczywiste, że będziesz na tym wydarzeniu”. I dokładnie te same władze trzy tygodnie później mówią, że nie wolno mi iść na Radę Gabinetową o CPK, ponieważ jesteśmy w opozycji do rządu i do prezydenta. Jest w tym jakaś niekonsekwencja – delikatnie mówiąc.

Z kierownictwem partii Razem jest pani nie po drodze, a z innymi działaczami?

Jest całe grono osób, które uważają, że wyrzucenie mnie było błędem. Że faktycznie byłam osobą, która dawała jakiś oddech, pewne możliwości partii Razem.

A gdzie słychać te głosy? Bo publicznie ich nie ma.

Nie dziwie się, że te osoby nie chcą się wypowiadać publicznie. Myślę, że boją się ostracyzmu. Gdyby jawnie stanęły w mojej obronie, to za chwilę spotkałoby ich to samo. Zresztą w dniu mojego wykluczenia były już telefony w tej sprawie...

Kto dzwonił? I do kogo?

Adrian Zandberg i Ola Owca do osób, które współpracowały ze mną w jakikolwiek sposób.

I co mówili?

„No, jak się czujecie? Ale wiecie, że mogą być konsekwencje dalszej współpracy z Pauliną Matysiak” itd. Bez konkretnych faktów. I jeszcze mydlenie oczu, że „jakbyście się znaleźli w trudnej sytuacji, to my oczywiście pomożemy”. A jak padały pytania od ludzi o konkrety, że ktoś może zrezygnować, ale co dostanie w zamian, może etat gdzieś, to w słuchawce zapadała krepująca cisza. I pytanie, czy wiedzą, że sytuacja finansowa partii nie jest najlepsza.

Ale że sam wódcę Zandberg pofatygowal się z takimi telefonami...

To też zabawne. Jedna osoba odebrała i słyszy, że dzwoni Adrian. Myślała, że to kolega z okręgu, bo przecież nie miała numeru Zandberga i nigdy się z nim nie kontaktowała. A tu się okazuje, że to „ten Adrian”. Są tacy, których to nie rusza, ale kilka osób naprawdę się przejęło. Ale ja nie rozumiem takiego sposobu załatwiania spraw. Dzwonią, nie mają żadnej oferty – byle ze mną nie pracować.

Dzięki Tusкови marszałek Sejmu

Włodzimierz Czarzasty przeżywa chyba najlepszy okres w karierze. Więcej pewnie nie osiągnie, ale to raczej on będzie rozdawał miejsca na liście wyborczej. Znajdzie się tam miejsce dla pani?

Zobaczmy, co się wydarzy przez najbliższe dwa lata. Akurat Włodzimierz Czarzasty jest bardzo dużym pragmatykiem i na pewno będzie zachęcał do stworzenia jednej listy lewicowej, bo wie, że wtedy można osiągnąć lepszy wynik wyborczy. W przypadku lewicy to się sprawdziło i w 2019 r., i w 2023 r.

Widzi pani oczami wyobraźni sytuację, gdy idzie do Czarzastego i mówi: „Włodek, może ja bym wystartowała z tej listy”?

Równie dobrze można sobie wyobrazić odwrotną sytuację – że dostanę propozycję startu. Na pewno start z listy

lewicowej byłby dla mnie najbardziej naturalną drogą. Bardziej naturalną niż jakiegokolwiek inna.

Wielokrotnie zaprzeczała pani pogłoskom, że zbliża się do PiS. Ale gdyby np. Marcin Horała namówił Jarosława Kaczyńskiego, żeby zadzwonił do pani i zaprosił panią na listę, to co?

Tutaj Włodek, tutaj Jarosław... O rety, rety! Panowie, spokojnie. W jakiej kolejności odebrać te telefony? Na progu 2026 r. trudno rozmawiać o scenariuszu na 2027 r. Może będzie jakaś zupełnie nowa lista, zupełnie nowe ugrupowanie? Ale możliwe są różne warianty i rozważam je. To oczywiste.

Można się pokusić o pewną złośliwość: partia Razem uczy się od Nowej Lewicy załatwiania i pozbywania się niewygodnych osób. Myślę, że Włodzimierz Czarzasty pokiwałby głową z zadowoleniem

Dosyć demonstracyjnie podróżuje pani transportem publicznym. Zrobiła pani z tego modę, sposób na życie. A czy nie jest tak, że powód jest prozaiczny, czyli brak prawa jazdy?

Ciągle nie mam prawa jazdy, to prawda. Siłą rzeczy jest to mój podstawowy sposób przemieszczania się. Ale np. niedawno do Sieradza pojechałam samochodem, bo nie miałam innej możliwości – musiałam się tam dostać autem.

Ale jako pasażer?

Tak. Bez kilometrówki. Ale uwaga, teraz powiem coś ważnego. Myślę, że w kwestii mojego prawa jazdy 2026 r. przyniesie zmiany. Już nie będę miała jak się wytłumaczyć i nie pójść na kurs, bo w Kutnie powstał WORD. Więc posłanka z tego miasta musi zdać prawo jazdy w Kutnie i pewnie nastąpi w tym

roku. Natomiast nie sędzę, żeby to w znaczący sposób zmieniło moje nawyki związane z podróżowaniem. Oczywiście mieszkam w bardzo wygodnym miejscu, pociągiem dojeżdżam do Warszawy w ciągu godziny, więc moja perspektywa jest zupełnie inna niż kogoś, kto mieszka na obrzeżach kraju.

Słyszałam, że jak na posłankę dosyć sprawnie poruszającą się w social mediach, jest pani osobą bardzo analogową. To prawda?

Sociale zjadają mi mnóstwo czasu. W ogóle dzisiaj bardzo trudno jest złapać balans pomiędzy życiem realnym a wirtualnym, internetowym. One się przenikają, czasem trudno to oddzielić. Dlatego rzeczywiście lubię analogowy świat i widzę większą wartość np. kartki pocztowej ze znaczkiem niż MMS ze zdjęciem. Kiedyś czytałam więcej na czytniku, ale ostatnio wróciłam do papierowych książek. To bardzo przyjemne, ale w długą podróż pewnie wolałabym wziąć e-booka. Jak we wszystkim – trzeba czuć umiar.

Czy to w jakimś stopniu pozwala pani nie dać się porwać szalonej politycznej rzeczywistości?

Ostatnio widziałam się w Toruniu ze znajomymi sprzed lat i usłyszałam, że nie zmieniałam się przez politykę, co pewnie nie jest takie łatwe. Bo to jest taki świat, w którym łatwo może odbić i pewnie wielu osobom odbija. Chyba z powodu braku świadomości, że to nie jest na zawsze. Posłem się bywa, a człowiekiem się jest. Niektórym ministrom przydałoby się przypomnieć, że kiedyś się to skończy, że trzeba będzie wrócić do rzeczywistości i fajnie mieć w kimś i w czymś oparcie.

Jaka jest ta inna rzeczywistość Pauliny Matysiak?

Mam bardzo duże oparcie i w swojej rodzinie, i w swoich znajomych. Są dla mnie odskocznią. Ale lubię też pobyć sama. Jak mam czas, to wyszywam. To jest już absolutnie analogowe i z tego powodu robi dobrze na głowę. Jak wszystkie rzeczy i czynności, które są zakorzenione w rzeczywistości, namacalne. I jest tego jakiś widoczny efekt.



Strategiczna „nietrzeźwość” Europy

Czy narastający konflikt o Grenlandię może doprowadzić do trwałego zerwania relacji amerykańsko-europejskich? A może to tylko gra polityków Starego Kontynentu o zachowanie podmiotowości w stosunkach z Waszyngtonem? Bo ostre deklaracje nie zmieniają faktu, że bez wsparcia USA bezpieczeństwo Europy jest zagrożone



MAREK BUDZISZ

Po skutecznej interwencji w Wenezueli Donald Trump podjął temat państwowej przynależności Grenlandii. „Potrzebujemy Grenlandii do bezpieczeństwa narodowego” – powiedział, występując na konferencji w Mar-a-Lago. „Jeśli spojrzysz wzdłuż wybrzeża, wszędzie zobaczysz rosyjskie i chińskie statki” – tymi słowami Trump opisał aktualną sytuację strategiczną tej największej na świecie wyspy, liczącej 2,1 mln km² powierzchni, ale niemającej statusu kontynentu.

Równocześnie amerykański prezydent mianował Jeffa Landry’ego, gubernatora Luizjany, „specjalnym wysłannikiem” ds. Grenlandii, co zaostriżyło relacje między Danią a USA. Amerykański ambasador został wezwany do duńskiego MSZ, a państwa skandynawskie we wspólnym oświadczeniu skrytykowały Waszyngton. Premier Danii zaczęła mówić o końcu NATO, jeśli Amerykanie użyliby siły, aby anektować wyspę. Natomiast Andrius Kubilius, pochodzący z Litwy eurokomisarz ds. przemysłu zbrojeniowego i obronności, nie tylko potwierdził oceny Mette Frederiksen, lecz także wezwał do budowy 100-tysięcznej europejskiej armii, która miałaby za zadanie chronić nasz kontynent. Powinna też dyslokować przynajmniej dwie – na razie nieistniejące – brygady na Grenlandię.

natora Luizjany, „specjalnym wysłannikiem” ds. Grenlandii, co zaostriżyło relacje między Danią a USA. Amerykański ambasador został wezwany do duńskiego MSZ, a państwa skandynawskie we wspólnym oświadczeniu skrytykowały Waszyngton. Premier Danii zaczęła mówić o końcu NATO, jeśli Amerykanie użyliby siły, aby anektować wyspę. Natomiast Andrius Kubilius, pochodzący z Litwy eurokomisarz ds. przemysłu zbrojeniowego i obronności, nie tylko potwierdził oceny Mette Frederiksen, lecz także wezwał do budowy 100-tysięcznej europejskiej armii, która miałaby za zadanie chronić nasz kontynent. Powinna też dyslokować przynajmniej dwie – na razie nieistniejące – brygady na Grenlandię.

ANTYAMERYKAŃSKA PSYCHOZA

Czytając europejskie liberalne media, można nawet odnieść wrażenie, że Europa stoi na progu starcia ze Stanami

Zjednoczonymi, tak silna jest antyamerykańska psychoza. Gideon Rachman, komentator „The Financial Times”, zaproponował, aby „Europa zaczęła myśleć o kwestiach nie do pomyślenia”, co jego zdaniem winno oznaczać nie tylko koniec NATO, lecz wręcz pozbycie się amerykańskich baz wojskowych z naszego kontynentu i obłożenia koncernów technologicznych z USA wysokimi cłami.

Inny publicysta tego dziennika, Martin Wolf, pisze, że ruch MAGA walczy z europejskimi demokracjami, wspierając populistyczne i nacjonalistyczne „siły patriotyczne”. Jego zdaniem Europa ma do wyboru bezczynność, prowadzącą do podobnych skutków, co dojście Hitlera do władzy w latach 30. XX w., bądź walkę z rysującymi się zagrożeniami.

Marc Leonard, założyciel i dyrektor proeuropejskiego think tanku ECFR, napisał z kolei, że „zjednoczony Zachód jest martwy”, więc Europa powinna się stać samodzielnym „filarem siły”, a nie

elementem cudzej, czyli amerykańskiej, polityki bezpieczeństwa.

Gdybyśmy mieli do czynienia wyłącznie z nierozsądnymi wypowiedziami szanowanych skądinąd publicystów, to można by się tym było nie zajmować, ale w te nastroje „wpisują się” działania rządów. W odpowiedzi na deklaracje Trumpa Duńczycy zapowiedzieli zwiększenie swej obecności wojskowej na Grenlandii, co należy traktować raczej w kategoriach demonstracji politycznej niż realnej próby militarnego wzmocnienia obrony wyspy. Przede wszystkim dlatego, że Kopenhaga utrzymuje tam obecnie 150 żołnierzy, a zapowiedziane inwestycje obronne warte 4,2 mld dol. zaczęą przynosić pierwsze efekty dopiero po 2031 r. – bo tyle czasu zajmie dostawa zamówionego sprzętu.

Podobnie demonstracyjnym, antyamerykańskim gestem jest deklaracja Paryża, który ogłosił, że już na początku lutego w Nuuk, stolicy Grenlandii, otworzy francuski konsulat. Oczywiście w tym przypadku nie chodzi o interesy francuskich turystów odwiedzających tę pozabawioną dróg wyspę, ale o manifestacyjne „zajęcie pozycji”.

Europejczycy, którym osiem miesięcy zajęły dyskusje na temat celowości i skali własnego zaangażowania wojskowego na Ukrainie, aby zademonstrować swą niezależność wobec Trumpa, tym razem od razu przystąpili do działania, ogłaszając rozpoczęcie ćwiczeń wojskowych na Grenlandii i wysłanie na wyspę „misji zwiadowczej”. Nie ma ona wielkiego znaczenia wojskowego, bo Niemcy, którzy wezmą w niej udział, poinformowali o udziale 13 żołnierzy, a Francuzi, którzy też się zaangażują, w ogóle nie podali informacji na ten temat.

W Paryżu nastroje są więcej niż bojowe. Ludovic Tournès, publicysta „Le Grand Continent”, wzywa do „dekolonizacji Europy”, co jego zdaniem musi się wiązać z „przełamaniem atlantyckiego tabu”, czyli w pierwszym rzędzie zakwestionowaniem „mitu” o tym, że USA są przyjacielem naszego kontynentu. Jego zdaniem nie są – co więcej, trzeba przyjąć do wiadomości, że „dla Stanów Zjednoczonych Europa

nigdy nie była sojusznikiem”. Maud Bregeon, rzeczniczka prasowa francuskiego rządu, zapowiedziała nawet „bezprecedensowe konsekwencje”, jeśli Amerykanie podważą suwerenność „sojusznika Francji” nad jego zamorskim terytorium.

Pål Jonson, szwedzki minister obrony, jest z kolei zdania, iż Trump „przesadza”, podkreślając skalę penetracji chińskich i rosyjskich statków oraz okrętów na północnym Atlantyku i deklaruje, że w przypadku zaangażowania Pekinu chodzi głównie o działalność badawczą. Nawiasem mówiąc, podobna rosyjska „działalność badawcza” na Bałtyku czy Morzu Północnym nie jest już traktowana przez Sztokholm tak samo.

Waszyngton zmienia reguły gry, narzucając nową geometrię subordynacji. Dla europejskiego poczucia dumy oznacza ona niestety podporządkowanie własnych interesów amerykańskim, w tym zwiększenie wydatków. Dlaczego? Bo w nowej globalnej geografii bezpieczeństwa ten, kto broni starych partnerów, oczekuje więcej w zamian

Państwa europejskie, bardzo ostrożne i wyważone w przypadku polityki wzmacniania wschodniej flanki NATO, jeśli chodzi o przeciwstawienie się Trumpowi, są znacznie bardziej zdeterminowane. Przypuśćmy nawet, że skądinąd nierozważna propozycja Kubiliusa stanie się ciałem i Europa, dysponując własną, 100-tysięczną armią, podejmie decyzję o dyslokowaniu niektórych jej związków taktycznych na Grenlandię. Czy równolegle wzrośnie skłonność do wzmacniania europejskiej obecności

w państwach bałtyckich, nie mówiąc już o „kontyngencie stabilizacyjnym” na Ukrainie? W czasie niedawnego spotkania w Paryżu uzgodniono, że „koalicja chętnych”, w skład której wchodzi przecież kilkadziesiąt państw, po zakończeniu wojny wyśle 15 tys. żołnierzy, i to przede wszystkim specjalistów w zakresie logistyki czy szkolenia ukraińskich żołnierzy. Mają oni stacjonować w zachodniej części Ukrainy, a za monitorowanie sytuacji na linii rozgraniczenia – co zresztą uznano za sukces spotkania – mają odpowiadać Amerykanie. Dlaczego? Przede wszystkim z tego powodu, że państwa europejskie nie mają odpowiednich zdolności, a ich budowa zajmie wiele lat. W swym antytrumpowskim zapale litewski eurokomisarz nie zauważa nawet, że niemiecka niby brygada stacjonująca w jego ojczyźnie mimo solennych deklaracji Berlina nadal jest batalionem, czyli ma potencjał co najmniej czterokrotnie mniejszy od deklarowanego. Czy koncentracja Europy na obronie Grenlandii zwiększy możliwości reagowania na zagrożenie ze Wschodu?

GLOBALNA WIZJA

Deklaracje europejskich polityków i argumenty publicystów można potraktować w kategoriach teatru, gry, której celem nie jest zerwanie ze Stanami Zjednoczonymi, ale wywarcie presji na Waszyngton, aby ten zmienił swoje stanowisko i zaczął myśleć o partnerskich relacjach Ameryki ze Starym Kontynentem. Tego rodzaju postawa byłaby zrozumiała, a może nawet mogłaby zostać uznana za sprytną, gdyby nie jeden problem. Jest raczej świadectwem całkowitego niezrozumienia amerykańskiego myślenia strategicznego i wizji globalnego porządku, jaka się za nią kryje, nie świadczy więc o umiejętności prowadzenia wyrafinowanej gry dyplomatycznej.

Nie oczekujemy końca sporów o przyszłość duńskiej kolonii na zachodnim Atlantyku, bo Waszyngton zapowiedział już podróż Jareda Kushnera, zięcia Trumpa, który w towarzystwie Jeffa Landry’ego w najbliższym czasie ma pojechać na Grenlandię. Ta podróż

wywoła nowe kontrowersje, ale w całej sprawie mamy do czynienia z ważniejszym zjawiskiem, jakim jest realizacja przez USA koncepcji „obrony zachodniej półkuli” (Western Hemisphere Defence), co w najbliższych latach zmieni amerykańską projekcję siły i zdolność do stabilizowania sytuacji w regionach odległych od kontynentu amerykańskiego.

Warto poświęcić nieco uwagi tej doktrynie, tym bardziej że jest ona realizowana od pierwszego dnia urzędowania administracji Trumpa. Brandon J. Weichert zwrócił uwagę na łamach „The National Interest”, iż ostatnie decyzje Pentagonu oznaczają rozpoczęcie zmian organizacyjnych związanych z wdrożeniem doktryny Western Hemisphere Defence, pokazując priorytety administracji Trumpa. Chodzi o połączenie dowództw południowego (SOUTHCOM) i północnego (USNORTHCOM). W świetle argumentacji Pete’a Hegsetha ta decyzja ma na celu przede wszystkim zwiększenie gotowości i „odchudzenie” sztabów przez redukcję liczby wyższych oficerów, a także skrócenie łańcuchów dowodzenia, ale jest również postrzegana jako znaczący krok na drodze do budowy jednolitego systemu obrony zachodniej półkuli. Nowe dowództwo – USAMERCOM – ma odpowiadać za bezpieczeństwo i przeciwdziałanie zagrożeniom – nie tylko natury militarnej – bo mowa jest również o handlu narkotykami czy nielegalnej migracji na całym kontynencie amerykańskim i wszystkich przyległych kierunkach strategicznych. Zmiany te są rezultatem oceny „luk bezpieczeństwa” i wniosków, które wypływają z tej analizy.

W świetle tej interpretacji przeciwnik atakuje przede wszystkim w obszarach „styku” kompetencji i odpowiedzialności dowództw, zarówno na szczeblu taktycznym, jak i operacyjnym. Jest to wynik analizy doświadczeń ukraińskich, w świetle których konsolidacja dowodzenia na teatrze działań wojennych jest koniecznym warunkiem budowy skutecznej obrony. Podjęte przez Pentagon decyzje stanowią też wynik narastającego w USA przekonania, iż kontynent amerykański przestaje już być sanktuarium, a peer competitors, jakimi są Chiny i Rosja, mają zdolno-

ści bezpośredniego atakowania celów w Stanach Zjednoczonych, w związku z czym należy położyć większy nacisk na obronę. To podejście wymusza nie tylko zmiany w systemach dowodzenia i większe inwestycje w zakresie obrony terytorium USA, lecz także przekonanie, że siły zbrojne muszą kontrolować kluczowe szlaki prowadzące na przyszłe pole bitwy, aby uniemożliwić wrogowi swobodne przemieszczanie się. To dlatego Trump mówi o znaczeniu dla amerykańskiego bezpieczeństwa Panamy, Wenezueli, a także Kuby oraz Grenlandii.

PLAN DZIAŁANIA

Sama koncepcja „obrony zachodniej półkuli” została opracowana jeszcze w 2013 r. w think tanku CSBA przez Andrew F. Krepinevicha, ówczesnego szefa tej instytucji, i analityka Erica Lindseya. Kiedy czyta się ją dzisiaj, można odnieść wrażenie, że mamy do czynienia z opisanym w szczegółach planem działania, który administracja Trumpa realizuje od pierwszych dni urzędowania.

Autorzy wyszli z założenia, że doświadczenie historyczne wskazuje, iż „Stany Zjednoczone narażają się na ryzyko, ignorując kwestie bezpieczeństwa na półkuli zachodniej”. Innymi słowy, słabość państw tego regionu, wzrost znaczenia przestępczości zorganizowanej i problemy ekonomiczne umożliwiają penetrację przez rywali strategicznych Ameryki Łacińskiej, która staje się w ten sposób „miękkim podbrzuszem” w zakresie bezpieczeństwa USA. W opinii Krepinevicha i Lindseya pierwszymi posunięciami mającymi wzmocnić amerykańską pozycję na zachodniej półkuli miała być walka z kartelami narkotykowymi i innymi latynoamerykańskimi „graczami”, odwołującymi się do siły. Kroki te uznano za niezbędne, bo tolerowanie tego rodzaju zjawisk oznacza osłabienie i tak już chwiejnych państwowości Ameryki Łacińskiej, co może zostać wykorzystane przez rywali strategicznych, do których już wówczas – w 2013 r. – zaliczano Chiny, Rosję i Iran.

Innymi postulowanymi działaniami było zwiększenie szczelności i ochrony

amerykańskiej granicy, ograniczenie nielegalnej – a także legalnej – migracji do Stanów Zjednoczonych i odejście od „liniowej” (w ramach podejścia „one yard line”) koncepcji obrony własnej granicy, co musi oznaczać zdolność i gotowość do interweniowania na terytorium państw o kluczowym znaczeniu dla amerykańskiego bezpieczeństwa. Inne działania miały polegać na walce z państwami zrzeszonymi w Sojuszu Boliwariańskim (ALBA), z których za głównych rywali uznawano Wenezuelę i Kubę, inicjatorów tego porozumienia.

NIE MA DARMOWYCH OBIADÓW

Obrona zachodniej półkuli oznacza też zmianę priorytetów w zakresie tego, co określa się mianem „projekcji siły” na krańcach amerykańskiego imperium. Nie ma mowy o porzuceniu strategicznym i wycofaniu się, ale większe ciężary mają ponosić sojusznicy, których wiarygodność będzie podlegać ocenie. Dotyczy to zarówno państw azjatyckich – stąd amerykańska presja na Japonię i Koreę Południową, aby te rozbudowywały swe zdolności wojskowe – jak i europejskich.

Waszyngton zmienia reguły gry, narzucając nową geometrię subordynacji. Dla europejskiego poczucia dumy oznacza ona niestety podporządkowanie własnych interesów amerykańskim, w tym zwiększenie wydatków. Dlaczego? Bo w nowej globalnej geografii bezpieczeństwa nie ma „darmowych obiadów”, ograniczone zasoby stają się coraz cenniejsze i ten, kto broni starych partnerów, oczekuje więcej w zamian. W tym sensie w istocie mamy do czynienia ze zmianą zasad funkcjonowania zachodniego systemu sojuszniczego. Trudno zaakceptować nowe reguły, co miała otwarcie przyznać Kaja Kallas, kierująca europejską dyplomacją, która w przypływie szczerości powiedziała współpracownikom, iż „sytuacja globalna ewoluuje w takim kierunku, że trzeba zacząć pić”. Tylko że strategiczna nietrzeźwość – a w te strony zaczęły podążać europejskie państwa i uznani publicyści – może przynieść chwilową ulgę, ale z pewnością nie jest rozwiązaniem problemu.

Wolnościowa insurekcja w Iranie

*Po tym wszystkim, co Donald Trump powiedział
do zbuntowanych Persów, ma on tylko jedno wyjście:
mocne i druzgocące uderzenie w irańskich Strażników
Rewolucji, służby bezpieczeństwa i ośrodki kierowania terrorem*



JAN ROKITA

W chwili, gdy przygotowuję ten tekst, w Iranie miała się rozpocząć fala egzekucji uczestników wolnościowej insurekcji. Ale właśnie Donald Trump powiedział dziennikarzom w Białym Domu: „Miało być dziś dużo egzekucji, ale się nie odbędzie”. Niewykluczone, że władca Iranu ajatollah Chamenei, pod presją Waszyngtonu, zawiesił na chwilę proceder wieszania ludzi. Nie zmienia to faktu, że fanatyczny reżim szyickich mullahów zapewne nie zrezygnuje z zemsty na tych, którzy mieli czelność spróbować go obalić. A wtedy mogą być setki, a nawet tysiące egzekucji, gdyż tamtejsza bezpieka aresztowała ok. 20 tys. ludzi. I zgodnie z oświadczeniami najwyższych religijnych sędziów perskiej teokracji, wszyscy oni są oskarżeni o udział w sterowanej przez Amerykę i Izrael „moharebeh”, czyli wojnie przeciwko Bogu. Zbrodnię karaną w Iranie śmiercią.

Amerykański Departament Stanu, który w ubiegłą środę podał informację o planowanym na ten dzień powieszeniu 26-letniego Erfana Soltaniego, dodał do niej komentarz, iż „tym razem reżim nie zawracal sobie głowy zwyczajowym dziesięciominutowym pozorowanym procesem”. Casus egzekucji Soltaniego stał się głośny i symboliczny, gdyż jego odważna siostra, prawniczka, której nie dopuszczono do żadnych czynności procesowych, potrafiła – mimo blokady komunikacyjnej Iranu trwającej od 8 stycznia – udzielić krótkiego wywiadu stacji CNN; mało prawdopodobne, aby po czymś takim udało się jej zachować życie. Najwyżsi sędziowie domagają się jak najszybszego skazywania i wieszania uczestników insurekcji. A perski reżim jest znany z tego, że młodych ludzi domagających się wolności zwykł nawet publicznie wieszać na miejskich latarniach, aby odstraszyć ich kolegów i przyjaciół.

BUNT KUPCÓW

O tym, co w ciągu ostatnich dni faktycznie działo się w Iranie, wiemy tak naprawdę stosunkowo mało. Wiadomo, że rozruchy, które wybuchły w grudniu na bazarach, szybko ogarnęły cały kraj i w ciągu pierwszego tygodnia stycznia Zachód ujrzał liczne obrazy tłumnych manifestacji antyrządowych z naj-

rozmaitszych miast i części kraju. Wtedy także pojawiły się pierwsze informacje o walkach pomiędzy demonstrantami a oddziałami bezpieczeństwa, w trakcie których padły ofiary po obu stronach. Podobno manifestanci na jakiś czas przejęli kontrolę nad dwoma miastami, a „persko-kurdyjska grupa bojowa” ogłosiła zdobycie bazy Korpusu Strażników Rewolucji Islamskiej w prowincji Kermanszah w zachodnim Iranie.

Wygląda więc na to, że w pierwszym tygodniu stycznia antyrządowe rozruchy z jednej strony rozlały się na większość ośrodków miejskich kraju, z drugiej zaś tu i ówdzie przerodziły się w realne powstanie, zmierzające do obalenia panującego już niemal od pół wieku reżimu szyickich mullahów.

Zdaje się, że na początku reżim próbował nawiązać dialog ze zbuntowanymi kupcami. W telewizyjnym wystąpieniu prezydent Masud Pezeszkian przyznał, iż protestujący mają rację, gdyż władze nie potrafiły przeciwdziałać krachowi waluty i załamaniu handlu spożywczego, a rządowe media pokazały nawet obrazki ze spotkania z kupcami samego najwyższego władcy, 86-letniego ajatollaha Chamenei. Ale już wkrótce ta względnie umiarkowana taktyka uległa zmianie, gdy mullahowie uświadomili sobie, iż po raz pierwszy od pół wieku na serio stoją wobec insurekcji mającej na celu obalenie ich rządów i przywrócenie wolności.

Bunt kupców, którzy 28 grudnia 2025 r. protestacyjnie zamknęli swoje sklepy na teherańskim Wielkim Bazarze, został wywołany hiperinflacją, która w ciągu jedynie ostatniego miesiąca roku doprowadziła do spadku wartości perskiej waluty o połowę, tak że za 1 dol. na czarnym rynku płacono już 1,5 mln riali. Ponoć kupcy oświadczyli, iż w takich warunkach nie są w stanie naliczać nowych cen na artykuły pierwszej potrzeby i zamknęli sklepy.

Nie ma wątpliwości, że choć podłożem tej akcji było załamanie ekonomiczne kraju, to protestacyjne zamknięcie Wielkiego Bazaru stanowiło w istocie polityczny akt zerwania przez kupców ich tradycyjnego sojuszu z reżimem. Bogaci handlarze – z reguły o konserwatywnych poglądach religijnych – byli dotąd uważani w Teheranie

za jeden ze społecznych filarów władzy mullahów. Nic dziwnego, że ich bunt w połączeniu z załamaniem rynku żywności oraz astronomicznymi skokami cen oleju, mięsa i drobiu doprowadził do rozruchów.

PLAC DONALDA TRUMPA

Jeśli coś mogło być zaskoczeniem, to skala i tempo, w jakim rozruchy rozlały się po całym kraju. Można sądzić, iż decydujący wpływ na to miały dwa czynniki.

Pierwszy to powszechnie już dostrzegana nieudolność reżimu, mająca bezpośredni wpływ na życie codzienne. W Teheranie spektakularnym tego przykładem jest ostry kryzys wodny – ludność 10-mln metropolii ma coraz bardziej ograniczony dostęp do niej. Gospodarka wodna kraju została bowiem oddana przez mullahów w pacht skorumpowanym firmom utworzonym przez Strażników Rewolucji, które w chaotyczny sposób wybudowały setki tam wodnych, doprowadzając do niekontrolowanych zakłóceń naturalnego obiegu wody. W konsekwencji, gdy teraz w kraju nastąpiła susza, prezydent Pezeszkian zapowiada konieczność wprowadzenia z Teheranu władz kraju i przymusowych przesiedleń ludności miasta z powodu niemożności zapewnienia mieszkańcom dostępu do wody. Skorumpowana teokracja, w której uprzywilejowaną klasę społeczną stanowi 200-tys. zmilitaryzowany Korpus Strażników Rewolucji wraz z paramilitarną organizacją Basidż, sprawnie utrzymuje polityczny terror, ale przestała sobie radzić z realnym zarządzaniem krajem i gospodarką.

Drugim, kluczowym czynnikiem rozszerzenia się rozruchów niespodziewanie okazał się Donald Trump. Jego postępowanie całkowicie odbiegało od obyczajów poprzednich prezydentów Stanów Zjednoczonych, którzy bacznie zwracali uwagę na to, aby Ameryka swoimi deklaracjami i obietnicami nigdzie nie świecie nie narażała ludzi na ryzyko śmierci.

Ten *modus procedendi*, złamany teraz przez Trumpa, pochodzi jeszcze z czasów zimnej wojny, gdy Ameryka odniosła się w ten sposób choćby do powstania węgierskiego czy Praskiej

Wiosny. Tymczasem Trump już 2 stycznia, gdy tylko pojawiły się pierwsze dane o ofiarach rozruchów, napisał na platformie Truth, że „jeśli Iran będzie strzelać i brutalnie zabijać pokojowych protestujących, co jest jego zwyczajem, to USA przyjdą im na ratunek”.

Ta deklaracja amerykańskiego prezydenta nie tylko ośmieliła siły antyreżimowe w Iranie, lecz przede wszystkim wywołała entuzjazm teherańskiej ulicy. Na filmikach przekazanych jeszcze przed blokadą informacyjną kraju możemy oglądać ludzi wiwatujących na cześć Trumpa albo scenkę, jak młodzi ludzie zdejmują tablicę z nazwą jakiegoś placu, umieszczając w zamian tabliczkę z napisem: „Plac Donalda Trumpa”.

Od tamtego czasu prezydent USA regularnie nawoływał ludność Iranu do kontynuacji i zaostrzenia protestów, podsycając ich nadzieje na odzyskanie wolności z pomocą Ameryki. W efekcie skala manifestacji, rozruchów i walk z oddziałami bezpieczeństwa osiągnęła apogeum w czwartek i piątek – 8 i 9 stycznia.

Wtedy też wprowadzono blokadę internetu i telefonów w całym Iranie, a sporadyczne informacje wskazywały na to, że gdzieś tam powstańcy przystąpili do rozprawy ze Strażnikami Rewolucji oraz agentami Basidżu, infiltrującymi cały kraj i wyciągającymi z domów uczestników manifestacji.

W piątek, 9 stycznia, Chamenei wygłosił transmitowane w telewizji przemówienie, w którym nazwał manifestantów „najemnikami działającymi na zlecenie Trumpa”, zapowiadając, że reżim „nie cofnie się przed buntownikami, ponieważ jego władza jest uświęcona krwią tysięcy męczenników”.

To był przełom, gdyż najwyraźniej to właśnie wtedy władca Iranu nakazał/zezwoił (?) oddziałom bezpieczeństwa strzelać do tłumów ostrą amunicją. Na razie relacje o tym są tylko cząstkowe, ale dzięki decyzji Elona Muska o natychmiastowym aktywowaniu i bezpłatnej subskrypcji terminali Starlink w Iranie dysponujemy chociaż ograniczoną wiedzą o tym, co tego dnia działo się nie tylko w stolicy kraju.

Pierwsza fala wolnościowej insurekcji została złamana w sobotę, 10 stycznia,

za cenę co najmniej 2 tys. zabitych, choć wiele wskazuje na to, iż liczba ta okaże się dużo większa. Według relacji z Teheranu ludzie, którzy jeszcze w piątek wracali z pracy, przebiegali się i pędzili na wieczorne i nocne manifestacje, czasami nawet wraz z dziećmi, zniknęli przerażeni z ulic, ryglując się w domach. Do miasta ruszyli głównie rodzice szukający swoich dzieci, które nie powróciły do domu. Filmik nakręcony przed gmachem teherańskiego prosektorium

Jeśli coś mogło być zaskoczeniem, to skala i tempo, w jakim rozruchy rozlały się po całym kraju. Można sądzić, iż decydujący wpływ na to miały dwa czynniki

pokazuje makabryczne obrazy niezliczonej liczby zakrwawionych worków, z których wystają tylko ludzkie głowy. Zrozpaczeni żywi ludzie próbują odnaleźć wśród nich swoich bliskich.

Na środę, 14 stycznia, zostały wyznaczone pierwsze egzekucje młodych ludzi, wyciąganych z domów przez agentów i szpicli z paramilitarnej organizacji Basidż. Bezpieka przeczesuje także budynki mieszkalne w Teheranie w poszukiwaniu anten satelitarnych, dzięki którym mogą działać routery systemu Starlink.

„POMOC JEST W DRODZE”

Dzień wcześniej Trump zaostrzył ton swoich deklaracji, nawołując powstańców, by wytrwali i „przejmowali instytucje”, wypowiadając przy tym słynne na cały świat zdanie: „Help is on its way” („Pomoc jest w drodze”). Na razie nikt nie wie, co by miały w praktyce znaczyć te słowa i jakie realne zamiary wobec Iranu ma prezydent USA, a on sam w swoim stylu mówi dziennikarzom, że „sami muszą rozgryźć tę zagadkę”.

Wiadomo za to, że sunniccy sojusznicy Ameryki z Bliskiego Wschodu

– Arabia Saudyjska, Turcja, Emiraty i zwłaszcza Katar – pospiesznie próbują mediacji, wystraszeni perspektywą rozpętania prawdziwie wielkiej wojny na Bliskim i Środkowym Wschodzie, w której ich terytoria, a zwłaszcza rozmieszczone tam bazy amerykańskie, z pewnością byłyby atakowane. Przygotowania na okoliczność takiego konfliktu wdrożył także Izrael, który w razie działań zbrojnych zapewne też stałby się celem perskiego ataku, choć rząd

Netanjahu, zazwyczaj domagający się od Ameryki bombardowań Iranu, tym razem uznał, iż perska insurekcja wolnościowa jest „problemem wewnętrznym” tego kraju.

Trump musi podjąć niełatwą decyzję. Zaryzykował bowiem bardzo wiele, obiecując wielokrotnie pomoc i ratunek dla perskiego powstania, a nawet niemal otwarcie wzywając do obalenia teokratycznego reżimu. Ludzie w Iranie odpowiedzieli na jego wezwanie i musieli przeżyć spore rozczarowanie, kiedy w poprzednią sobotę manifestanci byli masakrowani na ulicach przez Strażników

Rewolucji i wspomagające ich służby bezpieczeństwa. Jeśli wielokrotnie powtarzane obietnice Trumpa miałyby się okazać zwykłym kłamstwem, służącym tylko podburzeniu Persów przeciw reżimowi szyickich mułłów, sam prezydent, a z nim cała Ameryka, utraci kapitał zaufania ludów dobijających się o swoją wolność. Żadne symboliczne uderzenie na jakieś perskie instalacje wojskowe też nie rozwiąże tego problemu. Bo po tym wszystkim, co od 2 stycznia Trump powiedział do zbuntowanych Persów, tylko jedno wyjście jest konsekwentne: mocne i druzgocące uderzenie w irańskich Strażników Rewolucji, służby bezpieczeństwa i ośrodki kierowania terrorem. To mogłoby rozniecić drugą, mocniejszą fazę insurekcji przeciw perskiemu reżimowi. Ale to oczywiście znaczy, że Trump musiałby wziąć odpowiedzialność za znaczną większą wojnę na Bliskim i Środkowym Wschodzie oraz oczywiście – również za jej końcowy polityczny rezultat. Prawdopodobnie bardzo tego jednak nie chce.

Jak cyborgi, czyli kulisy ujęcia Maduro



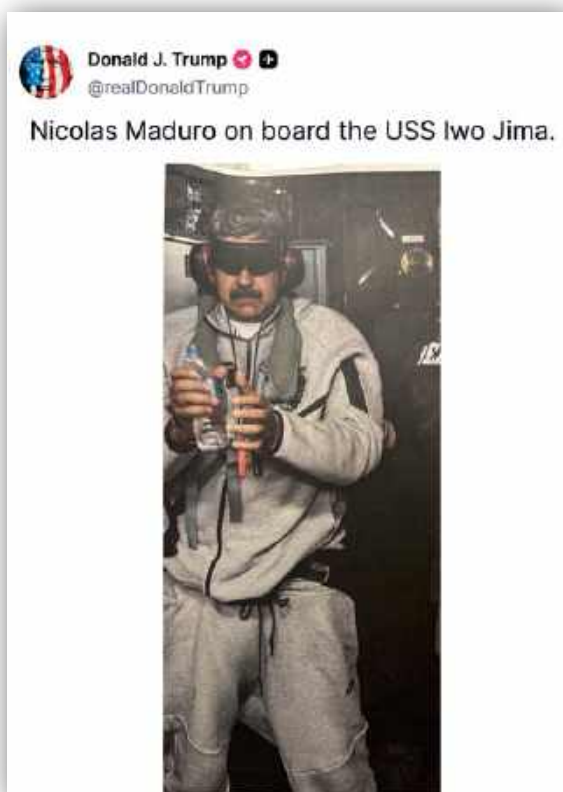
DARIUSZ MATUSZAK

*To artykuł przygodowy.
Tak jak przygodowa może
być książka. Albo artykuł
akcji, jak film akcji. W nocy
z piątku na sobotę, z 2 na
3 stycznia, świat oniemiał,
bo czegoś takiego jeszcze
nie widział. Od tamtej nocy
stupor tylko się pogłębia,
bo na jaw wychodzą
nowe szczegóły rajdu
amerykańskich komandosów
na bazę wojskową i więzienia
do niewoli wenezuelskiego
dyktatora Nicolása Maduro
i jego żony Cilii Flores*

Zacznijmy od sceny, która pod koniec grudnia 2025 r. rozegrała się na plaży nad Oceanem Spokojnym w położonej 2,8 tys. km od Caracas stolicy Peru – Limie. 11 ujara-

nych liśćmi koki i opitych wywarem z psychodelicznych, zwanych pnączem duszy ziół ayahuasca szamanów odbyło tradycyjny rytuał oczyszczający i przepowiadania przyszłości. Płając z portretami wielu przywódców, w tym Trumpa, Maduro, Putina i Xi Jinpinga, wśród zawodzeń, dźwięków piszczałek i muszli, w dymach i piachu zobaczyli, jak prezydent Stanów Zjednoczonych obala dyktatora Wenezueli.

W tym samym czasie na Atlantyku i Morzu Karaibskim trwała już prowadzona przez amerykańską flotę i lotnictwo operacja „Włóchnia Południa”. Największy lotniskowiec świata USS Gerald Ford z 75 myśliwcami na pokładzie, 8 okrętów wojennych, atomowa łódź podwodna, kilkadziesiąt mniejszych jednostek tworzyło najpotężniejszą koncentrację siły militarnej na tych wodach od czasów kryzysu kubańskiego. Jej celem niby miała być walka z założonym przez wenezuelskich generałów Cartel de los Soles (Kartel Słońce). Kluczową rolę odgrywała w nim Primera Combatiente – Pierwsza Bojowniczka Wenezueli, czyli żona Maduro, której bratanek i siostrzeniec zostali w 2015 r. aresztowani na Haiti, przewiezieni do USA i tam skazani na karę 18 lat więzie-



nia za próbę przemytu 800 kg kokainy. Jak zeznali przed amerykańskim sądem, pieniędzmi z narkotyków finansowano m.in. kampanie ich kochanej cioci, Maduro i Zjednoczonej Socjalistycznej Partii Wenezueli.

Mało kto jednak wierzył, że „Włóchnia Południa” została wymierzona w narko-terrorystów (administracja Trumpa zakwalifikowała przestępstwa związane z narkotykami jako terroryzm), bo Amerykanie buszowali wokół Wenezueli od początku września i zdołali posłać na

dno ponad 30 łodzi z setką handlarzy i przemytników. Włóczyła miała przebić też Maduro, i tak się stało. Czy przebiły został cały reżim w Wenezuela – to się dopiero okaże. Nasze rozważania będziemy snuć później, ale na razie wydaje się, że Trump nie chce powtórzyć błędów z Iraku i Afganistanu.

CASUS NORIEGI

Wszystkie działania prowadzone na wodach Atlantyku, wokół Wenezueli, w gabinetach dyplomatów, w czasie negocjacji z samym Maduro, któremu dano możliwość ucieczki do Turcji, były częścią szerszego planu. Donald Trump już w pierwszych dniach swej prezydentury miał się spotkać z ludźmi Baracka Obamy, którzy przeprowadzali reset z Kubą, i radzić się ich, co zrobić z reżimem Maduro oraz kartelem, który stał się właścicielem Wenezueli.

Pewne wzorce istniały. Przykład dał już George Bush, który rozkazał przeprowadzić inwazję na Panamę i porwać byłego agenta CIA oraz prezydenta kraju gen. Manuela Noriega, który zamiast grzecznie kolaborować z Amerykanami, przerzucił się na handel narkotykami. 20 grudnia 1989 r. Panamę najechało ponad 50 tys. żołnierzy. Nazywało się to „Just Cause” – „Słuszną Sprawą”. Nikaraguańczycy szybko złożyli broń, a Noriega najpierw schował się u kochanki, a potem w nuncjaturze papieskiej. Wykurzono go z niej 3 stycznia za pomocą muzyki piekielnej. Dzień i noc Noriedze oraz watykańskim duchownym puszczano na pełny regulator piosenki zespołu Van Halen. Może darowano by mu handel narkotykami, ale nie sprzedawanie Kubie tajemnic amerykańskiego wywiadu i armii, do których jako ich główny poplecznik w Ameryce Środkowej miał dostęp. Noriega miał pomagać w walce z komunistycznym reżimem Nikaragui, ale zdradził i zaczął kolaborować z Kubą, a tak naprawdę z Rosjanami.

Po 36 latach sytuacja poniekąd się powtórzyła. W grze znów byli Rosjanie, którzy uczynili z Wenezueli swą bazę na Amerykę Południową i pomagali jej eksploatować największe na świecie złoża ropy naftowej.

PRZYGOTOWANIA DO AKCJI

Znaczna część 2025 r. musiała upłynąć administracji Trumpa na naradach i planowaniu. Z całą pewnością uczestniczyli w nich sekretarz obrony Pete Hegseth, sekretarz stanu Marco Rubio, prokurator generalna Pam Bondi, zastępca szefa personelu Białego Domu Stephen Miller, którzy stanowią politbiuro prezydenckiej administracji. Do tego gen. Dan Caine, szef Sztabu Połączonych Sił, dowódca operacji specjalnych (USSOCOM) gen. Bryan Fenton, dyrektor CIA John Ratcliffe oraz dziesiątki innych wysokich dowódców i oficerów. Wiadomo, że Trump konsultował się także z szefami wielkich firm naftowych, jak Exxon Mobile czy Chevron, by ustalić, jak dobrać się do wenezuelskiej ropy.

Na stole leżało mnóstwo rozwiązań: od całkowitej blokady Wenezueli, kolejnych sankcji, przejęcia aktywów reżimu na świecie – Szwajcarzy zrobili to po amerykańskiej akcji – a także opcje działań *stricte* wojskowych, jak bombardowania infrastruktury czy obiektów wojskowych. Czyli tradycyjny, nudny zestaw. Ktoś musiał jednak powiedzieć to głośno: „Zrobmy małą akcję – porwijmy Maduro, a jak się nie da, to chociaż go zabijmy. I jego żonę też, bo to zła kobieta jest”.

Wtedy ruszyły przygotowania do tego, co zadziwiło świat, a więc do akcji komandosów Delta Force. CIA i siły specjalne USA rozpoczęły gromadzenie informacji na temat Maduro i szanownej małżonki Flores, w tym: co jedzą, jakie są ich codzienne nawyki, gdzie się poruszają, w co ubierają itp. CIA umieściła agenta wewnątrz wenezuelskiego rządu, który monitorował lokalizację Maduro w dniach i chwilach przed akcją. Zbudowano dokładną replikę jego ufortyfikowanego domu w wojskowym kompleksie Fort Tiuna w Caracas. Żołnierze znali rozkład pomieszczeń, m.in. gdzie za stalowymi drzwiami znajdował się specjalny bezpieczny pokój (safe room), w którym mógł się schować Maduro. Prawdopodobnie wiadomo było, z jakiej stali są drzwi odgradzające pokój, bo komandosi mieli przygotowane palniki – takie, jakie były w stanie przeciąć je

w 47 sek. A może nie mieli takich, tylko gorsze, ale na szczęście wcale nie musieli z nich korzystać, bo małżonkowie Maduro i Flores ostatecznie nie zdążyli się schować w pokoju.

NIEZŁOMNA WOLA

Trump miał podjąć ostateczną decyzję o akcji „Absolute Resolve” (przetłumaczmy to jako „Niezlomna Wola”) 25 grudnia, ale uderzenie zostało wstrzymane ze względu na złą pogodę i akcję w Nigerii. Na prośbę tamtejszego rządu uderzono w pozycje islamistów w prowincji Sokoto. Trump nazwał to „świętecznym prezentem dla chrześcijan”. Wyrok na Maduro został odroczony o tydzień. W międzyczasie prezydent USA miał rozmawiać z nim telefonicznie, a Amerykanie metodycznie atakowali dronami łodzie przemytników i doki, z których korzystali.

Ostatecznie bomba poszła w górę 2 stycznia ok. 23.00 czasu Wschodniego Wybrzeża (u nas była sobota, 3 stycznia, godz. 5.00). Z baz i lotniskowca USS Gerald Ford ruszyło na Wenezuelę ok. 150 samolotów – F-22, F-35, F/A-18, EA-18G Growler, bombowce B-1 oraz drony. Maszyny sparaliżowały systemy obrony przeciwlotniczej – głównie rosyjskie S-300 i BUK. Pociskami rozwalono ruski i chiński sprzęt, część radarów zagłuszono (electronic warfare), a atak cybernetyczny wyznaczył wielu naziemnym wyrzutniom fałszywe cele i pozbawił prądu całe kompleksy wojskowe oraz systemy obrony. Ruska i chińska obrona przeciwlotnicza na usługach Wenezueli była ślepa i głucha. Praktycznie nie odnotowano żadnych walk powietrznych – wenezuelskie samoloty nawet się nie poderwały, więc droga dla helikopterów ze 150–200 komandosami Delta Force była otwarta.

Po rajdzie 30 m nad ziemią ok. 2.00 czasu miejscowego kilka śmigłowców MH-60 Black Hawk i MH-47 Chinook wylądowało w bazie Fort Tiuna, gdzie mieszkał Maduro, i rozpoczęła się walka z jego ochroną – głównie Kubańczykami. Starcie trwało kilka, kilkanaście minut. Zginęło ok. 100 ochroniarzy, w tym 32 Kubańczyków. 4 stycznia oficjalnie przyznał to prezy-

dent Kuby Miguel Díaz-Canel, a media opublikowały nazwiska, stopnie i zdjęcia zabitych. Wszyscy byli członkami kubańskich sił zbrojnych (FAR) oraz Ministerstwa Spraw Wewnętrznych (MININT) i w praktyce pełnili funkcję osobistej ochrony Maduro. Wśród nich byli słynny płk Humberto Alfonso Roca Sánchez, przez trzy dekady najbliższy ochroniarz Fidela Castro, i kpt. Yoel Pérez Tabares, oskarżany przez kubańską opozycję o mordy polityczne i tortury. Amerykanie zlikwidowali eksportowy towar Kubańczyków – „system ochrony rewolucyjnej” i „bohaterów walki z imperializmem”. Na wyspie ogłoszono żałobę narodową, a w Hawanie urządzono nawet publiczny pokaz zwłok.

Sam Maduro wraz z kochaną małżonką nie zdążył nawet skorzystać z bezpiecznego pokoju. Uroczą parę schwytano w sypialni. Nie ma jednak informacji, w jaką piżamę był ubrany dyktator. Domyślamy się, że w jedwabną, ale czy z tygryskami, czy świnkami – nie wiadomo. Wiemy, że został przebrany w gustowny dres. Na uszy założono mu słuchawki wytłumiające dźwięki, a może puszczano mu przez nie latynoski, bardzo znany i u nas przebój „La Cucaracha” („Karaluch”) – o meksykańskim dyktatorze Victoriano Huercie:

„Karaluch, karaluch
nie może już chodzić,
bo nie ma nóg i marihuany”.

Gdy Maduro wyprowadzano z helikoptera, którym przetransportowano go na okręt Iwo Jima, na oczach miał wielkie jak gogle przyciemniane okulary i mógłby nawet przypominać didżeja z Ibizy, gdyby nie klapki na nogach i skarpety frotte. W ręku brakowało mu tylko torby foliowej Lidla. W takim stanie wraz z małżonką trafił do Nowego Jorku i przed oblicze sądu. Teraz za kratami czeka na proces.

TAJEMNICZA BRÓŃ

O tym, jak wyglądały walki w Fort Tiuna, na razie niewiele wiadomo, ale już obrastają one legendą. Według relacji ochroniarzy, którzy przeżyli,

amerykańscy żołnierze wyglądali jak cyborgi. „Byli bardzo zaawansowani technologicznie. Nie wyglądali jak ktokolwiek, z kim wcześniej walczyliśmy. Były nas setki, ale nie mieliśmy żadnych szans. Strzelali z taką precyzją i szybkością. Miałem wrażenie, że każdy żołnierz oddawał 300 strzałów na minutę” – opowiadał jeden z nich. Amerykanie mieli też użyć wyjątkowej, tajemniczej broni dźwiękowej powodującej krwawienie z nosa, wymioty krwi, dezorientację i paraliż. Ochroniarz Maduro opisał to tak: „W pewnym momencie wystrzelili coś – nie wiem, jak to opisać... To było jak bardzo intensywna fala dźwiękowa. Nagle poczułem, jakby moja głowa eksplodowała od wewnątrz. Wszyscy

„W pewnym momencie wystrzelili coś... To było jak bardzo intensywna fala dźwiękowa. Nagle poczułem, jakby moja głowa eksplodowała od wewnątrz. Wszyscy zaczęliśmy krwawić z nosa. Niektórzy wymiotowali krwią. Upadliśmy na ziemię, niezdolni do ruchu” – opowiadał ochroniarz Maduro, który przeżył atak USA

zaczęliśmy krwawić z nosa. Niektórzy wymiotowali krwią. Upadliśmy na ziemię niezdolni do ruchu”. Te relacje nie zostały oficjalnie potwierdzone, ale administracja Trumpa nie zaprzeczyła rewelacjom.

Być może to wszystko jest zmyślane, ochroniarze chcieli się jakoś usprawiedliwić, a może coś jest na rzeczy. Amerykanie przez wiele lat prowadzili dochodzenia w sprawie tzw. syndromu hawańskiego. To tajemnicze schorze-

nie, które po raz pierwszy pod koniec 2016 r. zgłosili amerykańscy dyplomaci i pracownicy ambasady USA na Kubie. Objawiało się ono nagłymi, silnymi bólami głowy, uczuciem ogromnego ciśnienia w niej, ostrym dźwiękiem w uszach, zawrotami głowy, nudnościami, wymiotami, problemy z koncentracją, pamięcią, tzw. mgła mózgowa. A więc dokładnie to, co opisał ochroniarz dyktatora. Po badaniach u kilku osób stwierdzono lekkie urazy mózgu. Z czasem podobne objawy zgłaszali amerykańscy dyplomaci w innych krajach, nawet w Polsce. Pojawiły się teorie, że zostali zaatakowani rodzajem broni sonicznej – dźwiękowej. Do dziś nie wiadomo jednak, przez kogo. Ostatnio pojawiły się doniesienia, że pod koniec 2024 r. Pentagon kupił/zdobyl podczas tajnej operacji mieszczące się w plecaku urządzenie emitujące pulsacyjne fale radiowe, które paraliżują przeciwnika. Testy miały trwać cały rok. Być może z czasem dowiemy się, czy to tylko legendy, czy Amerykanie rzeczywiście mają nową, niezwykłą broń.

Tak czy owak, wszystko to wywarło ogromne wrażenie, przynajmniej w świecie wojskowych. W całej akcji rannych zostało siedmiu Amerykanów i trafiony został jeden helikopter Chinook, ale zdołał wrócić do bazy. Ruscy propagandiści cytowali żołnierzy swoich jednostek specjalnych, jak Alfa, którzy twierdzili, że cała ta operacja specjalna to nic wielkiego, oni też by tak porwali prezydenta Zelenskigo, tylko nie dostali takiego rozkazu. To opowieści tych, którzy cztery lata temu mieli w trzy dni zdobyć Kijów. Politycy zaś międlą coś o prawie międzynarodowym, poszanowaniu suwerenności, czyli o tym, co zwykle.

Czy Trump miał prawo zrobić to, co zrobił? Nie wiem. Na pewno po jego stronie jest prawo silniejszego. Tak czy owak, jednego tyrana mniej, Ruscy stracili kolejny kraj i pokazali światu, że ich wojskowy złom jest nic nie wart. Świat stał się odrobinę lepszy. W Wenezueli zaczynają wychodzić na wolność pierwsi więźniowie polityczni. 

Nowe otwarcie Leona XIV

Papież rozpoczął nowy rok dwoma mocnymi akcentami: nadzwyczajnym konsystorzem i zdecydowanym przemówieniem do korpusu dyplomatycznego



GRZEGORZ GÓRNY

Leon XIV wychodzi z cienia Franciszka i faktycznie rozpoczyna swój pontyfikat – tak część watykańistów oceniła zwołany przez nowego papieża nadzwyczajny konsystorz, który odbył się 7–8 stycznia w Watykanie. Dotędy Robert Prevost głównie kontynuował dzieła rozpoczęte przez Jorgego Maria Bergoglia. Ogłaszał dokumenty przygotowywane na zlecenie swego poprzednika. Wyruszał w pielgrzymki, które tamten zaplanował. Aprobował nominacje, których Franciszek nie zdążył zatwierdzić.

Największym przedsięwzięciem minionego pontyfikatu, które dokończył obecny papież, był Wielki Jubileusz, zamknięty uroczystością 6 stycznia w Rzymie. Już następnego dnia rozpoczął się natomiast wspomniany konsystorz, który można nazwać pierwszym aktem własnej

władzy instytucjonalnej Leona XIV. On sam po swym wyborze oświadczył, iż potrzebuje „czasu refleksji, modlitwy i dialogu”, by móc podjąć pierwsze znaczące decyzje. Wydaje się, że ten okres właśnie dobiega końca.

POWRÓT DO KOLEGIALNOŚCI

Zwołując nadzwyczajny konsystorz, czyli zgromadzenie kardynałów z całego świata, papież oświadczył, że chciałby wysłuchać opinii purpuratów na temat czterech problemów współczesnego Kościoła: misji w dzisiejszym świecie, synodalności, funkcjonowania kurii rzymskiej oraz liturgii. Ostatecznie zdecydował jednak, że z powodu ograniczeń czasowych dyskusja będzie dotyczyć jedynie dwóch pierwszych zagadnień.

Już sama organizacja wydarzenia została potraktowana przez komentatorów jako istotna zmiana w porównaniu z poprzednim pontyfikatem. W zarządzaniu Kościołem Franciszek ograniczył bowiem rolę zarówno kolegium kardynalskiego, jak i kurii rzymskiej, otaczając się gronem kilku zaufanych hierarchów, tworzących grupę C9. Przez długie lata nie zwoływał też zamkniętych konsystorzów, na których dostojnicy z różnych kontynentów mogliby się nawzajem poznać, wspólnie podyskutować i wymienić opiniami.

O lekceważącym stosunku do kardynałów wymownie świadczą dwa wydarzenia. W 2016 r. czterech purpuratów wysłało do Franciszka list z pokorną prośbą o odpowiedź na pytania, które dręczą wielu wiernych na świecie, jednak nie otrzymało od niego żadnej odpowiedzi. W 2020 r. do Watykanu przybył emerytowany ordynariusz Hongkongu, wielki autorytet Kościoła katakumbowego w Chinach, kard. Joseph Zen, który przez kilka dni dobijał się do Domu św. Marty, zabiegając o audiencję u Franciszka, ale nie została wyświadczona mu ta łaska.

Księżęta Kościoła byli więc traktowani jak pętki, którym nie warto odpowiadać ani nawet otwierać im drzwi. Nic więc dziwnego, że podczas prekonklawe, poprzedzającego wybór papieża, powtarzały się głosy, że nowy biskup Rzymu powinien poważniej traktować swych braci w biskupstwie i przywrócić większą kolegialność w zarządzaniu Kościołem. Leon XIV wyszedł naprzeciw tym oczekiwaniom.

Fot. Shutterstock

KRYTYKA „BERGOGLIAŃSKIEJ” SYNODALNOŚCI

W środę 7 stycznia, z samego rana, tuż przed rozpoczęciem konsystorza, papież przyjął na audiencji 93-letniego kard. Josepha Zena. Wkrótce potem wspomniany dostojnik wygłosił przemówienie w obecności Leona XIV i ok. 170 zebranych purpuratów, zabierając głos w dyskusji na temat synodalności. Zgromadzenie odbywało się za zamkniętymi drzwiami, bez obecności prasy, jednak treść wystąpienia szybko dotarła do mediów.

Emerytowany hierarcha skrytykował synod ds. synodalności, zainicjowany przez Franciszka, jako proces „zmanipulowany i mocno sfałszowany”, pozbawiony prawdziwej wolności deliberacyjnej oraz szkodliwy dla autorytetu biskupów i obraźliwy dla ich godności. Mówca szczególnie potępił nadużywanie języka duchowego do legitymizowania wcześniej podjętych decyzji. Według niego „śmieszne i niemal bluźniercze” jest nieustanne powoływanie się na Ducha Świętego, by usprawiedliwiać własne pomysły.

Dostojnik zauważył, że struktura synodalna stworzona przez Franciszka pomija kolegium biskupów, pozbawiając episkopat właściwej mu funkcji. Wątpliwości Zena wzbudził też niejednoznaczny status dokumentu końcowego synodu, uznany za część nauczania Kościoła, ale nie ściśle normatywną, lecz otwartą na lokalne adaptacje. Kardynał dostrzegł w tym groźbę anglikanizacji katolicyzmu, czyli współlistnienia w jednej wspólnocie religijnej rozbieżnych interpretacji prawd wiary, co w konsekwencji musi doprowadzić do rozłamu w Kościele. Zauważył też, że przyjęcie franciszkańskiego modelu synodalności utrudni dialog ekumeniczny, ponieważ stworzy nowe pole nieporozumień i rozbieżności ze światem prawosławnym. Podsumowując, sędziwy purpurat stwierdził: „Papież Bergoglio używał słowa »synod«, ale sprawił, że synod biskupów, instytucja ustanowiona przez św. Pawła VI, zniknął”.

Wspomniana wypowiedź mocno kontrastowała z wystąpieniem kard. Maria

Grecha, którzy wygłosił mowę otwierającą blok dyskusyjny na temat synodalności, zalecając podążanie za linią Franciszka. „Przemówienie kard. Josepha Zena – jak zauważył włoski dziennik »Il Giornale« – nie było jedynym, w którym skrytykowano to, co nazwał on »bergogliąńską synodalnością«. Podczas dyskusji kilku kardynałów apelowało o jednoznaczne zdefiniowanie granic i prawdziwych funkcji synodalności, wyjaśniając, że synod jest synodem biskupów, należy zatem ograniczyć zaangażowanie świeckich”.

Przy okazji watykańscy zwrócili uwagę na zastanawiający fakt. Z powodu szczupłości ram czasowych Leon XIV ograniczył możliwość zabierania głosu przez uczestników do dwóch grup: nuncjuszy apostolskich oraz urzędujących biskupów. Nie dano wypowiedzieć się natomiast emerytowanym hierarchom i urzędnikom kurii rzymskiej (tych ostatnich papież ma blisko siebie na co dzień, więc w każdej chwili może wysłuchać ich opinii). Jeśli więc przyjęto taki tryb dyskusji, to

REKLAMA

SALTUS
UBEZPIECZENIA

**Dbamy o to,
co się liczy.**

Oferta dostępna w placówkach
Spółdzielczych Kas
oraz Banków Spółdzielczych

**Ubezpieczenie
mieszkań i domów
jednorodzinnych
SALTUS – Mój DOM**

Szeroki zakres ochrony, który możesz
dopasować do swoich potrzeb.



Informacja o charakterze
reklamowym i marketingowym

dlaczego oddano głos kard. Zenowi, który jest przecież emerytem?

OSTRZEŻENIA ŚW. AUGUSTYNA

Zakończony konsystorz należy traktować jak powrót do kolegalności praktykowanej za Jana Pawła II. Było to pierwsze z tego typu zebrań, ponieważ kolejne zaplanowano na czerwiec. Biuro prasowe Watykanu potwierdziło, że Leon XIV zamierza regularnie zwoływać takie zgromadzenia, by zasięgać opinii kardynałów. W przemówieniu otwierającym konsystorz papież dał do zrozumienia, że jest to czas przeznaczony na słuchanie i nie przewiduje się wydania żadnego dokumentu końcowego.

Nazajutrz po konsystorzu Leon XIV wygłosił przemówienie do korpusu dyplomatycznego akredytowanego przy Stolicy Apostolskiej. Doczekało się ono wielu komentarzy w prasie światowej, ponieważ już dawno w Rzymie nie słyszano tak ostrych słów pod adresem współczesnego Zachodu. Omawiając dzisiejszą sytuację międzynarodową, papież jako punkt wyjścia wybrał myśl św. Augustyna, a zwłaszcza jego wizję zawartą w dziele „Państwo Boże”.

Swoją słynny traktat autor zaczął pisać pod wpływem zdobycia Rzymu przez Wizygotów w 410 r. Wielu uważało wówczas, że odpowiedzialność za upadek Wiecznego Miasta ponosi chrześcijaństwo. Augustyn przedstawił własną koncepcję, zgodnie z którą Kościół i państwo nie są sobie przeciwnostawne, ponieważ należą do różnych porządków, ale mogą ze sobą współpracować. Zdaniem papieża wiele ostrzeżeń sformułowanych kilkanaście wieków temu przez biskupa Hippony nadal zachowuje aktualność, np. fałszywe przedstawianie historii, nadmierny nacjonalizm czy zniekształcony ideał przywódcy politycznego.

Leon XIV mówił: „Chociaż kontekst, w którym żyjemy dzisiaj, różni się od tego z V w., niektóre podobieństwa pozostają bardzo istotne. Jak wtedy, tak i teraz znajdujemy się w epoce powszechnych ruchów migracyjnych; jak wtedy, tak i dzisiaj żyjemy w czasach głębokiej reorganizacji równowagi geopolitycznej i paradygmatów kulturowych [...]. Wojna znów stała się »modną« i rozprzestrzenia się zapal do jej prowadzenia. Ustanowiona po II wojnie światowej zasada zabraniająca narodom stosowania siły w celu naruszania granic innych została podważona”.

Krwawym konfliktom miała zapobiec ONZ, jednak zdaniem Leona XIV nie spełnia ona dziś stawianych przed nią zadań. Jak zauważył papież: „Konieczne są zatem wysiłki, zapewniające, by Organizacja Narodów Zjednoczonych nie tylko odzwierciedlała sytuację dzisiejszego świata, a nie jedynie okresu powojennego, lecz także była bardziej skoncentrowana i skuteczna w realizacji polityki skupionej na jedności rodziny ludzkiej, zamiast na ideologiach”.

KRYTYKA ORWELLOWSKIEJ RZECZYWISTOŚCI

Leon XIV skrytykował także współczesny Zachód za hołdowanie ideologiom, sięgając do porównania z Orwellem. Mówił: „Bolesne jest obserwowanie, jak zwłaszcza na Zachodzie przestrzeń dla prawdziwej wolności słowa gwałtownie się kurczy. Jednocześnie rozwija się nowy język w stylu »orwellovskim«, który w dążeniu do coraz większej inkluzywności ostatecznie wyklucza tych, którzy nie podporządkowują się napędzającym go ideologiom. Niestety prowadzi to do innych konsekwencji, które ostatecznie ograniczają fundamentalne prawa człowieka, począwszy od wolności sumienia”.

Papież mówił, że czymś niemoralnym jest odmawianie korzystania z klauzuli sumienia np. lekarzom i pracownikom służby zdrowia, którzy nie chcą uczestniczyć w takich praktykach jak aborcja lub eutanazja. Dodał, że sprzeciw sumienia z ich strony nie jest buntem wobec władz, lecz aktem wierności samemu sobie. Wyraził też zdumienie, że dziś wolność sumienia coraz częściej kwestionują państwa twierdzące, że bazują na demokracji i prawach człowieka.

Leon XIV upomniał się również o zagrożoną wolność religijną, którą – w ślad za Benedyktem XVI – nazwał „pierwszym z praw człowieka”. Przypomniał, że prześladowania chrześcijan dotyczą dziś ok. 380 mln wiernych na całym świecie. W tym kontekście wspominał m.in. Nigerię, Bangladesz, Syrię czy Mozambik, konstatując ze smutkiem, iż „wolność religijna jest w wielu kontekstach traktowana bardziej jako »przywilej« lub ustępstwo niż podstawowe prawo człowieka”. Dodał, że nie powinniśmy zapominać też o „subtelnej formie dyskryminacji religijnej” wobec chrześcijan w Europie i obu Amerykach. Chociaż wyznawcy Chrystusa stanowią

tam większość, ogranicza im się możliwość głoszenia prawd Ewangelii z powodów politycznych lub ideologicznych.

„ZA KOGO MNIE UWAŻAJĄ?”

W swym przemówieniu Leon XIV przypomniał, że małżeństwem jest wyłączny i nierozdzielny związek kobiety i mężczyzny. Zdecydowanie opowiedział się za nienaruszalnością ludzkiego życia od momentu poczęcia do naturalnej śmierci, potępiając proceder aborcji i eutanazji. Skrytykował również praktykę macierzyństwa zastępczego, zauważając, że przekształca ona ciążę w usługę, matkę w instrument, a dziecko w produkt.

Papież stanowczo podkreślił, że „ochrona prawa do życia stanowi nieodzowny fundament wszystkich innych praw człowieka”, natomiast dziś „mamy do czynienia ze swoistym »zwarcieciem« w zakresie praw człowieka. Prawo do wolności wypowiedzi, wolności sumienia, wolności religijnej, a nawet prawo do życia są ograniczane w imię innych tzw. nowych praw, w wyniku czego sama struktura praw człowieka traci swoją żywotność i stwarza przestrzeń dla przemocy i ucisku”.

Odwołując się do wizji św. Augustyna, Leon XIV podkreślił, że „miasto niebieskie” i „miasto ziemskie” będą ze sobą współistnieć aż do końca czasów. Zauważył jednak, że współczesna epoka wydaje się odmawiać miastu Bożemu „prawa obywatelstwa”. Uzurpuje ona prawo do istnienia jedynie dla „miasta ziemskiego”, które chce ograniczyć życie ludzkie jedynie do wymiaru doczesnego, eliminując zeń perspektywę transcendentną. Zdaniem papieża, który znów cytuje św. Augustyna, jest to wyraz pychy, która gubi realizm i prowadzi do wojen.

Włoski magazyn „Panorama” twierdzi, że Robert Prevost dokonał zwrotu ratzingerowskiego. Dlaczego? Ponieważ bardziej przypomina Benedykta XVI niż Franciszka w swym podejściu, które można streścić jednym zdaniem: „Mniej polityki, więcej wiary”. A nawet jeśli mówi o polityce – jak w wystąpieniu przed korpusem dyplomatycznym – robi to w perspektywie teologicznej, zwłaszcza myśli św. Augustyna. W tym kontekście znacząco brzmi tytuł ostatniej biografii papieża opublikowanej przez włoskiego dziennikarza Ignazia Ingrao: „Leon XIV. Za kogo mnie uważają? Jestem synem Augustyna”.

Jedz, pij i wesel się!



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Administracja Donalda Trumpa, który uwielbia jeść burgery z serem na lunch, zaleca dietę bogatą w białko, warzywa i owoce w akompaniamencie dobrego drinka. Białe Dom opublikował właśnie nową piramidę żywieniową, do której mają się stosować Amerykanie

Sekretarz zdrowia i opieki społecznej Stanów Zjednoczonych Robert F. Kennedy jr ma dość ciekawą relację z jedzeniem. Raz powiedział jednemu z dziennikarzy, że „zjadłby praktycznie wszystko” z wyjątkiem ludzi, małp i psów. Innym razem przekonywał na łamach „The New York Times”, że zjadł już tyle kanapek z tuńczykiem, iż zatrul się rtęcią. Obecnie ma obsesję na punkcie smażenia potraw w łoju wołowym i urzęduje w Białym Domu popijawy. Nie alkoholu – surowego, niepasteryzowanego mleka. Kennedy stosuje dietę „mięsożerną” (carnivore diet), w której skład wchodzi także ryby, jaja, tłuste sery oraz „wszystko, co fermentowane, jak jogurty czy kimchi”. Jego żona Cheryl Hines przyznała, że minister zdrowia

jest tak przywiązany do swojej diety, że gdy idą na kolację do restauracji, zabiera ze sobą słoik kiszzonej kapusty. Przez to ona musi wziąć większą torebkę, bo słoik nie mieści się w kopertówce Chanel. Na Święto Dziękczynienia zanurzył surowego indyka w kadzi z łojem wołowym. Kennedy jr uważa dietę wysokobiałkową, zawierającą dużą ilość nasyconych tłuszczów zwierzęcych, za najzdrowszą. Zaordynował ją teraz Amerykanom.

MIĘSO I TŁUSZCZE ZWIERZĘCE

Departament Zdrowia i Opieki Społecznej (DHHS) oraz Departament Rolnictwa (FDA) opublikowały nową piramidę żywieniową. Na jej szczycie znajduje się gruby, soczysty stek

obok pieczonego kurczaka, ogromnej różyczki brokułu i kilku marchewek, a także kawałka sera i czegoś, co wygląda jak pieczeń rzymska. Na niższym poziomie znajdziemy awokado, oliwę z oliwek, masło, fasolkę szparagową w puszcze, łososia i gruszkę. Na samym dole zaś leży bochenek białego chleba, miska płatków śniadaniowych i coś, co ma symbolizować ziarna ryżu. „Jako sekretarz zdrowia i opieki społecznej mam jasne przesłanie: jedzcie prawdziwe jedzenie” – powiedział Kennedy jr podczas briefingu w Białym Domu, ogłaszając zmiany u boku sekretarza rolnictwa Brooke Rollins. Sekretarz nazwał nową piramidę „najważniejszą zmianą federalnej polityki żywieniowej w historii”. Według niego nowe wytyczne „bazują na nauce” oraz

przywracają zdrowy rozsądek w jedzeniu. Amerykanie mają przestać jeść wysoko przetworzoną żywność, jak gotowe dania, fast food, białe, pakowane pieczywo czy płatki śniadaniowe, zawierające do tego sztuczne barwniki (zakazane w Unii Europejskiej), a także ryż i inne „puste” węglowodany. Mają też unikać napojów słodzonych, w tym napojów gazowanych, owocowych i energetycznych. Posilek nie powinien zawierać więcej niż 10 g dodanych cukrów.

Według najnowszego raportu Centrów Kontroli i Zapobiegania Chorobom 55 proc. populacji USA spożywa ponad połowę dziennego zapotrzebowania kalorycznego w postaci żywności wysoko przetworzonej. Nowe wytyczne podkreślają znaczenie owoców i warzyw – szczególnie fermentowanych – dla mikrobiomu jelitowego. Zdaniem Kennedy’ego białko i tłuszcze zwierzęce są równie niezbędne. „Kończymy wojnę z tłuszczami nasyconymi” – zaznaczył. Rekomendowana ilość białka to teraz 1,2–1,6 g, a nie jak dotychczas 0,8 g na kilogram masy ciała.

Nowy schemat bez wątpienia wpłynie na programy rządowe, w tym bony żywnościowe (SNAP), program żywienia w wojsku, szpitalach czy szkołach, bo dla tych instytucji jest obowiązkowy. Od tego roku beneficjenci bonów żywnościowych nie będą już mogli zamienić ich na słodkie, słodkie napoje czy żywność o niskiej wartości odżywczej. U 65 proc. dorosłych w wieku 50–64 lat objętych programem SNAP oraz u jednej czwartej beneficjentów programu poniżej 50. roku życia zdiagnozowano chorobę związaną z dietą.

ALKOHOL TAK, ALE NIE NA ŚNIADANIE

Co ciekawe, w nowych wytycznych nie ma już ograniczeń spożywania alkoholu. Dotąd rekomendowano 1–2 drinki dziennie. Teraz zaleceń brak, zamiast tego Departament Zdrowia apeluje do Amerykanów, by „spożywali mniej alkoholu” i całkowicie powstrzymywali się od picia, „jeśli mają pewne problemy zdrowotne”.

Dr Mehmet C. Oz, dyrektor rządowego Centrum Usług Medicare i Medicaid, powiedział na konferencji prasowej 7 stycznia, że alkohol jest cennym środkiem nawiązywania kontaktów towarzyskich, który pozwala dobrze się bawić. Według niego „najlepszym scenariuszem” byłoby całkowite zrezygnowanie z picia, ale alkohol jest przecież częścią egzystencji. „Można pić alkohol, byle nie na śniadanie, dobrze?” – żartował. „Powinno się go spożywać w niewielkich ilościach i podczas jakiegoś wydarzenia, jakiejś imprezy” – zaznaczył. Mike Marshall, prezes organizacji U.S. Alcohol Policy Alliance, która opowiada się za ograniczeniem spożycia alkoholu do jednego drinka dziennie

Co ciekawe, w nowych wytycznych nie ma już ograniczeń spożywania alkoholu. Dotąd rekomendowano 1–2 drinki dziennie. Teraz – zaleceń brak

dla mężczyzn, wielokrotnie zabiegał o spotkanie z Kennedyem i jego zespołem. Bezskutecznie.

„Jedz, pij i wesel się!” – to przekaz, który zapewne cieszy Amerykanów. Szczególnie tych po prawej stronie. Według zasady: „Zjedz kotleta, popij go whisky i nie przejmuj się tym, co mówią liberalowie”. Przeraza za to ekspertów. Ostrzegają oni, że stosowanie zaleceń dotyczących alkoholu czy tłuszczów nasyconych może mieć negatywne skutki zdrowotne, zwłaszcza w kontekście przewlekłych chorób serca. „Patrząc na przeglądy systemowe opublikowane w zeszłym roku – za 2024 i 2025 r. oraz wcześniej – wszystkie wskazują na jedno: mniejsze spożycie tłuszczów nasyconych zmniejsza ryzyko chorób układu krążenia” – powiedziała Alison Steiber,

dyrektor ds. misji, wpływu i strategii w Akademii Żywienia i Dietetyki, w rozmowie z portalem „The Hill”. „U pacjentów z nadwagą lub otyłością im niższe spożycie tłuszczów nasyconych, tym lepsze wyniki” – dodała.

Inni ostrzegali, że „ekstremalne” diety, jak dieta mięsożerna, są zbyt jednostronne. „Najpierw traci się na wadze i uzyskuje lepszą kontrolę poziomu cukru we krwi, prawdopodobnie dzięki ograniczeniu węglowodanów. Jednak długoterminowe skutki spożycia dużej ilości tłuszczów nasyconych prowadzą do podwyższenia poziomu LDL, czyli złego cholesterolu” – podkreślił Frederick Barclay, prezes i dyrektor generalny Centrum Nauki i Przemysłu.

OGRANICZONY WPŁYW

Inni z kolei wskazywali, że nowa strategia żywieniowa, która wpisuje się w szerszy plan znany jako „Make America Healthy Again” (MAHA), nie jest znowu taka nowa. I tak jak poprzednie strategie będzie miała ograniczony wpływ na dietę Amerykanów, dla których pozostaje opcjonalna. Wszystkie federalne wytyczne żywieniowe od lat 50. XX w. zalecały Amerykanom stosowanie zbilansowanej, umiarkowanej diety składającej się z różnorodnych produktów. To po prostu nie działa.

Obecnie ok. 40 proc. dorosłych cierpi na otyłość, 36,4 mln osób choruje na cukrzycę typu 2, a prawie 100 mln znajduje się w stanie przedcukrzycowym. We Wskaźniku Zdrowego Odżywiania (HEI), który porównuje rzeczywistą amerykańską dietę z zaleceniami (z wynikiem powyżej 80 na 100 oznaczającym zdrowe odżywianie), średni wynik wynosi 57. Przyczyny tego stanu rzeczy są różne – od kulturowo zakorzenionych nawyków żywieniowych po środowisko żywnościowe przepełnione niezdrowymi wyborami. Według nowych wytycznych Amerykanie powinni unikać smażenia na głębokim tłuszczu, na czym bazuje cała kultura jedzenia na Południu USA, nie zapominając o niemalejącej popularności fast foodów.

W 1977 r. senacka komisja ds. żywienia i potrzeb człowieka (powszechnie

znana jako komisja McGoverna) zaleciła Amerykanom spożywanie mniejszej ilości rafinowanego cukru, za to więcej warzyw i owoców. Wtedy jedli ich za mało i teraz, jak pisze magazyn „The New Republic”, jest dokładnie tak samo. Białka jedzą za to wystarczająco dużo. Na dodatek dziennik „New York Post” wyliczył, że stosowanie się do nowych wytycznych Roberta F. Kennedy’ego jr. kosztowałoby przeciętnego Amerykanina 175 dol. tygodniowo na osobę. Według gazety żywienie się wołowiną, awokado, masłem i oliwą z oliwek w chwili kryzysu jest „zwykajnie mało realistyczne”. Zdrowa, świeża żywność jest za oceanem o wiele droższa niż ta wysoko przetworzona. Od zeszłego roku tylko ceny masła wzrosły o 58 proc. Aby uzupełnić zapasy białka, kluczowe są takie opcje, jak stek, mielona wołowina, kurczak i łosoś. Jak donosi „New York Post”, w sklepie Whole Foods stek z antrykotu wołowego kosztuje aż 19,99 dol. za 0,5 kg. W listopadzie, tuż przed sezonem świątecznym, niecałe 2 l pełnotłustego mleka kosztowały 6 dol. – aż o 50 proc. więcej niż w 2024 r.

PRZEMYSŁ SZUKA KORZYŚCI

Jednocześnie krytycy musieli przyznać, że Amerykanie by zyskali, gdyby stosowali się do nowych zaleceń ministra zdrowia. Hope Barkoukis, dietetyczka i kierownik katedry żywienia Uniwersytetu Case Western Reserve, uważa, że „czerwone mięso, zwłaszcza to nisko przetworzone, to wybór dietetyczny, który dostarcza wysokiej jakości białko, witaminy i minerały”. „To zdecydowanie lepszy wybór niż wiele w pełni przetworzonych roślinnych imitacji mięsa” – dodała.

Tymczasem producenci wysoko przetworzonej żywności zastanawiają się, jak zarobić na nowych wytycznych. Stowarzyszenie Marek Konsumpcyjnych (CBA), organizacja reprezentująca firmy, takie jak PepsiCo, General Mills, Land O’Lakes czy Nestle, poinformowała w oświadczeniu dla CNN, że z niecierpliwością oczekuje „pogłębionej” współpracy z administracją

rynek naleśniki, cheeriosy i słodczyce z dodatkiem białka. We wrześniu Starbucks zapowiedział, że doda białko do swojej zimnej pianki.

STARCIE Z GIGANTAMI

Sekretarzowi zdrowia nie chodziło jednak zapewne o to, by Amerykanie dalej jedli te same przetworzone produkty, tyle że wzbogacone o białko, błonnik, witaminy i minerały. Bardziej radykalne zmiany są konieczne, a to może oznaczać poważne starcie z przemysłem spożywczym. „To o wiele bardziej skomplikowane, niż się wydaje. To prawdziwe wyzwanie i każdy spotka się zapewne z oporem ze strony branży” – podkreślił dr Peter Lurie, dyrektor wykonawczy Center for Science in the Public Interest, organizacji non-profit działającej na rzecz bezpieczeństwa żywności. „Firmy będą narzekać” – uważa także Rosalie Lijinsky, była urzędniczka FDA z 33-letnim stażem. Według niej branża jest przyzwyczajona do ograniczonego nadzoru zarówno ze strony demokratów, jak i republikanów – również w czasie pierwszej kadencji Trumpa – pod

czas gdy wiele celów Kennedy’ego zakładałoby jeszcze większe regulacje. Kilka grup przemysłu spożywczego spotkało się z ustawodawcami przed jego nominacją, aby lobbować przeciwko niemu. Otoczenie sekretarza zdrowia twierdzi, że nie boi się on branży. Jeff Hutt, rzecznik komitetu politycznego Make America Healthy Again, utrzymuje, że celem ruchu jest „przedkładanie dobrostanu Ameryki nad zyski korporacji”. „Nawet jeśli pomysł zakazu żywności ultraprzetworzonej nie jest politycznie możliwy do zrealizowania, jest to dyskusja, którą musimy prowadzić” – dodał.

Eat Real Food



Trumpa. Według Pew Research Center ponad połowa Amerykanów uważa, że zdrowie ma znaczenie przy podejmowaniu decyzji o tym, co jeść. Producenci żywności dawno to zrozumieli. W lipcu PepsiCo ogłosiło plany wprowadzenia na rynek produktów wzbogaconych błonnikiem lub białkiem – po tym, jak zmieniające się preferencje konsumentów osłabiły popyt na napoje i przekąski. Firma zmodernizowała również marketing chipsów Lay’s, podkreślając, że produkt jest wytwarzany z „prawdziwych” ziemniaków. We wrześniu koncern Kraft Heinz ogłosił, że usunie ze swoich produktów wszystkie sztuczne barwniki. Firmy wypuszczają na

Nowa czy stara konspiracja?

Kulisy rozwiązywania AK

Rozwiązanie Armii Krajowej w styczniu 1945 r. nie oznaczało końca walki. W cieniu nadciągającej dominacji sowieckiej powstawała głęboko zakonspirowana i w założeniu elitarna organizacja NIE. Jakie decyzje zapadały w dowództwie AK na przełomie 1944 i 1945 r.? Dlaczego po zaledwie kilku miesiącach NIE została rozwiązana?



STANISŁAW PŁUŻAŃSKI

Gen. Leopold Okulicki od kilku miesięcy mieszkał w małym, nieogrzewanym lokalu w Częstochowie. W mroźnej zimowej rzeczywistości jego wyposażenie ograniczało się do stołu, kilku krzeseł, miednicy i wiadra z wodą. Ostatni dowódca Armii Krajowej żył w warunkach graniczących z nędzą. Mimo to usiłował ocalić resztki podziemia pozostałe po klęsce powstania warszawskiego, wyczerpujących walkach z Niemcami oraz oblęgach NKWD na wschód od Wisły.

W takich okolicznościach 19 stycznia 1945 r. zapadła decyzja o rozwiązaniu AK. Nie oznaczała ona jednak końca konspiracji. Walka o niepodległą Polskę wkraczała w nową, pod wieloma względami trudniejszą fazę.

FATUM KOŃCA WOJNY

Prace nad nową, antysowiecką strukturą konspiracyjną rozpoczęły się już pod koniec 1943 r. Było wówczas jasne, że III Rzesza nie wygra wojny, a wschodnie ziemie Polski wkrótce znajdą się pod kontrolą Związku Sowieckiego. Kie-

rownictwo Armii Krajowej z gen. Tadeuszem Komorowskim „Borem” na czele zdawało sobie sprawę, że klęska Niemiec nie przyniesie Polsce upragnionej wolności. Stalin nie zamierzał uznawać ani polskiej niepodległości, ani jej przedwojennych granic.

W odpowiedzi na pogarszającą się sytuację polityczno-militarną narodziła się koncepcja utworzenia nowej organizacji konspiracyjnej o nazwie Niepodległość, w skrócie NIE. Pomysł budowy struktur zdolnych do działania w warunkach ponownej sowieckiej okupacji zaczął się krystalizować podczas przygotowań do akcji „Burza”. Już w listopadzie 1943 r. gen. Komorowski przedstawił naczelnemu wodzowi gen. Kazimierzowi Sosnkowskiemu plan intensyfikacji działań zbrojnych AK oraz wybuchu ogólnokrajowego powstania. Równocześnie informował o tworzeniu w największej tajemnicy „szkieletowej sieci dowodczej drugiej organizacji tajnej na wypadek drugiej okupacji rosyjskiej”. Miała ona funkcjonować niezależnie od AK, która mogła zostać częściowo zdekonspirowana przez czynniki prosowieckie.

BUDOWANIE STRUKTUR

Nieoficjalnie już w drugiej połowie 1943 r. zadanie opracowania koncepcji nowej organizacji powierzono płk. Augustowi Emilowi Fieldorfowi „Nilowi”, ówczesnemu szefowi Kierownictwa Dywersji Komendy Głównej AK (Ke-



Gen. Leopold Okulicki

dywu). Właściwe prace organizacyjne rozpoczęto wiosną 1944 r. Organizacja Niepodległość miała się opierać na zasadach elitaryzmu, decentralizacji i dekoncentracji, co miało jej zapewnić możliwość długofalowego funkcjonowania. W pierwszej fazie priorytetem było zachowanie kadr konspiracyjnych oraz stworzenie załączków struktur: sieci łączności, komórek wywiadowczych, drukarskich i szlaków kurierskich. Gwałtowną rozbudowę organizacji, formowanie oddziałów bojowych oraz sądów kapturowych przewidywano dopiero w drugiej fazie.

W skład sztabu organizacyjnego NIE weszli: płk August Emil Fieldorf

„Nil” – dowódca organizacji, płk Kazimierz Bąbiński „Luboń” – jego zastępca oraz ppłk Ludwik Muzyczka „Benedykt” – szef sztabu. Komenda przystąpiła do budowy sieci komórek terenowych, rozpoczynając kompletowanie kadr na Kresach Wschodnich, gdzie pojawiały się już pierwsze jednostki Armii Czerwonej. To właśnie tam NKWD po zajęciu pierwszych obszarów II RP rozpoczął brutalną likwidację zarówno struktur AK, jak i powstających komórek NIE. Nowa organizacja rodziła się więc w skrajnie trudnych warunkach. Do połowy 1944 r. nie udało się stworzyć jej załóżków w Wilnie i Lublinie, natomiast sukces osiągnięto we Lwowie, Krakowie i Rzeszowie.



Gen. August Emil Fieldorf

W maju 1944 r. do okupowanego kraju w grupie cichociemnych został przerzucony z Londynu gen. Leopold Okulicki „Niedźwiadek”. Po przybyciu do Warszawy gen. Komorowski mianował go swoim zastępcą na stanowisku szefa sztabu KG AK. Okulicki zapoznał się wówczas ze szczegółami działalności Fieldorfa oraz struktur NIE. Najprawdopodobniej jeszcze w tym samym miesiącu „Bór” polecił mu objąć dowództwo nad organizacją Niepodległość.

Pod koniec lipca 1944 r. gen. Komorowski podjął decyzję o rozpoczęciu powstania w Warszawie. Przeciwnie temu rozkazowi opowiedzieli się płk Fieldorf oraz ppłk Muzyczka. „Nil” był przeko-

nany, że zryw zakończy się klęską zarówno militarną, jak i polityczną, a jego skutkiem będzie także zniweczenie planów długofalowego oporu, do którego przygotowywała się organizacja NIE. 27 lipca 1944 r., w przeddzień wybuchu powstania, Komorowski ostatecznie mianował gen. Okulickiego dowódcą NIE, a płk. Fieldorfa – szefem sztabu. Decyzją „Bora” obaj zostali odsunięci od bieżących działań Komendy Głównej AK i mieli pozostać w głębokiej konspiracji w czasie walk w stolicy.

WARSZAWSKA HEKATOMBA

Wybuch powstania warszawskiego w sierpniu 1944 r. wstrząsnął całym podziemiem. Klęska zrywu przyniosła ogromne straty zarówno w ludziach, jak i w kadrze dowódczej oraz zapleczu organizacyjnym AK. Wielu oficerów NIE zginęło w walce lub trafiło do niewoli. Zerwana została łączność konspiracyjna, a kontakt z samym „Nilem” Komenda Główna AK odzyskała dopiero pod koniec walk w Warszawie. Równocześnie na wschodzie Stalin, posługując się marionetkowym Polskim Komitetem Wyzwolenia Narodowego, rozpoczął narzucanie nowego, komunistycznego porządku.

Pod koniec września 1944 r. powstanie chyliło się ku upadkowi. Dowództwo podziemia ustaliło wówczas, że wobec tego, iż gen. Komorowski dostał się do niewoli, funkcję dowódcy AK obejmie gen. Okulicki. Jednocześnie awansowany na stopień generała Fieldorf ponownie został wyznaczony na dowódcę NIE. W praktyce „Niedźwiadek” dążył do sprawowania zwierzchniej kontroli nad obiema strukturami, co udało mu się ostatecznie potwierdzić dopiero pod koniec 1944 r.

Gen. Okulicki opuścił Warszawę wraz z ludnością cywilną i dotarł do Częstochowy. Fieldorf tymczasem zachorował na czerwonkę; dopiero po rekonwalescencji w Podkowie Leśnej pod koniec 1944 r. zdołał odnaleźć Okulickiego. „Nil” niezwłocznie wszedł w skład sztabu AK. Oczekując ofensywy Armii Czerwonej, starał się odbudowywać aparat NIE na zachód od linii frontu. Równocześnie Okulicki podejmował próby ratowania resztek

konspiracyjnych struktur Armii Krajowej, które po klęsce powstania warszawskiego znalazły się w głębokim kryzysie.

OSTATNI ROZKAZ

Na początku 1945 r. ofensywa Armii Czerwonej ostatecznie wyparła Niemców z większości przedwojennych ziem Polski. 19 stycznia 1945 r. gen. Okulicki ogłosił rozwiązanie Armii Krajowej. Analizując położenie kraju, pisał: „Postępująca szybko ofensywa sowiecka doprowadzić może do zajęcia w krótkim czasie całej Polski przez Armię Czerwoną. Nie jest to jednak zwycięstwo naszej słusznej sprawy, o którą walczyliśmy od 1939 r. W rzeczywistości mimo stwarzanych pozorów wolności oznacza to zmianę jednej okupacji na drugą bardziej niebezpieczną, bo przeprowadzoną pod przykrywką Tymczasowego Rządu Lubelskiego, bezwolnego narzędzia w rękach sowieckich. [...] Walki z sowietami nie chcemy prowadzić, ale nigdy nie zgodzimy się na inne życie, jak tylko w całkowicie suwerennym, niepodległym i sprawiedliwie urządzonym społecznym Państwie Polskim”.

W ostatnim jawnym rozkazie gen. Okulicki zwrócił się do podkomendnych słowami: „Żołnierze Armii Krajowej! Daję Wam ostatni rozkaz. Dalszą swą pracę i działalność prowadźcie w duchu odzyskania pełnej niepodległości Państwa i ochrony ludności polskiej przed zagładą. Starajcie się być przewodnikami Narodu i realizatorami niepodległego Państwa Polskiego. W tym działaniu każdy z Was musi być dla siebie dowódcą”.

Tego samego dnia wydano drugi, tajny rozkaz, skierowany do komendantów obszarów, okręgów i podokręgów AK. Gen. Okulicki nakazywał w nim: „W zmienionych warunkach nowej okupacji działalność naszą nastawić musimy na odbudowę niepodległości i ochronę ludności przed zagładą. W tym celu i w tym duchu wykorzystać musimy wszystkie możliwości działania legalnego, starając się opanować wszystkie dziedziny życia Tymczasowego Rządu Lubelskiego [...] AK zostaje rozwiązana. Dowódcy nie ujawniają się. Żołnierzy zwolnić

z przysięgi, wypłacić dwumiesięczne pobory i zamelinować. [...] Zachować małe dobrze zakonspirowane sztaby i całą sieć radio. Utrzymać łączność ze mną i działajcie w porozumieniu z aparatem Delegata Rządu”.

WRÓG TRUDNIEJSZY NIŻ NIEMCY

W tej chwili ciężar dalszej walki konspiracyjnej został przeniesiony na organizację Niepodległość. Jej struktury szybko zaczęły zasilac byli żołnierze AK. Zgodnie z pierwotną koncepcją gen. Fieldorfa liczba zaprzysiężonych członków NIE miała zostać ograniczona do ok. 400 osób w skali całego kraju. Tymczasem już na początku 1945 r. organizacja liczyła od 2 do nawet 7 tys. członków. Przyspieszyło to rozbudowę jej struktur, lecz jednocześnie poważnie osłabiło kadrowy charakter.

Mimo prób utrzymania łączności z Londynem oraz intensywnego gromadzenia informacji o działaniach NKWD i komunistycznego aparatu władzy konspiracja funkcjonowała w coraz trudniejszych warunkach. Walka z nowym okupantem okazała się znacznie bardziej ryzykowna niż wcześniejsza działalność przeciwko Niemcom. NKWD był świadomy istnienia NIE i dążył do jak najszybszej neutralizacji nowego przeciwnika. Dodatkowym problemem pozostawała niejasna sprawa zależności między gen. Fieldorfem a gen. Okulickim, choć wobec nadchodzących wydarzeń kwestia ta szybko straciła na znaczeniu.

7 marca 1945 r. gen. August Emil Fieldorf został aresztowany przez NKWD pod fałszywym nazwiskiem Walenty Gdanicki. Z powodu znalezionych przy nim dolarów wywieziono go do łagru na Uralu. Był to pierwszy poważny cios dla wciąż formującej się organizacji. Pełnię dowodzenia przejął gen. Okulicki, a jego zastępcą został Jan Rzepecki „Prezes”, który – jak sam później przyznał – od początku sceptycznie oceniał sens dalszego istnienia NIE.

Trudna sytuacja w podziemiu zmusiła Okulickiego do faktycznego scalenia

resztek AK z załączkami Niepodległości. Równocześnie rozpoczęto prace nad projektem nowej struktury konspiracyjnej. Wkrótce jednak spadł kolejny, decydujący cios. 27 marca 1945 r. 16 przywódców Polskiego Państwa Podziemnego – w tym gen. Okulicki – zostało podstępnie aresztowanych pod pretekstem rozmów z sowieckim dowództwem. W ciągu zaledwie trzech tygodni NIE utraciła zarówno swojego dowódcę, jak i jego zastępcę.

Zgodnie z pierwotną koncepcją gen. Fieldorfa liczba zaprzysiężonych członków NIE miała zostać ograniczona do ok. 400 osób w skali całego kraju. Tymczasem już na początku 1945 r. organizacja liczyła od 2 do nawet 7 tys. członków. Przyspieszyło to rozbudowę jej struktur, lecz jednocześnie poważnie osłabiło kadrowy charakter

KOLEJNA ZMIANA

Po tych wydarzeniach kierownictwo organizacji przejął Jan Rzepecki. Już 15 kwietnia 1945 r. w depeszy do p.o. naczelnego wodza gen. Władysława Andersa oceniał on, że NIE jest „na obecne warunki tworem nieodpowiednim”. Odmiennie stanowisko prezentował Kazimierz Bąbiński „Luboń”, dawny zastępca gen. Fieldorfa, który przekonywał, że Niepodległość pozostaje jedynym zwartym ośrodkiem oporu przeciwko sowieckiej okupacji, zdolnym do prowadzenia działań politycznych, wywiadowczych, a w razie potrzeby również zbrojnych. Jego argumenty nie znalazły jednak uznania.

7 maja 1945 r. gen. Anders podjął decyzję o rozwiązaniu NIE i jednocześnie

powołał Delegaturę Sił Zbrojnych na Kraj, powierzając jej dowództwo Janowi Rzepeckiemu. Nowa struktura miała kierować „całością akcji oporu przeciw sowietyzacji Polski”. Jej zręby w znacznej mierze oparto na dawnych strukturach Komendy Głównej AK oraz NIE. Rozpoczął się także proces scalania poakowskich struktur terenowych, które na własną rękę podejmowały walkę o niepodległość. Zarówno w DSZ, jak i później w Zrzeszeniu „Wolność i Niezawisłość” zachowano wprowadzony w NIE podział na obszary: Centralny, Zachodni i Południowy.

KONTYNUACJA WALKI

Los dowódców NIE był tragiczny. Po powrocie z sowieckiego łagru w 1947 r. i ujawnieniu się rok później gen. August Emil Fieldorf został aresztowany przez Urząd Bezpieczeństwa. Oskarżono go o rzekome „zbrodnie przeciwko narodowi polskiemu”. W 1952 r. został skazany na karę śmierci i zamordowany 24 lutego 1953 r. w więzieniu mokotowskim. Po tzw. procesie 16 w Moskwie gen. Leopold Okulicki usłyszał wyrok dziesięciu lat pozbawienia wolności. Zmarł 24 grudnia 1946 r. w więzieniu na Łubiance, najprawdopodobniej w wyniku pobicia lub otrucia.

Armia Krajowa pozostawiła po sobie nie tylko mity heroicznej walki, lecz także realne dziedzictwo moralne i polityczne. Jej spadkobierca – Niepodległość – nie zdołała rozwinąć się zgodnie z pierwotnymi założeniami. Mimo to stanowiła pierwszą zorganizowaną próbę oporu wobec nowego okupanta. Jej istnienie umożliwiło płynne przejście części kadr z konspiracji antyniemieckiej do antysowieckiej, a wypracowane struktury i doświadczenia przejęły późniejsze główne nurty poakowskiego podziemia. Tysiące byłych żołnierzy AK zasililo nowe organizacje konspiracyjne lub podejmowało lokalne formy oporu przeciwko narzuconej przez Sowietów władzy. Była to konspiracja nowa w formie, lecz zakorzeniona w tej samej, niezmienniej idei niepodległości.



Bomba w górę

Legendarny tor i hazardowe emocje. Koloryt lat przełomu i wpisana w powrót do przeszłości ponadczasowa historia o marzeniach, pasji i międzyludzkich relacjach. Wszystko to w „Wielkiej Warszawskiej” – filmie domykającym głośną trylogię



JOLANTA GAJDA-ZADWORNA

Wielka Warszawska to jedna z najważniejszych gonitw sezonu, od lat odbywająca się na stołecznym Torze Wyścigów Konnych na Służewcu. Miejsu pełnym emocji i szerokiego spektrum różnych interesów, wielkich szans i takich też przegranych. Przejrzani, w której – przynajmniej wizualnie – zatrzymał się czas.

STOPKLATKA Z PRZESZŁOŚCI

Do tej scenograficznej stopklatki, a także nagromadzonych w niej wielogatunkowych historii, nawiązuje „Wielka Warszawska”. Film, którego inspiracją i podstawą stał się scenariusz z lat 80. ub.w. Jego autor, Jan Purzycki, chciał nim domknąć trylogię z „Wielkim Szu” (i brawurową kreacją Jana Nowickiego) oraz „Piłkarskim pokerem” (gdzie z „układem” mierzył się Janusz Gajos). Nie udało się. Obraz zakulisowych rozgrywek na służewieckim torze był bardzo nie w smak kolejnym politycznym decydom. Scenarzysta przekazał więc swój projekt następcom i teraz – siedem lat po jego śmierci – historia, której akcję przeniesiono z lat 80. do kolejnej dekady, trafia do widzów.

Jak poprzednie, film ma znakomitą obsadę. Stanowiącą wielowymiarowe, barwne dopełnienie głównego wątku, w którym – zgodnie ze współczesnymi trendami – do męskiego dżokejskiego świata oraz jego niejednoznaczного zaplecza dołączają kobiece bohaterki. Odtwórcy głównej roli – po raz kolejny świetnemu Tomaszowi Ziętkowi – towarzyszy debiutująca na dużym ekranie Mary Pawłowska. Z „tych Pawłowskich”. Na drugim planie w hazardzie bohaterki pogrąża się Agnieszka Żulewska.

OSZUKIWALIŚMY UCZCIWIE

Można powiedzieć: to były czasy, jak z filmowego cytatu: „Graliśmy uczciwie: ty



oszukiwałeś, ja oszukiwałem – wygrał lepszy”. „Wielki Szu” (1982) w reżyserii Sylwestra Chęcińskiego fascynował opowieścią o mistrzu blefu i przełożył się na spektakularny kinowy sukces. Mniej jednoznacznie przyjęli widzowie „Piłkarskiego pokera” (1988), w którym Janusz Zaorski odsłaniał kulisy piłkarskiej korupcji. „Wielka Warszawska” przede wszystkim „gra” niezwykłością miejsca, sentymentem do lat niedawno minionych i ponadczasowymi uczuciami.

Reżyser i adaptator scenariusza Bartłomiej Ignaciuk (wraz z Janem Holoubkiem laureat Orła 2023 za najlepszy serial fabularny – „Wielką wodę”) w najnowszym projekcie mógł sięgnąć do własnych doświadczeń. Za sprawą ówczesnej partnerki – dżokejki całkiem nieźle poznał zaplecze toru na Służewcu. – To ogromne szczęście, że ten film do mnie trafił. Bo, po pierwsze, coś wiedziałem o tym świecie, po drugie, to bardzo intrygująca mieszanka obyczaj i sensacji z gangsterskiego półświatka. Jednak ten film traktuje przede wszystkim o relacjach międzyludzkich w trudnym czasie. Mamy tu szeroki wachlarz postaci – mówi.

SKANSEN PRL

Przeniesienie akcji z pierwszej wersji scenariusza w kolejną dekadę – czas przemian ustrojowych – przyniosło znacznie szerszy punkt widzenia. – Tor, który pamiętam, stał się wtedy czymś nowym, bo wcześniej państwowe przedsiębiorstwo ścigało się samo ze sobą. A tu nagle pojawili się prywatni właściciele ze swoimi końmi i poniekąd rozbili tę hermetyczność Służewca – opowiada reżyser. – Stąd też w tej historii Sopot, bo chciałem, aby nasz bo-

hater [grany przez Ziętkę początkujący dżokej, który pragnie wygrać najsłynniejszą gonitwę w Polsce, a jednocześnie podkochuje się w Ewie, też marzącej o zawodowych wyścigach – przyp. red.], był swojego rodzaju outsiderem, człowiekiem z zewnątrz, który dopiero zderza się z tym, co się dzieje na miejscu.

Reżyserowi na pewno pomogło to, że w latach 90. mógł obserwować służewieckie wyścigi i od strony oficjalnej, i od zaplecza. Uważa, że przestrzeń stołecznego toru niemal się nie zmieniła: – Z perspektywy filmowej to było przydatne (nie musieliśmy stosować wielu zabiegów, aby usunąć ślady współczesności, bo czas się tu zatrzymał). Służewiec jest pod wieloma względami skansenem lat PRL – ocenia.

PRZEKRACZANIE GRANIC

Do takiego wehikułu przeszłości mógł trafić filmowy Krzysiek Salomon oraz grający go Tomasz Ziętek, rocznik 1989 – aktor, a także muzyk (jego solowy album „Some Old Songs” ukazał się w 2023 r., nagrał również trzy albumy z grupą The Fruitcakes).

W wywiadzie dla „Zwierciadła” Ziętek mówi, że nie pamięta lat przełomu. Jego najwcześniejsze wspomnienia są już „stricte z wolnorynkowego świata”. Dorastał w Słupsku, gdzie zmiany ustrojowe nie były tak spektakularne jak w Warszawie. Wychowywał się w bloku przy rzece Słupi, a kiedy uganiał się za piłką, nie przychodziło mu do głowy, że kiedyś – choćby tylko na ekranie – stanie się dżokejem.

Aktor jest dumny nie tylko z ogromu treningowego wysiłku, jakiemu poddał,

przygotowując się do roli, lecz także tego, że przez cały czas zdjęciowy ani razu nie spadł z konia. A było to wyzwanie. „Przed filmem nie darzyłem koni zbyt-
nim zaufaniem. Nie mówię tu o strachu, ale na pewno o obawie. Sam z siebie nie zdecydowałbym się na jazdę konną, ale moja praca pomaga mi przekraczać kolejne granice i pokonywać lęki. Tak było i w tym przypadku. Bardzo się więc cieszę, że miałem szansę tego wszystkiego doświadczyć” – zdradza.

WOKÓŁ KONIA

Mówi, że dostał szansę wejścia do świata, o istnieniu którego wcześniej nie miał pojęcia i z którym nie miał żadnej styczności. „Zmieniło się to za sprawą filmu i samego przygotowania. Chodziłem na treningi dżokejskie pod okiem Kamila Grzybowskiego, na Służewiec, na salę, gdzie z innymi uczniami miałem okazję doskonalić umiejętność dosiadu sportowego” – mówił.

Zaskoczyło tryb pracy dżokeja, nierozwalnie związany z trybem dnia koni. „Poranne treningi, poranne karmienie, w centrum tego systemu stoi właśnie koń i jego zegar dobowy. Nigdy wcześniej nie obcowalem z końmi tak długo i na takim poziomie zależności, bo to o zależności trzeba mówić, kiedy wsiada się na grzbiet dużego zwierzęcia” – dodaje. Przy okazji sporo dowiedział się też o sobie.

Bardzo sobie ceni zawodowe spotkania na planie. W tym przypadku z Ireneuszem Czopem, który gra ojca głównego bohatera, Tomaszem Saprykiem (ekranowy trener), a także Andrzejem Konopką, Tomaszem Kotem, Piotrem Trojanem czy Adamem Bobikiem. Każdy z nich wniósł „swoją kolor do tej historii”. Aktora bardzo pozytywnie zaskoczyła debiutująca na dużym ekranie (jeszcze jako studentka warszawskiej Akademii Teatralnej) Mary Pawłowska.

DELIKATNIE WYPRZEDŹ

– Od dziecka byłem „koniarą”. Marzyłam o dwóch rzeczach: chciałam zostać aktorką i mieć swojego konia. Więc ten projekt jest dla mnie... spełnieniem dwóch światów naraz – deklaruje młoda aktorka. Mimo kilkuletniej przerwy od jeźdźstwa, gdy znów dosiadła ko-

nia, „ciało wiedziało, co robić”, wróciły odruchy i nawyki pozwalające złapać dobry kontakt ze zwierzęciem. To jej bardzo pomogło.

Ekranowa Ewa zdradza, że największym wyzwaniem była dla niej scena otwierająca film – galopowanie po plaży o wschodzie słońca. Brzmi malowniczo, ale w praktyce oznaczało pobudkę o 3.30 i zimny, wietrzny poranek. „Konie kaskaderskie, choć pracują na planach i są przyzwyczajone do chaosu, kompletnie nie znają morza. Bały się szumu fal, wiatru. Kaskaderzy musieli je najpierw przygotować, sami przejechać trasę kilka razy, a dopiero potem ja z Tomkiem wsiedliśmy na konie” – opowiada w jednym z wywiadów. „Myślałam tylko o tym, żeby utrzymać się w siodle. A jednocześnie dostawaliśmy konkretne wskazówki: »Trzymaj półtora metra odstepu, potem zwiększ do dwóch, a potem delikatnie wyprzedź Tomka«. To wymagało ogromnej podzielności uwagi i maksymalnego skupienia. Ale było też fascynujące. I byłam z siebie bardzo dumna, kiedy ta scena się udała”.

ZACZĘŁO SIĘ Z POMPA

Jak dużo będzie się działo na planie „Wielkiej Warszawskiej”, zapowiedział już pierwszy dzień zdjęciowy oraz scena kręcona na Torze Służewiec z 300 statystami. „Wielki wyścig, konie, scenografia z lat 90. – zaczęło się z pompą. Poczułam, jakbym przeniosła się w czasie. I to do epoki, której nie znalazłam” – opisuje Mary Pawłowska. Kolejna z rodziny, która zamarzyła o tym, by stanąć na scenie i przed kamerą.

Jej kuzynami są aktorzy Stefan i Józef Pawłowscy (ich babcią była aktorka Teresa Szmigielówna, dziadkiem – olimpijczyk, szablista Jerzy Pawłowski). Mary wspomina, że kiedy powiedziała kuzynom o chęci zdawania do szkoły aktorskiej, ani jej nie zachęcali, ani nie odwozili od tych planów. Zadeklarowali tylko, że jeśli będzie potrzebowała wsparcia, pomogą. Ostatnio wspominali tamtą rozmowę ze Stefanem (w tym tygodniu aktor jest bohaterem cyklu „Moje szlaki”).



Złote Globy i polska zupa

Za nami 83. ceremonia wręczenia Złotych Globów – amerykańskich nagród filmowych i telewizyjnych, uważanych za najcenniejszą zapowiedź oscarowych werdyktów.

W tym roku równie wiele emocji co grono wyróżnionych wzbudzała zarówno kondycja samych nagród, jak i sytuacja kina w ogóle

By obejrzeć relacje z czerwonego dywanu – a potem radość jednych i zawód innych nominowanych – z roku na rok przed ekranami na całym świecie zasiada coraz mniej osób. To niepokojący dla organizatorów i całej branży trend, na który ma też wpływ walka medialnych tytanów.

Oprzeć się wpływom nad Warner Bros Discovery zacięty bój toczą Netflix i Paramount Skydance. Zwycięstwo którejkolwiek ze stron oznacza – w mniejszym lub większym zakresie – odejście od reguł producenckich dawnego Hollywood i wdrożenie zasad, którymi kierują się dzisiejsze platformy streamingowe czy międzynarodowe „konglomeraty medialno-rozrywkowe”.

Zmiana w dawnych strukturach branżowych może poskutkować tym, że za rok czy dwa do walki o najcenniejsze kinowe statuetki nie staną już takie produkcje jak triumfująca w tej edycji „Jedna bitwa po drugiej”. Nominowana w dziewięciu kategoriach, ostatecznie nagrodzona czterema statuetkami. Aż trzy z nich odebrał największy wygrany tegorocznej gali – reżyser Paul Thomas Anderson. Były to nagrody za najlepszy film – komedię lub musical, a także dla najlepszego reżysera oraz scenarzysty. Czwarty Złoty Glob trafił w ręce aktorki Teyany Taylor.

Wśród nominowanych współtwórców sukcesu produkcji „Jedna bitwa po drugiej” był także Leonardo DiCaprio, który w filmie Andersona wcielił się w byłego rewolucjonistę, zmuszonego do ratowania córki z rąk śmiertelnego wroga.

Jednak statuetkę dla najlepszego głównego aktora w komedii lub musicalu przejął rewelacyjny w swojej roli Timothée Chalamet. „Wielki Marty” trafi do naszych kin 30 stycznia, a 20 lutego polską premierę będzie mieć amerykański film „Kopnęłabym cię, gdybym mogła” z nagrodzoną za główną kobiecą rolę w komedii lub musicalu Rose Byrne.

Największym filmowym przegranym tegorocznej edycji Złotych Globów okazała się norwesko-niemiecko-duńsko-francusko-szwedzka „Wartość sentymalna” (w polskich kinach od 27 lutego). Nominowana w ośmiu kategoriach przyniosła statuetkę (dla najlepszego aktora drugoplanowego) tylko Stellanowi Skarsgårdowi. Żadnej nagrody nie zdobył (a miał szansę na pięć) „Frankenstein” Guillermo del Toro. Wśród seriali z zerowym kontem (z sześcioma nominacjami) pozostał „Biały Lotos”.

Oczywiście najwięcej uwagi podczas gali przyciągali triumfatorzy. Dla części komentatorów zaskoczeniem było zwycięstwo (w kategorii najlepszy obraz dramatyczny) brytyjsko-amerykańskiego filmu „Hamnet” (polska premiera 23 stycznia).



Aktorzy i reżyserka filmu „Hamnet”. Ze statuetką Jessie Buckley

Drugą statuetkę dla tej produkcji – za główną rolę kobiecą (żony Williama Szekspira rozpaczającej po śmierci 11-letniego syna, tytułowego Hamneta) – odebrała Jessie Buckley.

Za sprawą tej irlandzkiej aktorki na gali Złotych Globów wybrzmiał – i to całkiem obszernie – polski wątek. „To niesamowite, że opowiadamy historię prawdopodobnie najsłynniejszego Brytyjczyka na świecie, a film zrobiliśmy z chińską reżyserką [Chloé Zhao – przyp. red.], sporą grupą Irlandczyków i głównie polską ekipą” – stwierdziła Buckley, dziękując za nagrodę.

Autorem zdjęć do filmu jest Łukasz Żal, a kostiumów – Małgorzata Turzańska, jednak Polaków na planie było znacznie więcej, a aktorka wyróżniła szczególnie Tomasza Sternickiego, brygadzystę planu i „autora”... wyśmienitego dania. Opowiedziała, że pewnego dnia zauważyła, jak na tyłach swojego wozu kroił on ziemniaki, cebulę i mięso. Potem w przywiezionym z Polski ogromnym garnku gotował zupę, którą częstował innych. Ponoć była przepyszna.

Wśród nieoczywistych – choć już ściśle związanych z filmami – wydarzeń gali było też przyznanie głównej nagrody męskiej w dramacie pierwszemu w historii Globów aktorowi z Brazylii. Wagner Moura zagrał w uznanej za najlepszy film nieanglojęzyczny brazylijsko-francusko-niemiecko-holenderskiej produkcji „Tajny agent” (w polskich kinach 10 kwietnia).

Najmłodszym laureatem w historii nagrody (za rolę drugoplanową w telewizji) został – dziś 16-letni – Owen Cooper. Zagrał on w najbardziej docenionym podczas tej edycji Złotych Globów serialu „Dojrzewanie”. Produkcję nominowano w czterech kategoriach i tyle też zdobyła statuetek.

Jolanta Gajda-Zadworna



**Maciej
Walaszczyk**

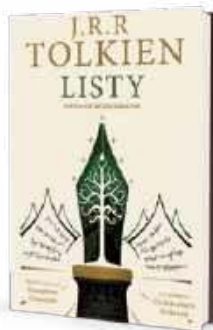
Baśnie dla dorosłych

Ponowne wydanie „Listów” J.R.R. Tolkiena jest znakomitą okazją do ich przypomnienia i zachętą do pilnego nabycia wyboru bogatej korespondencji autora „Władcy pierścieni”. W niej można znaleźć niemal wszystko, co jest potrzebne do odczytania sensu słynnej trylogii (termin umowny, który Tolkien odrzucał) oraz poznania wrażliwości i poglądów pisarza. Zachwyca ich styl, głębia, zwieżłość, pasja i erudycja, z jakimi zostały napisane. Prof. Tolkien miał bowiem nie tylko pióro poety, lecz także duszę poety i filozofa, a jego komentarze są najlepszym przewodnikiem po świecie Śródziemia. Do jego stworzenia skłoniła go wielka miłość do mitów, baśni, heroicznych legend żyjących „na progu baśni i historii”, których – jak twierdził – już wtedy było zdecydowanie za mało.

Ubolewał nad brakiem książek, zwłaszcza łączących mit i baśń w sposób, w jaki chciał. Postanowił zatem stworzyć książki, które sam chciałby przeczytać. Zresztą odpowiedział mu to przyjaźniący się z nim sam C.S. Lewis. Tolkien twierdził bowiem, że baśń jest gatunkiem literackim dla dorosłych, a dokładniej – dla ludzi „dojrzałych umysłowo” i błęd-

nie adresuje się je wyłącznie do dzieci. Baśń ma oczywiście w pierwszym rzędzie bawić, wzruszać, ekscytować, a także na swój sposób odzwierciedlać prawdę, być uniwersalną dla każdego czasu i żyjących w nim ludzi. Nieść prawdę o złożonej kondycji człowieka zdolnego do zła i dobra w sposób, w jaki realistyczna fikcja nie potrafi wyrazić. Jest bowiem czymś więcej niż alegorią i zarazem jedną z najwyższych form literatury. Zdaniem pisarza jej centralny punkt stanowi „eukatastrofa”, a więc szczęśliwe zakończenie w obliczu realnej porażki. To ono z przesywającym radością szczęśliwym zwrotem akcji jest głównym zadaniem baśni. To ono – jak wyjaśniał Tolkien – jest przebłyskiem prawdy, powodującym, że cała natura człowieka, spętana materialnym łańcuchem przyczyn i skutków, „ciężkim łańcuchem śmierci”, nagle odczuwa ulgę.

Ta teologiczna refleksja wynikała oczywiście z głębokiej wiary autora, przekonanego, że to zmartwychwstanie jest najwspanialszą z możliwych „eukatastrof” rodem z najwspanialszej baśni. „Oczywiście nie chcę powiedzieć, że ewangelie są wyłącznie baśnią; mówię jednak bardzo wyraźnie, że opowiadają baśń – i to największą” – pisał w korespondencji do swego syna Christophera w listopadzie 1944 r.



J.R.R. Tolkien, „Listy. Wydanie rozszerzone”, Zysk i S-ka 2025

Fenomen symfonii Góreckiego

Należy zacząć od tego, że słynna III Symfonia – mimo powinowactwa z muzyką współczesną – jest prawdziwym wydawniczym przebojem, sprzedającym się na całym świecie w grubo ponad milionie egzemplarzy. A było to na początku lat 90., gdy jedna z zachodnich wytwórni postanowiła wydać właśnie ten utwór, przysparzając kompozytorowi ze Śląska wielkiej sławy. Nic więc dziwnego, że 15. rocznica śmierci Henryka Mikołaja Góreckiego została uczczona m.in. wykonaniem i nagraniem tej oto jego interpretacji.

Dzielo, w którym obecny jest duch Szymanowskiego, pozostaje naprawdę poruszające, wyjątkowe i stworzone przez jednego z najwybitniejszych twórców, jacy pojawili się w ostatnich dekadach XX w. Nagranie jest nienaganne pod względem zarówno wykonawczym, jak i technicznym, a powstało z inicjatywy dyrektora artystycznego Filharmonii Narodowej Krzysztofa Urbańskiego, który również dyryguje orkiestrą.

„Symfonia pieśni żałosnych” została stworzona w 1976 r. Utwór składa się z trzech osobnych, ale spójnych ze sobą części. Jak napisano w książeczce dołączonej do wydawnictwa, choć mamy tu trzy różne pieśni śpiewane przez trzy różne głosy, które dodatkowo różni czas i miejsce, „łączy jedno – bezkresny, nieprzemijający

ból po utracie ukochanej osoby”. Pierwszą, najdłuższą, jest lament Maryi stojącej pod krzyżem, zbudowany na temacie kanonu, w którym kompozytor wykorzystał fragment pieśni kurpiowskiej ze zbiorów ks. Skierkowskiego. Drugą stanowi słynna pieśń młodej dziewczyny, a dokładnie słowa 18-letniej Heleny Błazusiak wyryte na ścianie więziennej celi nr 3 Pensjonatu Palace – okrytego ponurą sławą komisariatu gestapo, który mieścił się w Hotelu Palace przy ul. Chałubińskiego 7 w Zakopanem. „Mamo, nie płacz, nie. Niebios Przeczysta Królowo, Ty zawsze wspieraj mnie. Zdrowaś Mario” – wyryła młoda Helena, schwytana przez Niemców 25 września 1944 r. w schronisku na Lubaniu. W pieśni trzeciej Górecki zastoso-

wał wariacyjne opracowanie autentycznej melodii ludowej ze Śląska Opolskiego, w której matka poszukuje syna poległego podczas powstań śląskich. Partii solowych nie powierzono – jak dotychczas – jednej solistce, ale trójce różnych śpiewaków. Występują w nich kontratenor Michał Ślawecki oraz sopranistki Edyta Krzemień i Anna Federowicz. Poddajmy się więc – jak chciał Górecki – „głębokim uczuciom, niewypowiedzianym emocjom i wymaganiom moralnym”. To jest przepiękne.

Maciej Walaszczyk



Orkiestra Filharmonii Narodowej, „Górecki 3”, Universal Music Polska 2025



HITY I KITY
ZAREMBY



„Królowa miłości” - traktat o matce

W nowym roku Teatr Telewizji wystartował sztuką „Królowa miłości” Sandry Szwarc. Inaczej niż wiele współczesnych dramatów, ona nie poucza – raczej nie dopowiada pewnych kwestii. Jej drugim atutem są kreacje aktorskie, zwłaszcza Anny Dymnej

Redakcja Teatru Telewizji eksponowała spektakl jako w pełni własny. W ostatnich latach miejsce takich produkcji zaczęły zajmować proste przeniesienia ze scen teatrów, będące więc w istocie dziełem kogoś innego. A tu dostajemy współczesny polski tekst Sandry Szwarc. Młoda reżyserka Monika Czajkowska realizuje go w studiu TVP, biorąc za niego pełną odpowiedzialność artystyczną.

Stara kobieta o imieniu Jadwiga miota się po mieszkaniu – niby zwyczajnym, a jednak wyglądającym niesamowicie (dekoracje niezawodnej

Aleksandry Redy). Zdaje się cierpieć na demencję, realne spotkania z Opiekunką i Sąsiadką mieszają się w jej głowie z halucynacjami. Nękają ją dziwne hałasy, a w pokoju pojawia się tajemnicza dziewczyna, z pewnością nierealna.

Dostajemy więc coś, co zdaje się być traktatem o starości, która pozbawia człowieka kontroli nad własnym życiem. Traktatem ponurym, klaustrofobicznym, na granicy horroru. Miałem skojarzenia z wstrząsającym filmem „Ojciec” Floriana Zellera, w którym Harry Hopkins pogrąża się w nierzeczywistościach choroby. I już nie wiemy, co widzi naprawdę, a co mu się zdaje.

Potem jednak wszystko odwraca się w trochę innym kierunku. Czy Jadwiga naprawdę straciła pamięć, czy to przypadek wyparcia wspomnień związanych przede wszystkim z synem kobiety, który zrobił coś bardzo złego? Wspomniana dziewczyna jest jego ofiarą. Kim z kolei jest Opiekunka? Obcą, źle traktowaną przez Jadwigę kobietą czy kimś, kto ma powód obdarzać ją bezzinteresowaną miłością – tak jak ona kocha nieobecnego syna?

Jest to sugestywne, choć smoliście czarne, dołujące. Mam jedną wątpliwość. Niedopowiedzenia bywają twórcze. Tylko nie jestem pewien, czy pojąłbym do końca tę przymgloną fabułę, gdybym nie przeczytał wcześniej zajątki. To jak lektura libretta w operze.

Po spektaklu Grażyna Torbicka rozmawiała z autorką, z reżyserką i z główną aktorką – Anną Dymną. One posunęły

się dalej jeszcze w przypuszczeniach na temat przeszłości Jadwigi i jej rodziny. Czy jednak Szwarc i Czajkowska nie pozycierały wcześniej w tym dobrze napisanym tekście podstawowych odpowiedzi? Nie każdy czyta zajątki. To jednak tylko wątpliwość, bo duszny klimat przedstawienia zrobił na mnie wrażenie. Może powinniśmy być skazani na domysły?

Bez wątpienia królową tego zdarzenia jest Anna Dymna – wielka aktorka, dawna piękność polskiego teatru i filmu, która w ostatnich latach pozwala się twórcom dowolnie oszpecać (przypomnijmy monstrualną dawną śpiewaczkę z serialu „Wielka woda” Jana Holoubka). Może w kilku miejscach reżyserka poprowadziła jej Jadwigę drogą zbyt naturalistycznych sekwencji, demaskujących nędzę starości. Ale zarazem każdy grymas, każdy zaśpiew aktorki niesie przeraźliwą człowieczą prawdę. Ekshibicjonizm? Może, lecz także droga do niełatwego oczyszczenia. A kreacja nie gorsza niż Hopkinsa.

Partnerkami Dymnej są Dominika Bednarczyk (Opiekunka), Aleksandra Konieczna (Sąsiadka) i Izabella Dudziak (Klara-widmo). Razem tworzą symfonię nastrojów osaczających Jadwigę. A przecież Bednarczyk zagrała w finale heroizm, kryjący się w miłości prowadzącej do poświęcenia. Torbicka delektowała się myślą, że to świat widziany z perspektywy kobiet. Może jest w tym delikatna sugestia, że częściej bywają one ofiarami niż wygranymi. Ale na szczęście nie było w tym grama ideologii.

Piotr Zaremba

Jerzy Antczak - zapatrzony w Chopina

„Serce Chopina, czyli węzeł gordyjski” to tytuł powieści sławnego reżysera Jerzego Antczaka. Wydanej właśnie teraz, kiedy kompozytor stał się tematem głośnego filmu „Chopin, Chopin!”

Nigdy nie rozumiałem, dlaczego twórca „Nocy i dni” wybrał wieczną emigrację w USA. Wyjechał w 1979 r. Już w III Rzeczypospolitej zrobił w Polsce dwa filmy, w tym „Chopin. Pragnienie miłości” z 2002 r., i dwa teatry telewizyjne. Ale nie wrócił. A przecież mógł aspirować do roli króla polskiej kinematografii. Jego żona, Jadwiga Barańska, wielka aktorka, po ich wyjeździe zagrała już tylko w filmie o Chopinie. Zmarła przed ponad rokiem.

W grudniu Jerzy Antczak skończył 96 lat. We wstępie do książki tłumaczy, iż życie Chopina badał od czasów swoich studiów w 1949 r. I że nawet autorzy biografii muzyka nie dostrzegli jego zdaniem kluczowej roli siostry Fryderyka, Ludwiki Jędrzejewiczowej. To ona w 1849 r. towarzyszyła bratu w ostatnich dniach życia w Paryżu, a potem sprowadziła do Polski jego serce i walczyła o to, by umieścić je w warszawskim kościele.

Powieść zaczyna się w momencie wyjazdu Ludwiki wraz z nieświadczącym Fryderykiem mężem Kalasantym do Paryża. Ale potem autor swobodnie porusza się w czasie, raz opowiadając zasadniczą historię, innym razem cofając się do Polski sprzed powstania listopadowego. W efekcie dostajemy opowieść szkatułkową wraz z panoramą postaci. Czasem to ludzie ważni dla Chopina, a czasem figury stanowiące tło: od Maurycego Mochnackiego po wielkiego księcia Konstantego czy rosyjskiego gubernatora Paskiewicza. Jedną z postaci, jakby wypchniętą na drugi plan, jest sam kompozytor.

Chwilami doznajemy przesytu z powodu galopujących wątków. Na dokładkę Antczak pozostaje rozkosznie współczesny, gdy chodzi o język. XIX-wieczni Polacy nie mówili o „empatii” czy „nastolatkach”.

Zarazem w tej chaotycznej gonitwie jest wciągająca fascynacja – i siłą twórczości Chopina, i podsuwającą nieustające wyzwania, często rozczarowania, polskością. Jerzy Kwieciński nakręcił film o muzyku jako międzynarodowym celebrycie. Antczak dba o oddanie jego więzów z narodową wspólnotą.

Od autora dowiedzieliśmy się, że jego student z wydziału filmu kalifornijskiego uniwersytetu marzy o podsunięciu tego tematu hollywoodzkiemu reżyserowi. Nie wiem, czy gdyby taka produkcja powstała, rozpoznalibyśmy historyczny pierwowzór fabuły. Ale przyjemnie pomażyć o takiej promocji.



PRZY MUZYCE O KŁAMSTWIE

Niedawno pisałem tu o Teatrze Scena Współczesna w jego nowej siedzibie. Teraz w tej skromnej instytucji odbyła się nowa premiera. „Cała prawda o kłamstwie” brzmi przewrotnie

Nowa siedziba to salka teatralna w biurowcu niemal na skraju Warszawy, przy Al. Jerozolimskich. I od razu powiedzmy – to autorski teatr dyrektora Włodzimierza Kaczkowskiego. To on pisze scenariusze i sam je reżyseruje z kolejnymi małymi obsadami.

Jedną zmianę widać od razu. Przez lata występowali u niego sami faceci. Tym razem „Całą prawdę...” zmonopolizowały trzy młode aktorki – w bardzo przyzwoitym stylu.

Tak pisałem o naturze spektakli Kaczkowskiego, takich jak „Historia świata w wersji skróconej”, „I ty zostaniesz Chińczykiem” czy „Wieczorze trzech coachów”: „Powstają jako mądra zabawa aktorów z publiką. Składają się ze skeczów, ważną rolę odgrywa przetykająca je muzyka, sprawnie podawana aktorska piosenka. Jednocześnie spaja te widowiska wiązanka myśli. To są opowieści lub może przypowieści o tendencjach i szaleństwach naszej cywilizacji”.

Czy tak jest również tym razem? Temat przewodni, czyli potęgą kłamstwa, wydał mi się bardziej abstrakcyjny niż tamte. Nie obeszło się bez powtarzania kilka razy tych samych konkluzji. Zarazem pojawiły się w nim również inne troski Kaczkowskiego: obawy przed uzależnieniem człowieka od różnych technologii czy szamaństwa zawartego w nadmiernym roztrząsaniu własnego „ja”.

Wbrew plotkom to nie jest apoteoza kłamstwa, choć pojawia się dość oczywista myśl o jego powszechności. Kiedy jednak Żaneta Rus, aktorka grająca aktorkę, opowiada o swojej relacji z pewnym reżyserem, dostajemy nie tylko smaczny pamfletik na środowisko teatralne, lecz także przypowieść o pułapce konformizmu.

Akcja jest tu wąta, to niekończący się strumień pogaduszek. A jednak trudno się uwolnić od wrażenia, że może i leją się za obfite potoki słów, ale jednocześnie dotykamy realnego życia. Więc warto, bo niewiele tego życia znajdujemy w innych teatrach.

Zarazem jest to efektowne widowisko muzyczne. Nuty układał nieoceniony Mateusz Wachowiak, ale pomagała druga z aktorek – Dorota Szczepańska. Z kolei trzecia, Anna Lemieszek, jest przedstawiana jako współautorka tekstu.

Dziewczyny są świetne, umiową w mało fabularnych realiach wykreować skonstruowane postacie i jeszcze podkręcić publiczność interaktywnością. Są zabawne, a także efektownie wyraziste, chwilami nawet oferują małe etiudki psychologiczne. Bo aktorki i aktorów wciąż mamy dobrych. Byleby grali „o czymś”.

DO KUPIENIA NA STRONIE
WSKLEPIKU.PL

Däniken – prorok uwodziciel

Szwajcarski pisarz Erich von Däniken był paleoastronautykiem uwodzącym miliony czytelników opowieściami o starożytnych astronautach, którzy odwiedzali naszą planetę w przeszłości. A ci chętnie przekraczali granicę między ciekawością a pseudowiedzą



MACIEJ WALASZCZYK

W drugiej połowie lat 70. ub.w., w czasach gierkowskiego PRL, na półkach księgarń oraz szkolnych i miejskich bibliotek pojawiła się seria komiksów „Według Ericha von Dänikena”, znana szerzej pod tytułem „Bogowie z kosmosu”. Autorami tej niezwykle popularnej serii byli dwaj Polacy. Jej współscenarzystą został publicysta, propagator idei von Dänikena i badacz zjawisk UFO Arnold Mostowicz, a autorem rysunków – równie oddany wyznawca teorii Szwajcara Bogusław Polch. Wspólnie stworzyli rozchwytywane przez czytelników tytuły, takie jak m.in. „Lądowanie w Andach”, „Bunt olbrzymów”, „Zagłada wielkiej wyspy” i kilka innych, kultowych dziś komiksów. Wszystkie łączyła opowieść o kosmitach i ich przywódcy o imieniu Ais z planety Des, którzy mieli być odpowiedzialni za powstanie gatunku ludzkiego i jego późniejszy rozwój, a ślady ich ingeren-

cji w życie ludzi wciąż mają być obecne wśród nas.

Wszystko zaczęło się od tego, że chwilę wcześniej wydawnictwo Sport i Turystyka oraz kierujący nim wówczas Alfred Górny zawarło z zachodnio-niemieckim wydawnictwem Econ Verlag umowę na wydanie w Polsce jednej z książek Ericha von Dänikena. Był to autor znany już wtedy na Zachodzie, stał się popkulturowym prorokiem teorii o kosmitach nawiedzających Ziemię w czasach prehistorycznych. Jego śmierć w zeszłym tygodniu w wieku 90 lat zamyka pewną epokę w dziejach literatury fantastycznej.

W CISZY HOTELOWEJ NUDY

Wszystko zaczęło się od tego, że w młodości pisarz został wysłany przez rodziców do jezuickiej szkoły św. Michała we Fryburgu. Spędzając czas w internacie, pasjonował się archeologią i futurologią oraz podróżami kosmicznymi. Jednak po opuszczeniu murów szkoły musiał się zająć czymś praktycznym, szkolić się na kucharza i kelnera, po czym podjął pracę w branży hotelarskiej i m.in. jako steward pływał na oceanicznych wycieczkach. W 1964 r. został dyrektorem alpejskiego pięciogwiazdkowego Hotelu Rosenhügel w Davos. To wtedy stworzył



Fot. Sven Teichow/wikipedia

rękopis swojej pierwszej książki „Wspomnienia z przyszłości”. Wysłał go do 20 niemieckich i szwajcarskich wydawnictw, jednak wszystkie odmówiły jego wydania. Pewnego razu jednym z hotelowych gości okazał się Thomas von Randow, ówczesny redaktor naukowy niemieckiego „Die Zeit”. „Wieczorami często rozmawialiśmy o Bogu i świecie przy whisky...” – mówił w jednym z wywiadów. Von Randow ułatwił von Dänikenowi kontakt z szefem wydawnictwa Econ, które wcześniej odrzuciło wysłany na jego adres maszynopis.

Książka ukazała się w 1968 r. i już po trzech tygodniach stała się numerem jeden na każdej liście książkowych bestsellerów. Niestety autor, jednocześnie prowadząc interes hotelowy i sprzedając prawa do publikacji książki, miał w jakiś sposób naruszyć przepisy podatkowe. Został oskarżony o oszustwa i defraudacje i choć kwestie finansowe zostały uregulowane, został skazany na ponad trzy lata więzienia. Za kratami przesiedział 18 miesięcy. W czasie odsiadki powstała więc kolejna, także bestsellerowa książka – „Z powrotem do gwiazd” (1969). I tak od późnych lat 60. von Däniken napisał i wydał na całym świecie ponad 40 tytułów, sprzedając ich podobno w łącznym w nakładzie nawet 75 mln egzemplarzy.

We wszystkich przekonuje, że w starożytności Ziemia była odwiedzana przez gości – przedstawicieli obcych cywilizacji, a dziś powinniśmy się spodziewać ich powrotu. Teorie te są przyjmowane przez publiczność z wypiekami na twarzy i czytane z zapartym tchem. Autor potrafił znakomicie czarować nimi swoich czytelników, zafascynowanych alternatywną quasireligijną i scjentologiczną opowieścią o genezie naszego istnienia. Sam wyjaśniał, skąd się ona wzięła. Już w czasie nauki w jezuickim liceum doświadczył swego rodzaju „oświecenia” – jego źródłem stała lektura zarówno Księgi Ezechiela, w której przeczytał o zstępującym z nieba potężnym, budzącym podziw i lęk pojeździe przypominającym rydwan, oraz Księga Henocha. To jeden z apokryfów Starego Testamentu, który został wyłączony z kanonu Pisma Świętego. W nim to prorok przekazuje relacje na temat istot pozaziemskich, które pod postaciami „aniołów” lub „synów Bożych” zeszyły na Ziemię, spłodziły olbrzymów i nauczyły ludzi zaawansowanych technologii. Metoda była prosta – odczytać biblijny tekst oczami nowoczesnego człowieka.

Dalej poszło już łatwo: według von Dänikena biblijna Arka Przymierza to komunikator łączący Mojżesza ze statkiem kosmicznym, linie geoglifów w peruwiańskim Nazca to pasy startowe dla statków kosmicznych, a piramidy w Gizie czy megalityczne bloki w Stonehenge mogły powstać tylko dzięki technologicznej pomocy istot pozaziemskich. Sam autor stał się więc kimś w rodzaju współczesnego proroka kosmicznych bogów, świetnie na tym zarabiając. Choć do końca przyznawał się do tego, że wychował się w tradycji katolickiej i nigdy nie stał się bezbożny. „Wciąż jestem członkiem Kościoła katolickiego i modłę się codziennie. Gdybym nie mógł się modlić codziennie, nie byłbym szczęśliwy” – wyjaśniał. Był odporny na krytykę, co doradził mu niegdyś jego guru – niemiecki pisarz i pionier opowieści na temat podboju kosmosu Hermann Oberth (będący zarazem mentorem twórcy rakiet balistycznych Wernhera von Brauna), który już w 1928 r. napisał książkę „Rakietą do przestrzeni planetarnej”.

MIT POSTĘPU

Problem z teoriami Szwajcara i głęboka scjentologiczno-magiczna wiara fanów jego literackich osiągnięć stanowi oznakę pewnej choroby nowoczesności. Po pierwsze, została skonstruowana na zasadzie teorii spiskowej, w której tajemna wiedza o kosmicznych praprzodkach jest ukrywana przed ludźmi przez rządy i kościelną hierarchię. Poza tym bazuje na micie postępu, gdzie każde jutro jest lepsze od każdego wczoraj. Gdzie zawsze każdy typ człowieka, każdy ludzki podmiot nieustannie ewoluuje, podlegając ciągłemu doskonaleniu – niczym wciąż unowocześniany projekt samochodu czy samolotu. Podejście to odrzuca antropologiczne doświadczenia, które dowodzą, że ludzkie światy, które wyłoniły się w toku historii, tworzą zbiór równoległych form cywilizacyjnych i kulturowych oraz sposobów poznania i zdobywania wiedzy. Nie istnieje więc jeden „świat” odziedziczony po kosmitach, lecz wiele równoległych światów, bardzo specyficznych i różniących się od siebie, choć zawsze podobnych pod pewnymi względami. W różnych miejscach na ziemi ludzie wynajdywali podobne rozwiązania. Poza tym von Däniken sugeruje np., że wieże gotyckich świątyń wyglądają jak rakiety, dlatego dziś są pamiątką wizyt przedstawicieli „obcych” cywilizacji. Oczywiście ma rację, twierdząc, że istnieje pewne podobieństwo między kształtem wieży gotyckiej katedry a rakietą.

Jednak historiami opowydwanymi przez von Dänikena rządzi zawsze ten sam nowoczesny utylitarny rozum. Występujący w nich żyjący przed nami ludzie w każdych czasach musieli być takimi samymi racjonalistami jak ludzie nowocześni. Dlatego krytycy (a raczej demaskatorzy) poglądów von Dänikena zwracali uwagę, że w takim razie byłoby niemożliwe zbudowanie gotyckich świątyń z irracjonalnymi – z dzisiejszego punktu widzenia – religijnymi dekoracjami i złożonymi formami, uznawanymi przez współczesnych

za całkowicie dysfunkcyjne i beużyteczne. Przeciwnie, cały swój wysiłek – podobnie jak my obecnie – kierowaliby na zapewnienie sobie komfortu, higieny i bezpieczeństwa. To właśnie okazuje się typowo mechanistycznym i całkowicie błędnym podejściem do wyjaśniania wydarzeń historycznych, gdyż historia nie potwierdza naszego racjonalizmu, a wyjaśnianie jej jako logicznego łańcucha przyczyn i skutków jest po prostu bezcelowe. Kultura też nie rodzi się z naśladownictwa, nie przychodzi do człowieka z zewnątrz, ale jest wyrazem jego wewnętrznej JA i manifestacją jego duszy.

Tu przychodzi nam z pomocą Oswald Spengler, zdaniem którego zasadniczą cechą człowieka zachodnio-europejskiego jest faustyczne dążenie do uzyskania dystansu, pragnienie nieskończoności. I to ono wyraża się zarówno w gotyckiej wieży, jak i rakiecie. W pierwszym przypadku jest to wyraz tęsknoty za Bogiem w niebie, w drugim – przenikania nieskończonych przestrzeni wszechświata. Oba są wyrazem tego samego typu człowieka, tej samej duszy, tylko w różnych okresach jego rozwoju – w pierwszym przypadku na początku kultury, w epoce mitów i prawdziwej religii, a w drugiej – u jej schyłku, w okresie cywilizacji charakteryzującym się racjonalizmem, nauką i technologią.

Z tej perspektywy von Däniken jawi się nam oczywiście jako klasyczny pseudonaukowiec, celowo ignorujący doświadczenia antropologii, a jednocześnie uwodzący opowiadacz, rozpalaający wyobraźnię historiami o starożytnych astronautach, którzy mieli pozostawić ślady w kulturze prekolumbijskiej Ameryki czy starożytnego Egiptu. Badacz literatury fantastycznej (i nie tylko oni) nie mają jednak wątpliwości, że po mistrzowsku potrafił łączyć archeologię, historię i spekulację, tworząc opowieść, która skutecznie pobudzała ciekawość i wyobraźnię szerokiej publiczności. Ta jednak często traktowała je jak popularnonaukowe książki na temat historii czy archeologii.



O co biega z rozmarynem



Odwiedzane miejsca można zapamiętywać w różny sposób. Niektóre nowo poznawane przestrzenie łączą się w moich wspomnieniach z zapachami, czasem też smakami. Np. pierwsze skojarzenie z Kretą to rozmaryn. Kiedyś mieszkałem na tej największej greckiej wyspie w małym hoteliku, przy balkonie którego rosły gigantyczne rozmaryny. Zapamiętałem ich zapach. I smak, bo dodawali to ziolo niemal do każdej potrawy w lokalnej tawernie.

Z kolei Sycylia – na której byłem nie tak dawno – łączy się w moich wspomnieniach z zapachem i smakiem dojrzałych pomidorów. Nigdzie indziej – ani wcześniej, ani później – nie jadłem takich pomidorów.

Jeśli mówimy o wędrowaniu, to przychodzi mi na myśl nie tylko Włochy. Jestem ogromnym miłośnikiem gór. Teraz mocno eksploruję Beskid Niski. Można powiedzieć, że dziś jest to moje miejsce na Ziemi. Ponieważ jeżdżę konno, mam tam również za-

przyjaźnioną stadninę (koni huculskich Chutir). Kiedy tylko pojawię się w tamtym rejonie, umawiamy się na jazdy terenowe – gdzie dusza zapagnie i dokąd oczy poniosą. A naprawdę jest w czym wybierać, czy to podążając w kierunku wschodzącego słońca, czy w stronę zachodu, na granicę polsko-słowacką albo bardziej na północ. Jest to trochę inny teren niż Bieszczady.

Nie jestem specjalnym smakoszem czy wytrawnym kucharzem, ale z tamtymi okolicami kojarzy mi się parę potraw, np. fuczki, lemkowski placki z kapusty kiszzonej.

Moja przyjaciółka prowadzi w miejscowości Jaśliśka Bar Czeremcha (nazwa pochodzi od lemkowej wsi, która była niedaleko, ale został tam tylko kamień spod dawnej cerkwi). Promuje w nim i kultywuje lokalne smaki. To miejsce popularne nie tylko w regionie. Warto do niego zajrzeć. Mnie – zapachowo i smakowo – kojarzy się ono z daniami z kminkiem, kluczową przyprawą kuchni lemkowej [dobry i do

potraw z kapusty, np. zupy wariarki, i do serów, np. zgliwiego, smażonego właśnie z kminkiem – przyp. red].

Wracając do podróżowania – kiedyś na krótko wybrałem się do Stanów Zjednoczonych, ale to zupełnie inny rodzaj miejsca. Natomiast jako fantastyczne, naprawdę warte doświadczenia wspominam uroki miejscowości Rørdal i okolic. Pojechałem do Norwegii na majówkę, a miałem okazję pojeździć na snowboardzie. Jeszcze był śnieg. Wokół malownicze fiordy i skały, a jak okiem sięgnąć – biało. Pojawiło się skojarzenie z „Grą o tron” i tym północnym światem. Wtedy (zwłaszcza po wielu ciepłych polskich zimach) taka przestrzeń wydawała się mocno egzotyczna.

Na co dzień jestem związany z Warszawą. Tych, którzy trafią do stolicy, serdecznie zapraszam do Teatru Capitol. Gram tu w trzech naprawdę fajnych sztukach: „O co biega?”, „Prezent urodzinowy” i „Przyjazne dusze”.

Notowała **Jolanta Gajda-Zadworna**



SŁODKO-SŁONY

Chleb świętojański

ANNA MONICKA

Wszyscy w rodzinie wiedzą, że lubię kulinarne ciekawostki z całego świata, więc jeśli ktoś wybiera się na wycieczkę lub wakacje, zawsze dostają mniej lub bardziej egzotyczne jadalne upominki. Zwykle są to paczuszki z ziołowymi przyprawami albo herbatki z roślin, które u nas nie wyrosną, bo jest im za zimno, czasem trafi się jakaś niezwykła nalewka, likier, wino, czekolada, kakao. Mam wspaniale pachnące różne pieprze, papryki, mieszanki curry, dzikie oregano, wonne szałwie, gojnik, słoik sumaka, kilkanaście różnych regionalnych soli (najbardziej lubię ręcznie zbieraną sycylijską, która „robi” całą robotę, albo wędzoną w złocistych płatkach, nadającą potrawom wspaniałą głębię).

Ostatnio siostrę poniosło w inne rejony Europy i z Cypru przywiozła mi mączkę oraz syrop karobowy od lokalnego wytwórcy tego „czarnego złota”. Przyjęłam je z wdzięcznością, bo dawno już odstawiłam cukier, a lubię od czasu do czasu dosłodzić sobie korzenną herbatę albo mleczne napoje, zwłaszcza gorące kakao, które można z powodzeniem zastąpić mączką z chleba świętojańskiego (czyli strączków drzewa karobowego). Smak nie jest wprawdzie identyczny, ale również czekoladowy, z lekką nutką karmelu.

Karob jest bardzo bogaty w błonnik, wapń, potas, magnez, nie zawiera za to ani pobudzającej kofeiny, ani glutenu. Mimo swojej słodczy reguluje poziom cukru we krwi. Przypomina mi nieco syrop daktylowy – ma aksamitny, lekko dymny posmak i jest idealnym dodatkiem do jogurtów, ciast, porannych owsianek, zapiekanych owoców, naleśników, gofrów, a także serów pleśniowych – zarówno tych zapiekanych, jak i podawanych jako zimne przekąski. Jeśli chcesz upiec bezglutenowe i bezcukrowe brownie – jest wyborem idealnym, bo nie tylko nadaje słodki, czekoladowy smak, lecz także kremową konsystencję.

Na razie piję karobowe kakao przed snem i zasypiam po nim jak dziecko. Nie podnosi ciśnienia, reguluje przemianę materii, nie ma w nim żadnych ukrytych dodatków. Biorę 2–3 łyżki proszku na kubek mleka krowiego lub roślinnego i ubijam trzepaczką do pianki (taką na baterie). Czasem dodaję szczyptę cynamonu, czasem odrobinę kardamonu, zawsze – kropelkę lub dwie gęstego syropu karobowego. 

Fot. Shutterstock

WILCZYM OKIEM

Śpiące kormorany



PRZEMYSŁAW BARSZCZ

W wyglądzie i zachowaniu kormorana czarnego (*Phalacrocorax carbo*) jest coś z mezozoicznych ptaków wodnych. Najbardziej przypomina żyjącego kilkadziesiąt milionów lat temu hesperornisa. Długa szyja kormorana jest zwieńczona stosunkowo niedużą głową uzbrojoną w sztyletowaty, piłkowany na krawędziach, haczykowato zakończony dziób – bardzo sprawne narzędzie rybackie. Oczy ma wylupiałe, z jasnymi obwódkami, barwy jasnego szmaragdu, kontrastujące z czarnymi jak węgiel piórami, od których pochodzi słowo carbo w nazwie.

Płetwiaste łapy są przesunięte ku tyłowi ciała. Podczas pływania tułów zanurza się niemal całkowicie pod powierzchnię wody. Unikalne jak na ptaka wodnego są jego namakające pióra. Po nurkowaniu, zanim wzbiją się do lotu, kormorany przysiadają na kamieniach lub wystających z wody konarach i suszą się, na wpół rozkładając skrzydła, co dodaje im wspomnianego prehistorycznego wyglądu.

Kormoran czarny, niegdyś uważany za konkurenta w gospodarce rybackiej, był znacznie rzadszy i występował w nieco większej liczbie tylko na pojezierzach, głównie na Mazurach. Z pewnością ptak polujący na ryby może wpływać na ich populację, ale czy stanowi poważną konkurencję, którą trzeba zwalczać? Moim zdaniem jest nawet potrzebnym elementem prawidłowo funkcjonującego ekosystemu. Oczywiście jeżeli w pobliżu dużej kolonii kormoranów wpuści się do wody masę narybku, zapewne jego część – może nawet spora – zostanie zjedzona przez ptaki. Dlatego mówię o ekosystemie funkcjonującym prawidłowo, w którym młode ryby mogą korzystać z odpowiednich schronień, a rybostan bazuje nie na zarybieniach, lecz na naturalnym tarle różnych gatunków, mającym miejsce o różnych porach roku i w różnych partiach jeziora lub rzeki itp.

W takich warunkach kormorany są jednymi z drapieżników, które nie dopuszczają do przegęszczenia ryb. Ich zbyt duża liczebność nie jest dobra: w jeziorach pozbawionych drapieżników spokojnego żeru jest wprawdzie dużo, ale ryby karłowacieją, a do tego rozpowszechniają się choroby i pasożyty.

Na szczęście obecnie populacja kormoranów odbudowała się i ptaki te można spotkać w różnych miejscach, czasem niespodziewanych: parę dni temu natknąłem się na kilkadziesiąt sztuk śpiących w koronach drzew nad małą, wolną od lodu rzeczką, na którą przeniosły się w związku z zamarznięciem pobliskiego odcinka Wisły. 

3 MIŁOŚCI

Boanerges, Synowie Gromu

O ludzkiej sile przetrwania stanowi poczucie sensu. Mówi nam to Warłam Szalamow, rosyjski poeta i pisarz, więzień rosyjskich łagrów, mówi Viktor Frankl, psychiatra z Wiednia, więzień niemieckich łagrów.

Auschwitz, Dachau i Theresienstadt, Gulag: Magadan i Kołyma – to kuźnie ich wiedzy o ludzkiej naturze. I jeszcze o czymś tajemniczym, większym od człowieka.

W czasie II wojny światowej Frankl stracił rodziców, brata i ukochaną żonę. Został sam, otoczony śmiercią, głodem i cierpieniem, a mimo to nie utracił najważniejszego: wiary w to, że życie ma sens.

I Frankl, i Szalamow obserwowali ludzi w sytuacjach granicznych. Jedni poddawali się rozpacz i w efekcie ginęli lub umierali, inni trwali, czerpiąc siłę z myśli o kimś, kogo kochali, lub o celu, który czekał poza obozem. Szalamow napisał – co dla nas ciekawe – że na 40-stopniowym mrozie podczas pracy ponad ludzkie siły najlepiej radzili sobie niektórzy Polacy, katolicy ze szlacheckich lub inteligenckich domów. Niby paniczyki.

I Frankl, i Szalamow w morderczym uścisku funkcjonariuszy Syndykatu odkryli, że poczucie sensu stanowi o ludzkiej sile przetrwania.

Po wojnie Frankl wrócił do Wiednia i z popiołów tragedii stworzył logoterapię, kierunek psychoterapii bazujący na przekonaniu, że podstawową potrzebą człowieka jest odnalezienie znaczenia swojego życia. W książce „Człowiek w poszukiwaniu sensu” opisał, jak nawet w miejscach stworzonych po to, by odebrać ludziom godność i nadzieję, można zachować wewnętrzną wolność. Szalamow w swoich „Opowiadaniach kołymskich” opisywał zwycięzców takich zmagani. Ludzi swą wewnętrzną siłą narzucających porządek w świecie,

w którym miała rządzić jedynie przemoc. Są tylko dwa sztandary. Woli mocy i łaski.

Frankl pokazywał, że człowieka można pozbawić wszystkiego – oprócz jednego: zdolności, by nadać sens temu, co przeżywa. Ale czy rzeczywiście ten sens jest wytwarzany przez człowieka? Szalamow zdaje się mówić: „Sensu nie da się skonstruować, człowiek nie tyle nadaje sens wydarzeniom, ile może ich sens odkryć”. I tu po raz kolejny wracamy do bezczelnego stwierdzenia Jana

*O sile przetrwania
narodów oprócz morale
stanowi również zdolność
do odkrywania poczucia
sensu, do budowania
opowieści na swój
temat. Do opowiadania
opartych na faktach
opowieści z morałem.
Zdolność do odkrycia
sensu własnej historii*

Pawła II: „Człowieka nie da się zrozumieć bez Chrystusa”.

Bo doświadczenie łagrów i łagrów mówi nam nie tylko o ludzkiej naturze. Mówi o doświadczaniu łaski nawet w najtrudniejszych okolicznościach. Czy w obozach pracy przymusowej na jakuckiej Przekłętej Wyspie nie było Boga? Czy Chrystus zląkł się konfrontacji z rzeczywistością niemieckich obozów koncentracyjnych? Czy poezja / religia są niemożliwe po Oświę-



ROBERT TEKIELI

cimiu? Sądzę, że rozpacz Różewicza czy Sartre'a stanowią konsekwencje ich ludzkiego jedynie przeżywania śmiertelności traumy. Łaska buduje na naturze również w warunkach skrajnych. W granicznych sytuacjach często rodzi się heroizm, poświęcenie, wielkie wyzwania uwalniają w człowieku to, co najlepsze. Albo co najgorsze. Bo z zastrzykiem z fenolu we franciszkańskie serce rymuje się zastrzyk z chlorku potasu w serce nienarodzone.

Więc na koniec dnia co mówi nam Maksymilian Kolbe? Sensu nie da się skonstruować, nie sposób aktem ludzkiej woli nadać sensu światu ostatecznej przemocy, gwałtu. Nie da się wymyślić sensu. Można go jednak odkryć. Co więcej: św. Maksymilian, naśladowca Chrystusa, ze śmierci wyprowadził życie. Zwycięzył swych prześladowców. Do końca świata będzie przykładem miłości Boga i bliźniego.

Budujące jest to, że mordująca dzieci pod sercem matki, naginająca prawo aborterka spotkała się w Polsce ze społecznym i środowiskowym potępieniem.

O sile moralnej, o morale narodu stanowi suma naszych grzechów. Tyle że staranie się o życie zgodne z przykazaniami to za mało. Ale o tym za chwilę.

Jaką misję ma Polska? Jaki procent patriotów wystarczy, by ją uratować? Ilu ludzi wykorzenionych z polskości może unieść nasza państwowa ława?

O sile przetrwania narodów oprócz morale stanowi również zdolność do odkrywania poczucia sensu, do budowania opowieści na swój temat. Do opowiadania opartych na faktach opowieści z morałem. Zdolność do odkrycia sensu własnej historii.

Odrębność, tożsamość, wiara, nadzieja, sens – zadaniem wykształconej warstwy wierzących oraz wszystkich, których życie całkowicie przemieniło spotkanie żywego, pełnego mocy i miłości Jezusa Chrystusa, jest szerzenie królestwa Bożego. Tu i teraz.

Celem polskiej elity jest przedstawienie narodowi programu budowy cywilizacji miłości, wolności i dobrobytu. Celem naszego działania jest tworzenie kulturowych warunków do szerzenia królestwa Bożego.

Na jakiej planszy rozgrywają się te eschatologiczne szachy? W 1945 r. liberalny świat w sojuszu z komunizmem pokonał nazizm, dwa pokolenia później liberalizm wygrał zimną wojnę i pokonał komunizm. Cywilizacja wolnorynkowa pokonała cywilizację wroga wolnemu rynkowi. Zatriumfował porządek łączący wolność i dobrobyt.

Po latach zwycięski ład obrósł pychą. Rozleniwiony Zachód wpadł w ręce kulturowego marksizmu, dojrzewającego po uniwersyteckich kampusach od rewolty 1968 r. Po zwycięstwie nad komunizmem klasyczny liberalizm stopił się w jedną ideową całość z progresywną ideową utopią.

Jaki proces do tego doprowadził?

Revolucja kulturalna, której krach nastąpił w Chinach w 1976 r., na Zachodzie zaczęła się wtedy rozpędzać. Przełomowe były decyzje z 1973 r. w sprawie legalizacji aborcji w USA i arbitralnego pozbawienia homoseksualizmu statusu choroby. Wykuto wtedy dwa tarany, którymi rozbito liberalny ład od wewnątrz. Jednobiegunowy moment lat 90. to zielone światło dla umiędzynarodowienia

rewolucyjnego marszu przez instytucje. Za pomocą ONZ, WHO oraz tysięcy progresywnych organizacji „pozarządowych” liberalno-marksistowska utopia rozlała się na cały świat.

W dodatku liberalna cywilizacja – owo połączenie wolności i dobrobytu – już wtedy podupadała gospodarczo, tak by pomiędzy 2001 a 2008 r. zacząć oddawać pole Chinom, które stworzyły własny system: centralnie sterowany kapitalizm.

Dziś Chiny proponują światu dobrobyt bez wolności. Lewicowy establishment Starej Europy oraz wybrzeży USA dokładnie to samo. Maoizm wiecznie żywy! Wielka Brytania wyprzedziła właśnie Białoruś pod względem liczby więźniów sumienia.

Siła uniwersalistycznej ideologii, jaką był marksizm, okazała się wystarczająca, by w XX w. uwieść warstwę intelektualną Zachodu. Zdrada klerków trwa. Liberalizm – wolniej niż marksizm, ale z podobną determinacją – doprowadził do konsekwencji swe założenia. Patrzymy dziś na bez-duszy świat samotności i cierpienia. Bezsiły, bez-sensu.

Odrzucenie przez dominujący na Zachodzie nowożytny intelektualizm intuicji o istnieniu świata niewidzialnego, podzielanej przez praktycznie wszystkie kultury w historii gatunku ludzkiego, jest formą zbiorowego szaleństwa. Świat bowiem JEST zaczarowany. Duchowa strona świata istnieje obiektywnie. Największą cenę oświeceniowego „odczarowania” świata płać ludzie, których przekonano, że ten „inny świat” nie istnieje. Cierpią rozpacz w samotności.

Tak wielu ludzi Zachodu od dzieciństwa wtrącanych w obiektywną rzeczywistość grzechu, pogrążonych w grzechu przez dekady, nosi jego piętno w swych

duszech. Wychowywani w moralnej ślepotie będącej skutkiem błędnej antropologii cywilizacji odrzucającej mądrość Objawienia.

Dziś ludzi Zachodu nie obchodzi zbawienie duszy. Ba, nie obchodzi ono większości katolików. Może i 90 proc. Polaków. Nieszczęśliwi przez wieczność? Współczesnemu człowiekowi to się nie mieści w głowie. Współczesna kultura anihilowała w ludziach Zachodu potrzebę zbawienia. Pozbawiła konsumentów popkultury języka zdolnego do prawdziwego opisu rzeczywistości, okaleczyła ich kognitywnie. „O, jak są nędzni i nierozumni ci, którzy swoje serce przysięgają do ziemi” – woła św. Filip Neri. „O, jak nierozumni, bo nawet w tym życiu szczęścia nie znajdują” – dodaje św. Alfons Liguori. Przyjemność to nie szczęście. Nakręcenie to nie radość.

Czytam „Rozmowy o Biblii. Nowy Testament” prof. Anny Świderkówny. Pokazuje ona Jezusa prowokującego, gwałtownego, okazującego emocje. My też mamy tacy być. Takich chrześcijan potrzebuje świat, potrzebując ci, którzy źle się mają. Gwałtownych, pełnych pasji, niosących w sobie rozpalony ogień.

Na profilu Maksymalni przeczytałem: „My idziemy za Jezusem, który jest PASJĄ w stanie czystym. On przyszedł, narodził się, żeby przeżyć »swoją godzinę« i przeżywając ją, dać świadectwo prawdzie. Godzina Jezusa to Jego pasja! Słowo »męka« w języku łacińskim brzmi *passio*. *Passio*, czyli PASJA. Jezus nie jest stoikiem, który dąży do wygaszenia uczuć. NIE! Jezus jest pełen pasji. On JEST PASJĄ! Jest miłością, jest zakochaniem, jest zapominaniem o sobie z miłości do ciebie. A ty jesteś PASJĄ Jezusa, który za ciebie oddał życie i tak bardzo chce cię przepelnić swoim cudownym szaleństwem miłości. Chce tobie udzielić ze swojej pasji. Bo królestwo niebieskie zdobywają tylko ludzie gwałtowni, którzy swoją pasją pociągają innych i przemieniają ten świat”. Więc co podniesiesz? Szmatę Syndykatu czy chorągiew Chrystusa?

Oto odkryta tajemnica: to Chrystus jest źródłem sensu i dawcą wolności. Kochany bracie, ukochana siostrzo, jeśli tylko zapragniesz, Jezus cię oczaruje. Oczaruje cię najpiękniejsza kobieta na świecie.



WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Hiena roku 2025

Antynagroda Hiena, którą co roku przyznaje Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich, zawsze budziła zrozumiałe zainteresowanie. Ale proszę nie myśleć, że jej „laureaci” byli nią jakoś oburzeni czy przejęci. W zasadzie wszyscy nic sobie z tego nie robili.

Decyzją ZG SDP tegoroczną Hienę otrzymał Wojciech Czuchnowski z „Gazety Wyborczej”. Chodzi o szeroko reklamowany przez „GW” tekst, który ukazał się 15 grudnia 2025 r., noszący tytuł: „Leki szefa BBN. Wiemy, co w ankiecie bezpieczeństwa zataił Sławomir Cenckiewicz”. Wojciech Czuchnowski, powołując się na jakiegoś anonimowego informatora, który dotarł do ankiety bezpieczeństwa, jaką wypełnił szef Biura Bezpieczeństwa Narodowego prof. Sławomir Cenckiewicz, ujawnił właściwości leków przyjmowanych przez profesora. Ponoć szef BBN miał to zataić przed służbami specjalnymi, przez co stracił dostęp do informacji niejawnych. Wojciech Czuchnowski nie wymienił *in extenso* nazw leków, ale podał ich szczegółowe właściwości działania na ośrodkowy układ nerwowy, co ma pewnie dowodzić istnienia poważnych chorób psychicznych, na jakie cierpi Sławomir Cenckiewicz.

W kręgu naszej cywilizacji i kultury europejskiej wszelkie informacje o stanie zdrowia, przebiegach chorób, zabiegach, operacjach, przyjmowanych lekach itd. są objęte bezwzględną tajemnicą lekarską. Są chronione przez normy prawne i oczywiście etyczne, w tym Kodeks Etyczny Dziennikarzy SDP. No, ale Czuchnowski nie należy do SDP – działa w swoim stowarzyszeniu założonym przez środowisko „Wyborczej”.

Cieszy natychmiastowa, mocna reakcja Naczelnej Izby Lekarskiej po tekście „Gazety Wyborczej”. Cytuję: „Informacje o przyjmowanych przez pacjenta lekach są informacjami szczególnie wrażliwymi, a ich upublicznienie nigdy nie powinno mieć miejsca”. NIL domaga się od organów państwa wszczęcia postępowania wyjaśniającego w sprawie wycieku danych. Zwraca się też do mediów, prosząc o „szczególną ostrożność w przekazywaniu tego typu treści, gdyż mogą one naruszyć fundamentalne prawa pacjenta, doprowadzić do spadku zaufania pacjentów do całego procesu leczenia i bezpieczeństwa ich danych medycznych, a także stygmatyzacji osób chorych”.

Równie szybko zareagował Rzecznik Praw Obywatelskich prof. Marcin Wiącek. Zwrócił się do szefa Służby Kontrwywiadu Wojskowego gen. Jarosława Stróżyka o wyjaśnienie tej skandalicznej sprawy. Pilne wszczęcie śledztwa zlecił też szef Służby Kontrwy-

wiadu Wojskowego, o czym opinię publiczną poinformował rzecznik koordynatora służb specjalnych Jacek Dobrzyński.

Po opublikowaniu danych medycznych prof. Sławomira Cenckiewicza śledztwo wszczęła prokuratura i miejmy nadzieję, że autor artykułu usłyszy zarzuty prokuratorskie, sprawa szybko znajdzie się na wokandzie, a Wojciech Czuchnowski zostanie przykładowie ukarany. Tego oczekuje nie tylko osoba pokrzywdzona, lecz także liczni posłowie Prawa i Sprawiedliwości oraz zwykli obywatele, którzy również złożyli zawiadomienia o możliwości popełnienia przestępstwa przez Wojciecha Czuchnowskiego. Na sprawiedliwy wyrok oczekuje w końcu zszokowana opinia publiczna. Oto mamy jeszcze jeden dowód na to, w jakim państwie bezprawia żyjemy.

Wojciech Czuchnowski, wyjaśniając swoje nieetyczne postępowanie, tłumaczył:

„To nie Gazeta Wyborcza wywołała publiczną dyskusję o leczeniu psychiatrycznym Sławomira Cenckiewicza i o tym, jakie brał leki”. Tym samym potwierdził, że celem jego podłego artykułu było utwierdzenie szerokiej opinii publicznej w przekonaniu, że Sławomir Cenckiewicz, urzędujący szef BBN w Kancelarii Prezydenta RP, cierpi na chorobę psychiatryczną, a więc jest niewłaściwą osobą na tym stanowisku, *ergo* – stanowiącą nawet zagrożenie dla bezpieczeństwa Polski.

Po publikacji wspomnianego artykułu Wojciech Czuchnowski przybrał szaty ofiary zmasowanego hejtu i zawiadomił o swych krzywdach policję, gdyż, jak stwierdził, „problemy psychiczne i zażywanie leków nie powinny być niczym wstydlivym”. A więc nie dotarło do niego, że ujawnił bardzo wrażliwe, intymne informacje, które nie musiały być zgodne z prawdą, i zrobił to wbrew prawu oraz etyce dziennikarskiej.

Wojciech Czuchnowski wraz z „Gazetą Wyborczą” od lat uczestniczą w walce politycznej ze środowiskami patriotycznymi w Polsce. A te środowiska, jak pisze Czuchnowski po swoim „demaskatorskim” artykule, funkcjonują dziś „przy milczącej aprobacie ze strony Sławomira Cenckiewicza i pałacu prezydenckiego”. Taki więc był prawdziwy cel ataku Czuchnowskiego – dyskredytacja szefa BBN i prezydenta RP, cel wyłącznie polityczny i propagandowy.

Wojciech Czuchnowskiego określa się jako obywatela i dziennikarza. Antynagroda Hiena 2025 r. przeczy zarówno obywatelskości, jak i rzetelności dziennikarskiej tegorocznego pseudolaureata.

www.wojciechreszczyński.pl



OGNIEM NA WPROST

Ciągnie wilka do lasu

Zafascynowany niemiecką polityką premier Donald Tusk wraz ze swoimi poplecznikami co chwilę oskarża jak nie PiS, to Trumpa o sprzyjanie Moskwie. Tymczasem w Niemczech właśnie wybuchła kolejna draka (w poprzedniej chodziło o tajne spotkania przedstawicieli establishmentu berlińskiej polityki i gospodarki z przedstawicielami rosyjskiego rządu w Abu Zabi). Zainteresowanie śledczych wzbudziła firma Goettle Advanced Products, która – według ustaleń dziennikarzy – dostarczała żywicę epoksydową rosyjskiej spółce Kompozit Izdelia. Materiał ten miał następnie trafiać do specjalnej strefy przemysłowej Alabuga, gdzie produkuje się drony Szahed 136 (w Rosji oznaczanych jako Gierań-2). Z ustaleń ukraińskiego portalu slidstvo.info wynika, że według niemieckich danych celnych firma Goettle Advanced Products handlowała niemal wyłącznie z Kacapią, a w 2023 r. regularnie dostarczała swoje produkty rosyjskiej spółce Kompozit Izdelia. Ciągnie wilka do lasu.

Tyle Niemcy. Kolej na Francję i jej prawdziwą politykę wobec inwazji Moskwy na Ukrainę. Tamtejszy Napoleonik, używający na co dzień imienia Emmanuel, pożarł się z Niemcami. Ci wraz z Holandią sprzeciwiają się propozycji Francji, która chciałaby ograniczenia możliwości zakupu przez Ukrainę amerykańskiej broni z unijnej pożyczki w wysokości 90 mld euro. Zdaniem Paryża pieniądze powinny trafiać głównie do europejskich firm zbrojeniowych (czytaj: francuskich), aby wzmocnić przemysł

obronny UE (czytaj: głównie Francji). Problem polega na tym, że państwa europejskie nie produkują tyle i takiej broni (systemy obrony przeciwlotniczej oraz amunicja), jakiej teraz potrzebuje Ukraina. Naciski Francji uległy zwiększeniu po tym, jak Trump ogłosił, że Grenlandia stanowi bardzo ważny element bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych. Napoleonik w swojej retoryce bardziej przypomina psa ogrodnika, który sam nie zje i innemu nie da niż swego poprzednika na kierowniczym urzędzie – cesarza Francji.

Członkowie Polskiego Związku Wędkarskiego mają szansę wykazać się w wojnie na Ukrainie. Żołnierze 46. Samodzielnej Brygady Aeromobilnej „Podilskiej” SZU zaprezentowali nietypową, ale skuteczną metodę zwalczania ruskich bezzałogowców. Do przechwytywania dronów przeciwnika wykorzystują oni... wędkę z linką zamontowaną na własnym dronie. Podczas przechwytywania ukraiński dron podlatuje do celu od góry, a następnie linka wplątuje się w śmigła rosyjskiego bezzałogowca lub je uszkadza. W efekcie dron traci stabilność, kontrolę nad lotem i spada na ziemię. Metoda ma swoje ograniczenia i nie zawsze sprawdza się wobec szybszych lub większych celów. Wiele zależy od sprawności operatora drona – wędkarza.

Na froncie brak poważniejszych zmian – poza tym, że Moskale wpadli



Andrzej Rafał Potocki

w furii pod Kupiańskiem, ale na razie nie zmienia to sytuacji. Choć bez uzupełnień Ukraińcom trudno będzie utrzymać pozycje. I jeszcze jedno. Pod koniec grudnia 2025 r. ukraińscy obrońcy utracili kontrolę nad jednym z dwóch kluczowych miast na trasie do obwodu zaporoskiego – Hulajpołem. 26 grudnia siły Kacapii zajęły stanowisko dowodzenia i obserwacji batalionu 102. Brygady Obrony Terytorialnej, zlokalizowane w centrum miasta. Żołnierz z 2. batalionu brygady poinformował, że od czerwca batalion aktywnie odpierał rosyjskie ataki szturmowe w pobliżu Hulajpola, ponosząc jednocześnie ciągłe straty w ludziach i sprzęcie. Według żołnierza pododdział praktycznie nie otrzymywał uzupełnień, a żołnierze pozostawali na pozycjach miesiącami bez rotacji. Logistyka naziemna na tym odcinku frontu jest całkowicie niedostępna, a zaopatrzenie dostarcza się wyłącznie dronami. Popelniono też błędy w dowodzeniu na wyższym szczeblu, które doprowadziły do zamieszczenia na froncie i w konsekwencji upadku miasta. Z Hulajpola pochodził słynny anarchista z czasów październikowej rewolty 1917 r. Nestor Machno, zwany również Bat'ką Machno, dziś ikona globalnego anarchizmu. W Hulajpolu i okolicach stworzył on pierwszą i jak na razie ostatnią na świecie Republikę Anarchistyczną. Jego oddziały poruszały się taczankami z patefonem i tubą na siedzeniu, wspierając raz bolszewię, a raz walcząc przeciw. Po rewolucji w 1921 r. trafił do Polski, gdzie został internowany i wypuszczony na wolność. Zmarł na gruźlicę w Paryżu.

Współpraca: „Skipper”

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Kiedy my żyjemy

Wśród wielu informacji, które docierają do nas codziennie, są zarówno te niewarte najmniejszej uwagi, jak i takie, na które trzeba ją zwrócić. Sztuką zaś jest odróżnienie jednych od drugich. To cały kunszt korzystania z mediów, umiejętności interpretowania (dla siebie) faktów i nazywania rzeczy po imieniu.

Już nie ma sensu wspominać o idiotyzmach, takich jak zalecenia Państwowej Inspekcji Pracy dla przedsiębiorców poszukujących pracowników. Nie wolno szukać sprzątaczkę, lecz „osoby sprząające” itd. Durnota niemająca sobie równych. Ale są też informacje zatrważające. I wcale nie dotyczą występów kryminalnych czy zbrodni, ale naszej średniej i dalszej przyszłości. To prognozy demograficzne dla naszego kraju.

Ludnościowo Polska się kurczy. I nie zauważymy tego w ciągu najbliższych lat, ale w ciągu dekady już tak. Będzie nas coraz mniej. Za 10, 15, 20 lat budynki wielu szkół i przedszkoli będą pustostanami, zamilknie gwar na podwórkach i placach zabaw, garstka dzieci będzie przystępowała do pierwszej komunii świętej, zmniejszy się zapotrzebowanie na nauczycieli, pediatrów, opiekunki do dzieci. Spadnie popyt na dziecięce ubranka i zabawki, a rodzina z trójką dzieci będzie istną osobliwością.

Jednocześnie państwo nie będzie ustawało w sponsorowaniu dzietności. Posypią się dodatki, premie, wsparcia. Tyle że to nic nie da. Problemem nie jest bowiem kwestia materialna, ubóstwo czy nawet brak mieszkań, lecz zmiany kulturowe i cywilizacyjne zachodzące w Europie i dalej. To chęć wygodnego i beztroskiego życia, niewiążące układy partnerskie czy wybór bycia singlem. Tutaj nie urodzą się dzieci, bo stałyby się przeszkodą w tak modnej obecnie samorealizacji.

Znam sporo młodych małżeństw, które poprzestały na jednym dziecku i świadomie bronią się przed kolejnymi. Niczego im nie brakuje. Ich sytuacja zawodowa jest znakomita, mają świetne pieniądze, idealne mieszkanie, a jednak twierdzą, że „jedno wystarczy”. Cięża i macierzyństwo stały się przypadłością, a przestały być dumą. Modny jest seks bez konsekwencji i czysta zabawa ciałem.

Nikt nie zawraca sobie głowy pytaniami w stylu: „Kto zarobi na nasze emerytury?”. Jakoś to będzie. Coś się wymyśli. To kłopot rządu, a nie mój. Ale tak można myśleć



**Aleksander
Nalaskowski**

*Za 10, 15, 20 lat budynki
wielu szkół i przedszkoli będą
pustostanami, zamilknie gwar
na placach zabaw*

tylko do czasu, potem przyjdzie przykre rozczarowanie. Ja go pewnie już nie doczekam, ale obecni pięćdziesięciolatek – owszem. Szkoły będą zwalniać nauczycieli, uniwersytety naukowców, bo nie będzie kogo kształcić. Zmniejszy się bezrobocie, bo mniejsza będzie podaż pracy.

To nie fikcja, lecz realna perspektywa. Mało tego – to perspektywa przesadzona!

Kryzys demograficzny już postępuje, nawet jeśli go jeszcze nie dostrzegamy. Systematycznie spada liczba urodzeń, a jednocześnie do brze sobie radzą wszelkie zakłady pogrzebowe. Więcej nas umiera niż się rodzi. Co roku znika jedno średniej wielkości miasto.

Ma w tym udział propaganda proaborcyjna, radykalny feminizm, homoseksualizm, „walka z patriachatem”, głośne lewicowe i lewackie hasła o „piekle kobiet” czy „równouprawnieniu”.

Jeśli nie odtworzymy populacji na poziomie 38–40 mln Polaków mieszkających w Polsce – a nie odtworzymy – to za dwie albo trzy dekady nasz kraj będzie jednym wielkim pustostanem. Wtedy staniemy się terytorialnym zaproszeniem dla

żółtych, śniadych i czarnych przybyszów, którzy nie będą sobie zwracali głowy naszą historią, religią czy kulturą. To już się pomalenku dzieje. Staniemy się Polinezją na gruzach Atlantydy. Będziemy mniejszością we własnym kraju. Tego procesu nie zatrzymamy siłą, ale możemy go znacząco opóźnić.

I nie idzie tu o kolejne regulacje prawne, zastrzyki finansowe czy udogodnienia, lecz o zmianę mentalności. W rodzinach silnie zlaicyzowanych, pozbawionych wiary, a niekiedy mocno zateizowanych, przyrost naturalny jest niższy niż w rodzinach o wyrazistych cechach chrześcijańskich. Tak wynika z badań. Wyraźnie zatem zarysowuje się tutaj rola Kościoła jako faktycznego, lecz wciąż mało aktywnego wychowawcy rodzin.

Problem demograficzny stanowi obecnie nasze największe zmartwienie. Umowa Mercosur, wojna na Ukrainie, przepychanki partyjne czy wybory parlamentarne to pikus w porównaniu z kwestią dzietności Polaków. Trzeba poważnie przestudiować procesy, które mają miejsce na Islandii, w Irlandii, Szwecji i Norwegii – bo tam przyrost jest dodatni – a potem adaptować je do naszych warunków. Jeszcze Polska nie zginęła, kiedy my żyjemy. No właśnie – tyle Polski, ilu nas. I tego się trzymajmy.

Michał Korsun prezentuje:
Mentzen kontratakuje prawa autorskie Disneya



Wycinki z przeszłości

Wyniki wyborów od zawsze budziły wielkie emocje. Nie inaczej było w dwudziestolecu międzywojennym. W 1928 r. „Drwęca” opisywała reakcję zagorzałego endecka, biskupa łomżyńskiego, który ogłosił Niedzielę Palmową dniem „smutku i żałoby z powodu wyborów”. W parafiach, w których „głosy oddano na wrogów Kościoła”, zapowiedziano nawet brak procesji rezurekcyjnej.

(sp)



Z WOLEJA

Wielki Bohdan, mądra Maria



Ryszard Czarnecki

Tasma! To boli” – krzyczał rozemocjonowany Bohdan Tomaszewski, legendarny sprawozdawca sportowy, podczas finału turnieju Masters 1976 między naszym Wojciechem Fibakiem a Hiszpanem Manuelem Orantesem, gdy Polak trafił w siatkę. Miałem szczęście znać pana Bohdana. Darzył mnie, maniaka sportu, sympatią. Służył w AK, walczył w powstaniu warszawskim, a sport był dla niego w jakiejś mierze emanacją naszych dążeń niepodległościowych.

Zdarzały mu się wypowiedzi mimo woli śmieszne, jak tuż po sensacyjnym zdobyciu przez Władysława Komara mistrzostwa olimpijskiego w pchnięciu kulą w Monachium w 1972 r. Polski olbrzym rodem z Kresów Wschodnich RP (urodził się w Kownie) wyprzedził jednego Amerykanina o 1 cm, drugiego o 4 cm, Tomaszewski wołał do mikrofonu: „A teraz Komar biegnie po swoją torbę. Może ma w niej coś cennego: jakąś pamiątkę albo pomarańczę”. Cóż, to były czasy, kiedy pomarańcze pojawiały się nad Wisłą głównie przed świętami Bożego Narodzenia, a więc nasza legenda mikrofonu miała trochę racji.

Gdy osiem lata później na IO w Moskwie Bronisław Malinowski (syn żołnierza Polskich Sił Zbrojnych, który z Wysp Brytyjskich przywiózł żonę Szkotkę), po nieprawdopodobnym biegu na 3 tys. m z przeszkodami, gdzie na ostatnim okrążeniu przegrywał z Bayi z Tanzanii ok. 100 m, a i tak wygrał wyraźnie, pan Bohdan w uniesieniu krzyczał: „To zwyciężyła polska siła! To zwyciężyła polska krzepa!”.

Zdecydowanie wołałem Tomaszewskiego od słynnego sprawozdawcy piłki i żużla Jana Ciszewskiego, niestety uwikłanego we współpracę ze służbami PRL. Jego określenia były dużo mniej barwne i średnio śmieszyły, gdy żartował z nazwiska króla strzelców Mundialu 1974 podczas transmisji meczu reprezentacji: „Lato, lato – zima, zima”.

Sport to emocje, zwycięstwa i dramaty, triumfy i cierpienie. O ileż wolę oglądać sportowców, kiedy walczą, niż wtedy, gdy, chcąc nie chcąc, dają twarz w plebiscytach różnej maści, przy których w blasku gigantów sportu grzeją się media, sponsorzy i działacze. Wolę walkę, nie zawsze wszak zwycięską, niż targowisko próżności, gdzie wielcy ludzie sportu są pionkami w widowisku telewizyjnym. To dlatego z ostatniego plebiscytu na najlepszego sportowca Polski pewnej telewizji i pewnej gazety najlepiej zapamiętam nie tych, którzy wygrali, ale tych... którzy się nie pojawili, bo startowali albo przygotowywali się do zawodów. Choćby wicemistrzynię świata w skoku wwyż Marię Żodzik, która szczerze powiedziała, że nie przyjedzie na wręczanie nagród, bo musiałaby stracić trzy dni treningów do Halowych Mistrzostw Świata. Ktoś, kto kocha wygrywać, nie musi koniecznie kochać fleszy i przemijającego medialnego blasku.

OD A DO ZYBERTOWICZA

Na celowniku technologii

Styczeń 2026 r. Wstaję wcześniej rano (przynajmniej jak na mnie). Mikrośniadanie. Taksówką jadę gdzieś na praski brzeg Wisły do przychodni. Mam mieć badanie.

Spóźniam się kilka minut z powodu korków, ale na miejscu wszystko jest dobrze zorganizowane. Dostaję numererek i potem będę według niego wywoływany.

Podpisuję różne dokumenty, instrukcje, zgody itd. Wywołują i wstrzykują mi w żyłę materiał radioaktywny. Potem dwa razy mam się położyć na ruchomym stole.

Znów wywołują mój numererek. Miła pani instruuje, bym lewą rękę wyciągnął do tyłu, za głowę, i za coś tam z tyłu chwycił. Na czas badania mam się nie ruszać. Pewnie dlatego głowę mam unieruchomioną między jakimiś kłapkami. Niżej część ciała okrywają jakimiś ciężkimi – pewnie ołowianymi – płachtami.

Moje łóżko przesuwają się do tyłu. A może i nie – może to nade mną coś się przesuwają? W każdym razie nad samą głowę pojawia się jakieś urządzenie w kształcie kwadratowej płyty z plastiku z wyraźnym krzyżykiem w środku. Czy to celownik?

Oddycham spokojnie. Rozluźniam się. Rozmyślam: „Gdyby człowiekowi udało się w pełni, supergłęboko rozluźnić ciało, to czy myśl zostałaby wyzwolona ze zwojów mózgu? Mogłaby sobie podróżować po całej galaktyce. Bo dlaczego by nie?”

Ale potem przemyka myśl, że przecież nie mam mapy galaktyki – to jak moja już wyzwolona myśl miałaby się orientować? Skąd by wiedziała, dokąd dotarła i gdzie podążać dalej? I czy byłoby to takie sobie, niby turystyczne zwiedzanie, czy może jakaś systematyczna badawcza eksploracja? Ale myśl – omal wyzwolona z cielesnego więzienia – nagle przestała szybować dalej i dalej, gdyż...

...nagle kwadrat z krzyżykiem przechylił się tak, że przyciska – stopniowo,



A jeśli kontrolę nad tą maszyną przejęła jakaś sztuczna inteligencja, która chce mnie ukarać za moją wielokrotną publiczną krytykę AI?

stopniowo coraz wyraźniej – moje wyciągnięte do tyłu lewe ramię. Zbliża się do twarzy. Czy maszyna, która mnie bada, za chwilę zacznie mnie miażdżyć?

Myśli zaczynają się spieszyć: „Co powinienem zrobić? Krzyczeć? Ale powiedziano, że mam leżeć spokojnie, bez ruchu. Nie ma żadnego przycisku alarmowego. A może się poderwać i wysunąć spod obniżającego się kwadratu z celownikiem, zanim na dobre zacznie miażdżyć moją głowę?! Przecież po prostu mogło się coś popsuć.

Ale może już jest za późno, by unieść głowę, a w bok wysunąć się nie sposób”. Chwila zawahania i... koniec pieśni.

A jeśli kontrolę nad tą maszyną przejęła jakaś sztuczna inteligencja, która chce mnie ukarać za moją wielokrotną publiczną krytykę AI? A może chce mnie tylko nastraszyć? Ale który model? Tyle ich już jest! A co, jeśli wszystkie są ze sobą solidarne?

Jednak po dłuższej chwili kwadrat z celownikiem unosi się nieco. Oddycham swobodnie, a kwadrat zaczyna się przemieszczać w prawo, w prawo... Znika z mojego pola widzenia. Najwyraźniej obraca się wokół poziomej osi stołu czy ławy, na której leżę. Luzik.

Próbuję wrócić do galaktyki. Igdy nie-mal się to udaje, to kwadrat, chyba wykonawszy obrót pod stołem, pojawia się z dołu, od lewej strony. Po chwili obniża się, coraz bardziej i bardziej. Przyciska ramię. Galaktyka znika już całkiem.

Kwadrat przyciska mnie dalej i włącza się jakiś sygnał dźwiękowy (alarmowy?). Przybiegają dwie panie i przez trwającą całe wieki chwilę zmagają się z jakąś tablicą z przyciskami. Sygnał akustyczny znika. Kwadrat przestaje być groźny. Panie zalecają, bym jeszcze bardziej wyciągnął ramię za głowę.

Człowiek wygrał z techniką. Po raz kolejny.

Czy za kilka lat numerka nie wyda już mi żadna pani, tylko automat (jak dziś na pocztce)? Czy zastrzyk z radioaktywną substancją wykona robot? A gdy w trakcie badania rozlegnie się sygnał (alarmowy?), to... No właśnie? Czy na sygnał, że coś nie gra z jedną maszyną, zareaguje w najlepszym razie inna maszyna?

Czy na wszelki wypadek powinienem zrezygnować z występowania w podcastach, w których krytykuję sztuczną inteligencję?

Dzień czy dwa później przez internet odebrałem wyniki badań. Wynika z nich, że mam żyć! Ale nie podano daty ważności mego organizmu...

Andrzej Zybertowicz

Stawiamy na rozwój telewizji **wPolsce 24**

Mobilne centrum transmisyjne
to **telewizja bliżej widzów**

Chcemy być wszędzie tam,
gdzie **bije serce Polski!**

WESPRZYJ patriotyczne media

numer konta: **69 1020 4900 0000 8202 3036 2577**

tytuł wpłaty: **DAROWIZNA**

Twoje dane osobowe będą przetwarzane zgodnie z polityką RODO

wp.pl 101bc19a20



Dbamy o wartość polskiego pieniądza

Narodowy Bank Polski posiada już
550 ton złota
o wartości ponad 270 mld zł!



Dzięki swojej niezależności Narodowy Bank Polski konsekwentnie realizuje strategię zarządzania rezerwami i zwiększania zasobów złota, budując bezpieczeństwo finansowe kraju. W tych trudnych czasach globalnych zawirowań i poszukiwania nowego porządku finansowego złoto jest jedyną pewną lokatą rezerw państwowych.

prof. Adam Glapiński,
Prezes NBP



Narodowy Bank Polski zgromadził więcej złota niż Europejski Bank Centralny, Portugalia i Wielka Brytania. NBP zajmuje 12. miejsce wśród banków centralnych pod względem posiadanych zasobów złota.

Pod kierownictwem prof. Adama Glapińskiego Narodowy Bank Polski od 2018 r. zakupił łącznie około 447 ton złota – w tym 102 tony w 2025 r. Drugi rok z rzędu NBP był największym nabywcą złota wśród banków centralnych na świecie.



Zeskanuj kod QR
i pobierz najnowszą publikację

PolSKI złoty i niezależność NBP
jako fundamenty rozwoju gospodarczego